

Listy z Brazylii



ADOLF DYGASIŃSKI

Listy z Brazylii

WSTĘP

W październiku roku zeszłego¹ pojechałem był² do Rybienka³, gdzie mi w domu swoim dawno już ofiarował uprzejmie gościnność pan Kazimierz Skarzyński⁴. Piękna miejscowość nad Bugiem stanowiła dla mnie dużą podniętę w robocie literackiej: miałem przed oczyma nieustannie wstęgę Bugu, a za nią lasy i siola⁵.

Od razu więc zacząłem pilnie pracować. Ale zaledwie tydzień czasu upłynął, kiedy jednego dnia około godziny szóstej po południu otrzymuję taki telegram: „Wyjeżdżam z Warszawy wieczornym pociągiem i czekam pana w Tuszczu⁶ — Olszewski⁷”.

— Sąd honorowy albo pojedynek! — pomyślałem. — Aby pracować i jednej pracy wyłącznie się oddać, trzeba widać o sto mil uciec od Warszawy!

Pan domu właśnie wyjechał konno na objazd gospodarstwa, a z agronomami⁸ jego nie poznałem się jeszcze tak blisko, ażeby móc prosić o konie. Wysłałem więc służącego na wieś po podwodę⁹ dla siebie. Nim poseł ów powrócił, wybiła już siódma i dobry mrok panował, a tu do Tuszcza haniebne trzy mile i przeprawa promem na Bugu.

Nie pojechałem przeto, lecz zaraz napisałem list do redaktora „Kuriera Warszawskiego”:

„Jeżeli chodzi o sprawę bardzo ważną, przybędę do Warszawy; wasz telegram z Tuszcza przybył tak późno, że się nie mogłem stawić.”

List ten natychmiast pchnąłem na pocztę do Wyszkowa, a sam siadłem znowu do roboty.

Kiedy wieczorem powrócił i pan Skarzyński, dziwił się, że miałem jakieś skrupuły użyć jego koni, a jednocześnie oświadczył, że dobrze zrobił, bo i najlepsze konie zaledwie na dziewiątą stanęłyby w Tuszczu, więc tam nie zastałbym już pana Olszewskiego.

— Skoro się tak stało — mówił dalej — to jedźmy w odwiedziny do pana sędziego, gdzie sobie ułożymy polowanie w przyszłym tygodniu.

Pojechaliśmy. Znaleźliśmy tam dwóch jeszcze sąsiadów i na gawędzie o emigracji zeszło do pierwszej w nocy.

Gdyśmy wracali do domu, niebo się iskrzyło gwiazdami i mróz był jakby w grudniu. Zajeżdżamy na dziedziniec, a tu dwór, mimo nieobecności pana, oświetlony.

— Może urzędnicy akcyzy¹⁰! — poszepnął pan Skarzyński.

— Kto wie, czy nie Olszewski! — mruknąłem.

¹roku zeszłego — chodzi o październik 1890, kiedy to Dygasiński udał się jako delegat „Kuriera Warszawskiego” do Brazylii w celu zrelacjonowania warunków życia przebywających tam polskich emigrantów. Efektem tej podróży był cykl reportaży zatytułowany *Listy z Brazylii* publikowany w „Kurierze” w latach 1890–1891. [przypis edytorski]

²pojechałem był — daw. forma czasu zaprzeczonego, dziś: pojechałem. [przypis edytorski]

³Rybieńko Leśne — dziś jedno z osiedli miasta Wyszków w woj. mazowieckim. [przypis edytorski]

⁴Skarzyński, Kazimierz — właściciel majątku ziemskiego Rybieńko Leśne. [przypis edytorski]

⁵siola — wieś. [przypis edytorski]

⁶Tuszcz — miasto w woj. mazowieckim. [przypis edytorski]

⁷Olszewski, Franciszek — redaktor „Kuriera Warszawskiego” w latach 1887–1896. [przypis edytorski]

⁸agronom (z gr.) — człowiek zarządzający majątkiem rolnym; dziś: człowiek wykształcony w dziedzinie rolnictwa. [przypis edytorski]

⁹podwoda — usługa komunikacyjna polegająca na zorganizowaniu przez chłopów transportu dla kogoś z dworu. [przypis edytorski]

¹⁰urzędnicy akcyzy — urzędnicy skarbowi zajmujący się dochodami z akcyzy. [przypis edytorski]

Wchodzimy i oczom naszym przedstawia się od razu redaktor „Kuriera Warszawskiego”; był błądliwy i skostniały od zimna, ponieważ w lekkim tylko okryciu wyjechał z Warszawy, a sądząc, że Rybienko jest blisko od Tłuszcz, puścił się na najętej podwodzie w trzymilową podróż z całą lekkomyślnością literata i mieszczucha.

Butelka gdańskiej wódki, druga czerwonego wina, zaledwie zdołały uśmierzyć szczękające zęby redaktora.

— Czy pan wiesz — pytał mnie po chwili pan Olszewski — że w kraju naszym jest nadzwyczajnie wielki prąd emigracyjny?

— Wiem o tym aż nadto dobrze i właśnie dzisiaj przez cały wieczór prowadziliśmy rozmowę u sędziego G. na ten temat.

— A czybyś pan nie pojechał do Brazylii i nie sprawdził, co też za podstawę mają obietnice agentów¹¹, którzy chłopom przewracają w głowie?

— Nie tylko się zgadzam na podróż, lecz dziękuję panu, że wybór padł na moją osobę. Mam wprawdzie bardzo mi cenne zobowiązania dla poważnej firmy wydawniczej, ale wyższy nad to jest obowiązek społeczny. Zresztą jestem pewny, że firma owa tak samo rzecz pojmuje i nie będzie mi brała za złe zwłoki czterech lub pięciu miesięcy.

— Panie, proszę o zachowanie tajemnicy wyjazdu!

Zawahałem się chwilę, bo jak tu pokazać się w Warszawie i kłamać wobec przyjaciół, a głównie rodziny. Jednakże pomyślałem, że można przyjaciół w tym razie unikać, a rodzinie oszczędzę jedynie troski przez jakiś tydzień, dopóki nie przysię z zagranicy pierwszego listu.

W Rybieniu pan gospodarz zostawił nam całą swobodę dalszej rozmowy i udał się na spoczynek, a ja z panem redaktorem obgadywałem do świtu całe przedsięwzięcie.

Minęła czwarta godzina rano, a my jeszcze nie skończyliśmy rozmowy i daliśmy sobie *rendez-vous*¹² w Warszawie.

Nareszcie ubrałem pana Olszewskiego w swój kożuch, palto, czapkę zimową, rękawice i wyprawilem na pociąg do Tłuszcza.

Taka jest geneza mojej podróży do Brazylii.

Nie wyjechałem z Warszawy jako turysta-podróżnik ani literat, lecz jako obywatel kraju swego. Lekceważę wszelkie przekąsy i drwiny, równie jak lekceważę rozgłos nadany mej wyprawie. Mam przekonanie, że mało zrobił, lecz się *nie podejmowałem* niczego więcej. Jedni chcą ode mnie jakiejś statystyki, drugim nie na rękę to, że mało widział, inni utrzymują nawet, iż dużo pieniędzy zmarnowałem.

Moi panowie, jedźcie do Brazylii i wypełnijcie moje braki, a będzie to miało więcej wartości od waszych krzyków! Jak mi się zdaje, niczym a niczym nie dałem do zrozumienia, że mało zrobił rzecz wyższą od prostego obowiązku, dlatego się dziwię przekąsowi oraz niechęci: oby one pochodziły z pobudek szlacheckich!...

Musiał się coś głęboko zepsuć w „królestwie duńskim”¹³, skoro tu na wszystko brakuje miary. W listach anonimowych, do mnie i do redakcji pisanych, nazywają mnie blagierem, oszustem, łgarzem, ba, nawet zdrajcą; na ulicach pokazują mnie palcami i obiecują kije — to tłum, któremu zaślepienie należy zawsze przebaczyć. Ale dlaczego czoło inteligencji robi mi z jednej strony bezmyślną reklamę, a z drugiej szczypie?

Nie zadowolilem więc właściwie nikogo: nawet Brazylian. Jest to jedyny rezultat z mojej podróży.

Zagrody pod Chmielnikiem.

W lutym 1891 r.

Polak, Zazdrość, Pogarda,
Plotka

¹¹ *agent* — pośrednik, agent handlowy. [przypis edytorski]

¹² *dać sobie rendez-vous* (daw.) — umówić się na spotkanie. [przypis edytorski]

¹³ *Musiał się coś głęboko zepsuć w „królestwie duńskim”* — nawiązanie do słów z dramatu Szekspira *Hamlet* (akt I, scena 4). [przypis edytorski]

I. W WAGONIE CZWARTEJ KLASY

W Toruniu wsiadłem do wagonu czwartej klasy, udając się do Bremy; wagon taki jest to klatka 12 łokci¹⁴ długa, 4 szeroka; na ścianie napis opiewa: *Normale Besetzung: 30 Sitzplätze, 15 Stehplätze*¹⁵; ale szranki przepisu przekraczają się i w wagonie naliczyłem 50 osób wraz z dziećmi. Pełno tutaj wilgoci; temperatura taka, jak w cieplarni dla roślin egzotycznych.

Widząc tyle drobiazgu ludzkiego, niemowląt przy piersiach matek, otrzymujesz wrażenie, że w tym gorącu dzieci samorzutnie się rodzą. Na podłodze wszędzie porozlewane jest mleko, woda, pełno okruszków chleba, kości, ściany zamazane masłem, miodem i Bóg wie czym. Na poręczy suszą się pieluchy i pierzynki spod maleńkich dzieci; przy tym aż ciemno od dymu z fajek i papierosów. Tam niemowlę parotygodniowe leży na kolanach rozespanej matki, do połowy się już stoczyło, porusza tłustymi nóżkami i rączkami, a oczy nieruchome wlepia w światło lampy. Gdzie indziej, między worami, zapadłszy w głąb głową, chrapie pięcio- lub sześćioletni chłopiec. Dalej znowu matka, włożywszy dziecięciu pierś w usta, przytłoczyła je całe swym ciężarem i sama zasypia w najlepsze.

Trzeba się poznać z sąsiadami. Obok mnie siedzi Wiśniewski, chłop spod Rypina, z Rokitnicy; wyemigrował z żoną i czworgiem dzieci, z których najstarszy chłopiec, Teoś, jest ośmioletni. Człowiek ten ma poczciwy wyraz twarzy, kocha dzieci i pieści się ciągle z nimi, szczególnie z najmłodszym jednorocznym synkiem, któremu do zabawy oddaje ciągle swoją fajkę.

Siedzę na środku wagonu, na stołku składanym, który sobie sprawilem w Toruniu, i mam po drugiej stronie za sąsiada rzemieślnika, Stanisława W., stolarza, który emigrował z młodą, może osiemnastoletnią dziewczyną, Zofią Ł., pochodzącą z Paprot, gminy Żale, w powiecie rypińskim. Stolarz wypomina¹⁶ nazwiska wsi: Ugórz, Głębozec, Obory.

W dalszym ciągu jest rodzina żydowska z Drobina — Żydówka z Warszawy, która z czworgiem dzieci jedzie do męża, będącego już w Ameryce; następnie chłop z Kujaw w czarnej kamizelce, spod której widać czerwone rękawy kaftana, a na głowie ma czarny kapelusz z dużym rondem; poprzez bagaże i worki nie mogą się przedostać do niego, jak i do innego jeszcze, z siwą głową, który do nikogo nie zamówi¹⁷ słowem.

Noc ta dla mnie niezapomniana! Filozof, moralista mógłby tu wyprowadzać ciekawe wnioski, ale artysta może tylko współczuć, wziąć do duszy cudze cierpienia, złudzenia i nadzieje.

Stolarz oparł się na ramieniu kochanki i drzemie. Dzieci Wiśniewskich śpią w różnych pozycjach: najmłodszy chłopiec przytula oto do piersi blaszankę od mleka. Stary Wiśniewski jest jakiś zamyślony: najeżył nikle wąsy, czoło mu się zmarszczyło, rozszerzyły się nozdrza, czarne ręce złożył na kolanach; może myśli nad tym, że wyprowadził w świat te dzieci, a Bóg wie, co się z nim i z nimi stanie. Czasem daje kułaka żonie, aby poprawiła śpiące dziecko. Żydowi z Drobina sen nie idzie; waha się właśnie między Brazylią a Nowym Jorkiem.

— Bo trzy czy cztery tygodnie płynąć wodą po żółtą febrę to strach; morska choroba, burze, a przy tym ludzie mówią, że Żydków rząd do Brazylii nie wpuszcza.

Stolarz się naraz porwał, klęknął na środku, zdjął czapkę, wyjął książkę do nabożeństwa i widzę, że czyta litanie do Matki Boskiej. Jego kochanka czy narzeczona, świeża, rumiana, odznacza się pełnią bielutkich zębów, które chętnie pokazuje i blaskiem oczu, którymi naiwnie rzuca na wszystkie strony.

Z latarką na piersiach, z kluczem w ręku wchodzi olbrzymi pruski konduktor i do brodusznie pyta, rozglądając się po owym chlewiku:

— *Lebt hier alles?*¹⁸

Nikt mu nie odpowiada. Nawiasem mówiąc, emigrantów bardzo źle wszyscy cudzoziemcy traktują.

¹⁴łokieć — dawna miara długości, równa ok. 60 cm. [przypis edytorski]

¹⁵*Normale Besetzung: 30 Sitzplätze, 15 Stehplätze* (niem.) — Normalna zajętość: 30 miejsc siedzących, 15 stojących. [przypis edytorski]

¹⁶wypominać — tu: przypominać sobie i wyliczać. [przypis edytorski]

¹⁷zamówić — tu: przemówić; zagadać. [przypis edytorski]

¹⁸*Lebt hier alles?* (niem.) — Wszyscy żywi? [przypis edytorski]

Mam przed oczyma ciągle sceny karmienia i uspakajania rozplakanych dzieci; matki niekiedy je biją, to znowu dają piersi lub chleba z miodem. Na najbliższej stacji wpada sześciu pijanych Niemców robotników, depcą po głowach śpiących dzieci i wybuchają wesołą piosnką, która dziwnie odbija wobec smutnych fizjonomii i modlitwy stolarza. Pragnienie w tym tłoku wszystkich pożera; ale nikt nie chce wyjść z dzbankiem po wodę, aby się nie spóźnić. Oprócz Żydów i mnie nikt też nie umie jednego słowa po niemiecku. Stary chłop z kosmykami długich, siwych włosów, z odętymi wargami, istny mruk, syn-gielton¹⁹ wśród emigrantów, pierwszy poszedł po wodę i napoił niektórych, nie mówiąc ani słowa.

W ogóle całe to towarzystwo wygląda tajemniczo, pełne podejrzliwości i wszyscy niechętnie rozmawiają. Dopiero rozłożona przeze mnie mapa kolei żelaznych zrobiła ogromne wrażenie. Zaraz się nachylił do mego ucha Żyd z Drobina i pyta:

— Co tam stoja napisane?

Z drugiej strony Wiśniewski zapytuje cichym głosem:

— Czy pan daleko jadą?

Ja udaję również tajemniczego i dyskretnie odpowiadam:

— Za morze...

— I ja za morze! — rzecze chłop z westchnieniem. — A co nas tam czeka?

— Nie wiem — odrzekłem.

Wiśniewski westchnął drugi raz. Dziecko Żydówki zaczyna strasznie wrzeszczeć i dostaje od matki dwa klapsy, a potem piersi.

— Nie dajcie się tylko oszukiwać Szwabom — mówię do Wiśniewskiego — bo szkoda waszych krwawo zapracowanych pieniędzy. W Brazylii może braknąć...

Wśród takich scen dojechaliśmy do Szarlottenburga²⁰. Trzeba tu widzieć salę dla wychodźców. Jest to olbrzymia sklepiona suterena, w której przy lichym oświetleniu wypoczywa blisko 2 tysiące ludzi. W dużym, żelaznym piecu pali się, a emigranci nasi pieką kartofle, inni zjadają chleb albo rzucają się do snu na ziemię. W tym tłumie widać jakieś figury przenikliwie śledzące i oglądające ludzi. Postanowiłem sobie być²¹ dzielić losy emigrantów, lecz w Szarlottenburgu zbrakło mi odwagi; wołałem raczej włączyć się zewnątrz, zwłaszcza, że to już była godzina szósta rano.

Około godziny dziesiątej wróciłem znowu do sali wychodźców: istna wieża Babel! Jedni się modlą cicho, drudzy śpiewają na cały głos: „Kto się w opiekę poda Panu swemu”; jakiś elegant macza w ustach grzebień i przyczesuje włosy; inny z kieszeni dobył drewniane pudełko szuwaksu²², zdjął buty i czyści, a inny troskliwie rozpatruje bardzo brudną koszulę. Wrzeszczą, modlą się, jedzą, myją się itd.

Trwa to do godziny dwunastej w południe; o tym czasie wchodzi szwajcar²³ i woła:

— *Nach Bremen!*²⁴

Teraz porywa się cała gromada, pędzi za szwajcarem jak fala wody, dusząc się i przewracając, unosząc wielkie pakunki. Szwajcar doprowadził ich tak do samych drzwi, a potem sam się wydostaje, ażeby drzwi otworzyć ze strony zewnętrznej, gdyż tu w ścisku niepodobna — skacze więc po stołach, ławkach, poprzez ramiona tłumy, a młodzi Żyd-kowie klaszczą w dłonie i wołają: „Brawo, brawo!”

Po chwili drzwi się otwarły, szwajcar woła:

— *Heraus alles, weg, weg!*²⁵

Ponieważ uchodzę za emigranta, więc poniewierają mną konduktorzy i szwajcarzy, a rzadko kiedy jest czas, aby się upomnieć o swoje prawa pasażera czwartej klasy. I mnie, i chłopów chwytają ciągle jacyś ajenci, wypytyują, stręczą bilety, ale nic darmo; bronię siebie i chłopów, jak mogę, od tego paskudztwa, jednakże strasznie to trudno, gdyż szła zarobkowania na emigrantach jest wściekły.

¹⁹ *syn-gielton* (daw., z ang. *singleton*) — pojedynczy człowiek. [przypis edytorski]

²⁰ *Szarlottenburg*, właśc. *Charlottenburg* — daw. miasto w Niemczech, obecnie: dzielnica Berlina. [przypis edytorski]

²¹ *postanowiłem sobie być* — daw. forma czasu zaprzeczonego, dziś: postanowiłem sobie. [przypis edytorski]

²² *szuwaks* (daw.) — czarna pasta do butów. [przypis edytorski]

²³ *szwajcar* (daw.) — odźwierny, człowiek pełniący służbę przy wejściu do budynku. [przypis edytorski]

²⁴ *nach Bremen* (niem.) — do Bremy. [przypis edytorski]

²⁵ *Heraus alles, weg, weg!* (niem.) — Wynocha wszyscy, precz, precz! [przypis edytorski]

Rząd pruski jest przeciwny emigracji do Brazylii i nie wolno utrzymywać żadnego biura w tym celu, przynajmniej jawnie. Brazylią jest to specjalność Portugalii, a w niej — Santosa²⁶, tak mi powiedziano w Berlinie. Z tym wszystkim Prusacy prywatnie popierają wszystko, byle obedrzeć.

Wsiadamy wreszcie na pociąg do Bremy; ja szukam wagonu z chłopami: wszędzie zapchane; zaledwie się mogę wpakować do jednego, gdzie jest dużo młodzieży. Są to Galicjanie spod Tarnowa i Rzeszowa, a z nimi cztery rodziny słowackie spod Koszyc.

W wagonach już teraz do samej Bremy nie ma ławek; siedzi się na ziemi. Ja tęsknię za Wiśniewskim, żal mi tego chłopca, tęsknię i za stolarzem; przebiegam koło wagonów czwartej klasy, wywołuję głośno, odzywają się nareszcie, lecz Wiśniewskiego z dziećmi trudno wyciągnąć, tylko stolarz z kochanką przeszli do mego wagonu. Ruszamy.

Partię galicyjską prowadzi dwudziestoosmioletni Żydek, który w wagonie jest bez czapki, tylko w aksamitnej krymce, krzyczy, wywija rękoma, jest bardzo żywego temperamentu. Pełno tu śmiechu, wesołości i grubych konceptów, których nie mogę powtarzać. Słowacy jadą do Północnej Ameryki, piją ciągle wódkę, w półtorej godziny są wszyscy pijani, śpiewają. Nasi powymowiali z książek do nabożeństwa obrazki i przeglądają, jakby fotografie w albumie. Żyd zszywa sobie chałat, kilka kobiet usiadło w okółek na ziemi i wyciągnąwszy przed siebie nogi, gwarzą, plotą bajki; dzieci polskich nie ma w tym wagonie, są tylko słowackie.

Jeden ze Słowaków podchodzi do mnie, klepie po ramieniu, nazywa dobrym człowiekiem i wkłada mi do ust butelkę, abym się napił; następnie, podaje ją innym Polakom, którzy nie oszczędzają płynu.

— Poszedłem do bufetu — powiada jeden z naszych — mówię jej: brojtu²⁷, dała, a jakem chciał śpeku²⁸, ona ani rusz. Cholera kraj taki!

Możecie sobie wyobrazić, że mi ciężko bardzo robić notaty, bo emigranci są podejrzliwi, pytają zaraz, czy się aby nie ich opisuje. Żal mi nawet oszukiwać tych ludzi, dobrych bardzo, tylko nieświadomych i nieszczęśliwych. Jeden ze Słowaków podprowadza mi swoją żonę i powiada:

— Heska gajdzicka? Co?

Plują strasznie na rzeczy, na ciebie, a co gorsza, zamykają ciągle szczelnie okna.

O jedenastej w nocy przybywamy do Bremy, gdzie się głównie łapie emigrantów, lecz to opiszę wam następnie, aby nie rozwlekać felietonu.

Brema, 28 października [18]90 r.

II. BIWAKI W BREMIE

Po ulicach Bremy, w pobliżu dworca kolei o każdej godzinie można spotkać gromady chłopów z babami i dziećmi; jak zauważyłem, kupują głównie naczynia blaszane na wodę i na mleko, co widać jest tu tak powszechne, że się spotyka sklepy z napisem „*Blechwaaeren für Auswanderer*”²⁹. Niemcy przystają na ulicach lub gapią się z okien, mówiąc:

— *Sieh, Brasilianer aus Polen.*³⁰

Wymieniam tu niektóre hotele, raczej gospody, gdzie jest pełno emigrantów, mieszczących się w jednej izbie po kilkunastu, a gdy duża, to i — kilkudziesięciu: hotel *Stadt Minden* na rogu Sögestr i Lindenstraße, hotel *zum Emigrant-Conradesa*, hotel *Stadt-Göttingen*, gdzie są głównie emigranci z guberni kowieńskiej. Ci w moich oczach opluli przepuknę, która za 10 fenigów³¹ sprzedała 5 małych jabłuszek. Na Breitenweg mieszka 50 ludzi z guberni płockiej, kaliskiej, warszawskiej u gospodarza Meyera; uskarżali się przede mną, że wydali pieniądze na kolej, a teraz są głodni i pytali: „Co, panie, robić?”. Prócz tego, pełno ich jest w gospodach *Auf der Brake*, w hotelu *Stadt Warschau*, u Günthera itd. Obchodzę te duszne i cuchnące przytuliska, o ile mi tylko czas całego dnia pozwala.

²⁶ Santos, José Antunes dos — konsul generalny Brazylii w Portugalii. [przypis edytorski]

²⁷ brojt (z niem. a. jid.) — chleb. [przypis edytorski]

²⁸ špek — boczek. [przypis edytorski]

²⁹ Blechwaaeren für Auswanderer (niem.) — Naczynia blaszane dla emigrantów. [przypis edytorski]

³⁰ Sieh, Brasilianer aus Polen. (niem.) — Patrz, Brazylianie z Polski! [przypis edytorski]

³¹ fenig — daw. najmniejsza jednostka monetarna w Niemczech. [przypis edytorski]

Ale najgłówniejszy biwak naszych wychodźców jest to stary bremeński dworzec kolei, duży i zupełnie opuszczony budynek za miastem. Wielkie sale pełne są barłogu, w którym poniewierają się ludzie gorzej niż psy w budach; ale, rzecz ważna, ten przytułek nic ich nie kosztuje.

Smutny, bardzo smutny widok! Kilkuset ludzi leży w śmieciach, w które zaledwie masz odwagę nogą wstąpić. Wszelki nieporządek, jaki sobie tylko wyobrazić można, spotyka się tutaj. W całej owej wielkiej ruderze roją się tłumy mówiących po polsku. Jedni zostali tutaj, wysiadłszy prosto z pociągu, innych powyrzucano z różnych gospód, ponieważ nie mieli czym płacić za dach i utrzymanie.

Na starym banhofie³² są prawdopodobnie najwięksi nędzarze. Dostają oni bezpłatnie nie tylko pomieszczenie, lecz i żywność. Rano piją herbatę lub kawę, do tego chleb z masłem; na obiad jedzą mięso gotowane w kartoflach albo kartofle, kapustę i po śledziu wydają im na osobę. Ten dobrowolny uczynek spełnia towarzystwo żeglugi północno-niemieckiego Lloyda, a jak mnie upewniał ksiądz Schlosser i drugi Prachar, robi się to bezinteresownie, czysto dla miłości bliźniego. (?) Z tegoż źródła wiem, że Lloyd wydał 22 000 marek³³ na żywienie emigrantów i to w ciągu kilku dni. Towarzystwo Lloyd, naturalnie, na statkach swoich przewozi emigrantów, za co je wynagradza rząd brazylijski.

W starym banhofie nie tylko sale są zajęte, lecz także korytarze i wszystkie kąty, gdyż ludu napływa tu co dzień w pociągach kolei. Policjant stoi przy wejściu i tylko wieczorem nie wpuszcza tam nikogo, jak mi mówiono, z obawy złodziei kieszonkowych. W owych biwakach byłem już kilka razy, poszukując znajomych towarzyszy podróży z Torunia do Bremy. Z księdzem Pracharem byłem tu podczas wydawania ludziom z kuchni żywności, a także w czasie bytności dr. med. Langa, który bardzo troskliwie badał stan zdrowia skarżących się na niemoc.

W dniu 1 listopada odesłano do szpitala chorą Wróblewską z powiatu sierpeckiego i chłopca szesnastoletniego, Henryka Rosickiego. Społeczeństwo bremeńskie zachowuje się szlachetnie wobec emigrantów. Na wezwanie krótkie księdza Prachara w „Bremer Nachrichten”³⁴ z 1 listopada o smutnym stanie emigrantów, pośpieszono z ofiarami; widziałem stosy ubrania, bielizny i obuwia, które do starego banhofu znoszono; damy tutejsze zajeżdżały w karetach, przywożąc pełne kosze ofiarowanych przez siebie darów. Bo i cóż robić, gdy bliźni cierpi, gdy niejednemu brakuje koszuli i butów, odzienia, a nierozważnie puścił się w szaloną podróż?

W ogóle katolicki ksiądz Prachar cieszy się wielką sympatią między chłopstwem i gdy się ukaże, rzucają mu się do rąk, a on swoim morawsko-czesko-polskim językiem nikogo nie zostawia bez pocieszenia, daje śluby, chrzci, spowiada, zachęca do wytrwania w wierze. Jestem zbudowany jego chrześcijańską dobrocią, bo jest to właśnie prawdziwe posłannictwo kapłana. Prachar nie tylko dobrze przemawia, on chodzi, wyprasza dla emigrantów ustępstwa w gospodach itd., słowem, dobry człowiek. W niedzielę w katolickim bremeńskim kościele będzie msza św. na szczęśliwą drogę.

Na starym banhofie spotkałem Wiśniewskiego z Rokitnicy, przyjaciela z podróży od Torunia do Bremy. Cała jego rodzina leżała w ciemnym korytarzu na śmieciach, matka karmiła dziecko piersią w kupie barłogu; znalazł się tu także jego brat, którego właśnie trapił skrupuł, że w kraju pożyczył od kogoś rs. 5³⁵ na podróż do Ameryki Północnej, tymczasem zdecydował się jechać do Południowej, chciał więc z Bremy odesłać pożyczone pieniądze. Dowiodłem mu, że dług będzie mógł odesłać równie dobrze z Brazylii, a pięć rubli lepiej zatrzymać jeszcze, gdyż o Brazylii straszne rzeczy ludzie mówią.

O tych biedakach na starym dworcu kolei żelaznej w Bremie jest tak dużo do opowiadania, że nie ma możliwości opisywać wszystkiego. W suterenie jest wielka kuchnia, gdzie dzieci emigrantów obierają kartofle, a kucharz, Niemiec, ciągle jest czynny; herbata gotuje się tu w ogromnych kotłach; mnóstwo chleba zalega stoły.

Nie sądzicie, iż całe to położenie stoi na przeszkodzie sprawom ogólnoludzkim: ludzie się tu rodzą na biwakach owych, umierają i zawierają małżeństwa. Od dnia 23 października

³²banhof (z niem.) — dworzec kolejowy. [przypis edytorski]

³³marka — daw. jednostka monetarna w Niemczech. [przypis edytorski]

³⁴„Bremer Nachrichten” — gazeta wydawana od 1854 r. w Bremie. [przypis edytorski]

³⁵rs. — skrót od: rubel srebrny, jednostka monetarna w Imperium Rosyjskim i zaborze rosyjskim. [przypis edytorski]

przyszło na świat w Bremie dwóch chłopców, umarło zaś w tym czasie troje dzieci. Atoli najciekawsze jest, że zawarto sześć małżeństw; „bo tu łatwo ślub wziąć — mówi jeden chłop — dasz na jedne zapowiedź i do ołtarza; nikt człeku nie wadzi, kobiety nie odbije, kiej się nie wlecze”.

Panuje przekonanie, że w Brazylii najwięcej tacy warci, co już mają żony. Nie tylko ślub zawierają, lecz wyprawiają sobie głośnie wesele, według rytuału krajowego, z oczepinami itd. Zamiatają w kącie sali jedną kupę śmieci, skrzypków jest pełno między nimi i hasanie trwa przez całą noc albo i dłużej.

— Rozpusta tyło w głowie u głupiego narodu! — mówił do mnie chłop stary o takim weselu.

Żona brata mojego Wiśniewskiego opowiadała mi, że lada dzień będzie nowe wesele, gdyż krewna jej, Julka, dziewczucha szesnastoletnia aż się rwie do Błażka, parobka dwudziestotrzyletniego.

Zawiązałem wiele stosunków z tymi emigrantami; nie wymieniam ich nazwisk, aby nie zajmować dużo miejsca. W ogóle, czy to w dzień czy wieczorem, jeżeli się spotka w spokojnej i poważnej Bremie ludzi rozmawiających głośnie, można się na pewno do nich zbliżyć, gdyż to są emigranci. Ciągłe ich zapytuję:

— A skąd ojcowie?

— Oj, z daleka, z daleka, mój panie!

I każdy gotów ci zaraz opowiedzieć historię swego życia. Podejrzliwość dawniejsza zniknęła teraz zupełnie, nie wystrzegają się mówić, są smutni, większość już głośnie żałuje, że kraj opuścili.

Mimo całej swej sympatii jaką mam dla tych biedaków, muszę powiedzieć prawdę, że wielu między nimi nie przynosi chluby krajowi. Pozwalają dzieciom żebrać natrętnie po drogach, są w najwyższym stopniu nieporządni na gospodach, swarliwi i zuchwali. Przy ulicy Auf der Brake, pokłócili się z gospodynią (firma Bauermeister) i chcieli ją bić. Gdzie indziej znowu wtargnęli do izby gospodarza i zabrali mu materace oraz prześcieradła, aby je sobie położyć na posłaniu. Mówiono mi o kradzieży, lecz nie podano dokładnych wskazówek, więc sobie pozwalam z przyjemnością wątpić.

Odwiedziłem redakcję bremeńskiego „Kuriera”, jednak sprawa wychodźstwa nie zajmuje tu widocznie dziennikarzy: redaktor tłumaczył się, iż ma dużo roboty, ponieważ pismo jego dwa razy na dzień wychodzi.

Więcej doniosłości miały dla mnie odwiedziny księdza i członka towarzystwa św. Rafała, Schlossera. Gdy tam pierwszy raz przybyłem, zastałem pełno chłopów, a między nimi niejakiego Białeckiego z powiatu konińskiego; chłopu urodziło się dziecko i żądał chrztu, „bo jeśli małe ma w drodze zamrzeć, to przynajmniej jako katolik”. Wpadła też do księdza baba jakaś z wrzaskiem, wyrzekając, iż ją do cna okradziono. Emigranci są radzi, gdy kto do nich przemówi: — „Ooo, to pan musi z naszych stron!” powtarzają.

Jestem przekonany, że gdyby nie obawa kary za przejście granicy i nie brak środków, to połowa tego tłumu zawróciłaby już z Bremy. Żywność, choć nie jest złą, nie smakuje im, gdyż nie taka, jak w domu; grochu szablatego jeść nie chcą, wylewają porcje na ziemię i wolą się opychać chlebem.

W niedzielę od godziny dziesiątej rano, tłumy chłopów w kaftanach i długich kapotach, bab w różnokolorowych kieckach oraz chustkach, podążyły do kościoła katolickiego przy ulicy Klosterkirchenstrasse; trudno się tam było przedostać, taki ścisk panował. Wyglądało to zupełnie tak samo, jak gdyby suma w kościele parafialnym na wsi.

Niektórzy padali na ziemię, całowali ją, głośnie łkając, inni modlili się żarliwie na głos, a przez cały czas rozlegały się nabożne pienia, które u nas lud zwykle śpiewa po kościołach. Kazanie powiedział ks. Prachar łamanym językiem, zachęcał do wytrwania w wierze i do ufności w Miłosierdzie Pańskie. Wielu ludzi dnia tego przystępowało do Przenajświętszego Sakramentu.

Z tym wszystkim było jakoś grobowo, smutno; patrząc na ów lud zbłąkany, zapędzony w obce strony, opuszczający ziemię, która ręk potrzebuje, trudno się od łez wstrzymać. A kiedyż indziej płakać, jeśli nie w takiej chwili?

Nie widziałem ani jednej sukmany — wszystko kubraki, kaftany, surduty, kapoty. Nie spotkałem ani jednego chłopca z gubernii radomskiej i kieleckiej. W Bremie też żydzi

Emigrant, Polak

zupełnie się oddzielili od chrześcijan. Na starym dworcu daremnie poszukiwałem choćby jednego Izraelity.

Jeszcze mnie bardzo zajmowało sprawdzenie, o ile chłopci tutaj oddają się pijaństwu: trzeba przyznać, iż na tym punkcie panuje znaczna wstrzeźliwość. Ci, którzy zachodzą do szynków, piją w nich tylko piwo, rzadko — wódkę, „bo jakaś taka do niczego niepodobna”. Wielu też siedzi w szynku, aby się tylko pogapić; przyglądają się — to wesołym marynarzom, to Murzynom i „cećniejakiemu narodowi”, o który w Bremie nie trudno.

Już to o gapiów naszych wszędzie się tu potknąć można. Po niedawnej wystawie bremeńskiej do ostatnich dni października odbywały się hece na rynku, chodziły po ulicach wielbłądy, niedźwiedzie z małpami itp., więc Maćki, Bartki, Kaśki i Maryny wystawiali precz z rozdziawionymi usty³⁶.

Muszę tu dodać jeszcze, że wszyscy bremeńczycy usprawiedliwiają się jak najtroskliwiej z zarzutu, jakoby w ich mieście lub w ogóle między nimi istnieli ajenci do sprowadzania od nas emigrantów „*Nach Brasilien*”³⁷. Nazywają to handlem ludźmi i zżymają się, gdy im wspominam o takich ajentach. Tylko o nazwisko Santosa ciągle potrącam: mówią o nim księża, ekspedienci okrętów, właściciele hoteli i sklepów, a zawsze źle.

Dziesiątego listopada wychodzący mają wsiąść na nowy statek, aby wyruszyć do Lizbony, wszyscy oczekują tej chwili z niecierpliwością.

Brema, 30 października [18]90 r.

III. NA OKRĘCIE

Dnia 5 listopada o godzinie drugiej po południu wyruszył z Bremen³⁸ pociąg wiozący emigrantów na okręt do Bremerhaven³⁹; już przed jedenastą inny pociąg wywiózł ich był⁴⁰ znaczną liczbę.

Umieszczanie na okręcie rozpoczęło się przed czwartą, a przeciągnęło się po szóstą.

Przeszło 2 500 głów pełnych nadziei brazylijskich przyjął do wnętrza swego parowiec „*München*”, należący do towarzystwa północno-niemieckiego Lloyda. Nawiasem mówiąc, jest to jeden z największych statków bremeńskich.

Wraz z emigrantami znalazłem tu i ja pomieszczenie.

Rozpatrzywszy się po zajętej przez siebie kabinie, zszedłem niebawem pod pokład na pierwsze i drugie piętro, które mi się przedstawiły jako rodzaj morskiej sutereny. Na każdym z tych pięter wiszą dwa pokłady łóżek z żelaznych prętów, a każde takie łóżko zaopatrzone jest w siennik, wysłany słomą i w poduszkę z trawy morskiej. Na łóżku spoczywa jeden dojrzały człowiek (matka lub ojciec) i dziecko. Przejścia między łózkami są wąskie, tak że minąć się trudno. Obliczyłem te łóżka w pierwszym oddziale i znalazłem ich na górnym piętrze 250, na dolnym 190, czyli pomieszczenie przeszło 800 ludzi, licząc w to dzieci; w trzech więc oddziałach znajduje się powyżej podaną ilość głów!...

Zaraz pierwszego wieczoru emigranci tu i ówdzie na łóżku ustawili obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej i głośno odśpiewywali „*Gwiazdo morza, któraś Pana*”. W jednym kącie jakiś pyszałek znowu przechwalał się swoją znajomością tego, co to jest dobry statek parowy.

— Ten na *ocan* nie pójdzie — mówił — za słaby na to; ja do Nordy Ameryki jeździł, to ściany były w dubelt i okna het w dubelt, a to wszystko miętkie: *ocan* jak huknie, rozleci się, ćwieki wypadną.

Mieliśmy nazajutrz rano ruszyć w drogę, lecz mgła była nadzwyczajna, więc cały dzień przeczekaliśmy w porcie.

Emigranci z naiwnością dzieci lub dzikich podziwiali wszystko. Zabawnie wyglądali niektórzy poprzebierani w rozmaite niemieckie szaty, którymi ich dobroczynna publiczność bremeńska obdarzała. Niektóre dzieci, w brudnych koszulach tylko, miały na gło-

³⁶z *rozdziawionymi usty* — dziś N.Im: (...) ustami. [przypis edytorski]

³⁷*nach Brasilien* (niem.) — do Brazylii. [przypis edytorski]

³⁸*Bremen* (niem.) — Brema. [przypis edytorski]

³⁹*Bremerhaven* — miasto w Niemczech u ujścia Wezery do Morza Północnego; wielki port handlowy, pasażerski i rybacki; obecnie połączony z Bremą. [przypis edytorski]

⁴⁰*wywiózł ich był* (daw.) — daw. forma czasu zaprzeczonego: dziś: wywiózł. [przypis edytorski]

wach piękne włóczkowe czapki, od brudnych nóg odbijały znów rażąco wytworne trzewiczki, suto haftowane majtki. Widziałeś tu modne płaszczyki z pluszowymi pelerynami, długie eleganckie rękawiczki i tym podobne stroje, obce polskiemu chłopu. Niektórzy darami takimi dobrze się obłowili.

Rozpatruję się między ludźmi i na okręcie nie spotykam to jednego, to drugiego, choć wiem, że miał jechać w tej właśnie partii. O, bo w ostatniej chwili, przy wsiadaniu na parowiec, niektórych już w porcie odeszła ochota Brazylii! Jeden chłop z guberni kaliskiej był już na pokładzie, lecz żadną miarą nie chciał zejść na dół; spychali go majtkowie, a on się bronił, nareszcie drapnął gdzieś z okrętu: przeląkł się morza i tego *Zwischendecku*⁴¹.

Przez cały dzień 6 listopada chodziłem, zabierając znajomości:

— Skąd ojciec? — pytam i zwykle odbieram najczęstszą odpowiedź:

— Spod Mławy, spod Nieszawy, spod Słupi, Włocławka.

Z początku jedli bardzo nieumiarkowanie.

— Proszę pana — powiada mi chłop stary — ten nasz naród strasznie podły, jeden bierze jadło za siedmiu, potem *zruci*⁴², a dla innych brakuje.

Spotkać tu można przeróżne typy psychologiczne. Jakiś szewc spod Mławy zawraca np. chłopom głowy, udając mądrego, powiada, że doskonale mówi po niemiecku.

— Pojedziemy na Francję, tam jest naród *fajn*, delikatny! O, *ja, ja*, na *szyfje* musisz koniecznie jechać na Francję i na wyspę Święty Heleny.

Inny znowu tłumaczy, że suchary białe dlatego dają ludziom na okręcie, bo doktor tak zapowiedział:

— Nie kazował dawać nic innego, żebyśta sobie kaidunów nie rozpychali; wyjedzieta na morze i *rebekowanie*...

Kiedy wieczór, około dziewiętej, mgły się rozeszły i statek zmienił położenie, gotując się do drogi na drugi dzień, wynikł spór na pokładzie:

— Idzie! — rzekł jeden z chłopów.

— Nie idzie! — odpowiada drugi.

Na ten temat jęli się kłócić, aż przyszło do srogich kulaków⁴³.

— Żeby nie było takiej skazówki u *styru*, toby ten okręt załaził kajniebądź⁴⁴ na kępy — powiada jeden chłop.

— A juści, juści, magnes go ściąga, jak nie ma skazować... szytka skazuje, dycht na Bryzolią.

Dnia 7 listopada o 5 ½ rano „München” ruszył dalej w drogę.

Gdy się przyglądał z pokładu falom, podszedł do mnie jakiś tapicer i zaczął narzekać na brak dobrego towarzystwa:

— Wszystko, panie, chamy, dranie; mam przy sobie karty; ale z kimże tu grać w preferansa... Z chłopem?

Już pod wieczór tegoż dnia baby zaczęły się skarżyć, że im się we łbach *kotuje*. Poszedłem na dół, gdzie zastałem chłopą, który przeciągając, sylabizował jakąś książkę, inni z odkrytymi głowami słuchali, choć, jak się przekonałem, nie rozumieli, o co chodzi. Treść książki brzmiała np. „Człowiek, który chodzi drogą cnoty, nie czyta światowych występnych książek, ani nie patrzy na sprosne malowidła, gdzie są nagie cielska”. Doradziłem im, aby lepiej zaśpiewali jaką pieśń nabożną.

Jest tu chłop, stary wyga, o którym jego towarzysz tak mi powiada:

— Oni to sobie z Niemcami okrutnie dają radę. Kiej⁴⁵ im... kucharz wyda i powiada: „*weg, weg!*”⁴⁶, oni tylko głową kiwają i mówią: „a bo ja głupi, nie pójdę!”. A no kartkę mu pokazują, gdzie sobie napisali siedem kresiek, póki się Niemiec nie zmądrzy, że mają siedmioro dzieci... Drugiego to by za drzwi wyrzucili, oni zawdy⁴⁷ na swoim postawią.

⁴¹*Zwischendeck* (niem.) — międzypokład. [przypis edytorski]

⁴²*zruci* — zrzuci (z żołądka); zwymiotuje. [przypis edytorski]

⁴³*kulak* (daw.) — cios, uderzenie zaciśniętą pięścią. [przypis edytorski]

⁴⁴*kajniebądź* (gw.) — gdzieś, gdziekolwiek. [przypis edytorski]

⁴⁵*kiej* (gw.) — kiedy, gdy. [przypis edytorski]

⁴⁶*weg, weg!* (niem.) — wynocha, precz! [przypis edytorski]

⁴⁷*zawdy* (gw.) — zawsze. [przypis edytorski]

Nasi chłopci cenią się bardzo wysoko, myślą, że ich pożądamy wielce różne rządy; slyszalem na okręcie legendę, że do naszego parowca podjechał w nocy angielski statek i wykradł 25 emigrantów.

— Po co by mieli wykradać? — odzywam się.

— A któż, panie, może wiedzieć? Musi potrzebowali takich polskich ludzi.

Poznałem się znowu z jakimś wyszczekanyim chłopem; powiada, że jest ogrodnikiem z guberni plockiej, wymyśla na wszystko co polskie, o szlachcie powiada z przechwałką: „Co nasza szlachta? Same gałgany i koniec. A bo to u nas są jakie miasta! Ades jest dziesięć razy większy od Warszawy, większy od Brymy, a naród tam oksztalcony”.

Trzymają się też tych biedaków i figle: kiedy np. na parowcu wypuszczają parę z maszyny, chłop się odzywa do baby:

— Maryna, Maryna, a lećże do krowy, bo się cieli! Nie słyszysz, jak ryczy?

Podczas zaś kołysania się statku, gdy się ludzie zataczają na pokładzie, dowcipny chłop tak się odezwał:

— Dobrze zaganiata gęsi, ani jedna nie została.

Pogoda, która 7 listopada była od rana, zmieniła się wieczorem. Powstał wiatr, okręt zaczął tańczyć, fale wpadały na pokład, a z tym zaczęła srogo panować i morska choroba. Przyczyny tej choroby chłopci nie pojmują inaczej, tylko widzą ją w przedzeniu się.

— Bo to, mój panie, poobżerali się wczoraj, a tu na morzu trza mieć czysty żołądek. Co innego tam wypić na wzmocnienie jeden, drugi kieliszek *sprytu*⁴⁸, jeno tutaj okrutnie drogi... Franek a to kupił butelkę tańszego za markę, to w morze do cna wylał... słabizna taka!

Spotykam swego przyjaciela, Wiśniewskiego i pytam:

— Cóż zdrowiście?

— Zdrowem panie, jenom zruciał...

W nocy mieliśmy przedsmak burzy.

Ósmy listopada był niespokojny; fale miały ciągle okrętem; pochorowali się i ci, co dotąd wytrwali. Wszystkie kobiety mają głowy poobwiązywane, leżą wyciągnięte na siennikach, jęczą, przeklinają morze, Brazylię i chłopów, którzy je wyprowadzili z domów. Niektórzy chłopci trzymają się jeszcze tego.

Spotykam znowu błagiera szewca spod Mławy, jak otoczony przez gromadkę chłopów rozprawia:

— Pojedziemy — powiada — przez wodę taką, co jest czerwona jak krew — przez Morze Czerwone.

— Ej! — odzywa się z boku stary chłop. — Gdzieżby woda jaka miała być czerwona? Zwyczajnie nazywa się Morze Czerwone, tylo woda jest taka, jak inna.

Inni chłopci spojrzeli na mnie pytająco, szewc umilkł.

Gdyśmy dojeżdżali do brzegów Holandii, ukazywały się w oddaleniu maszty okrętów przejeżdżających. Mały chłopak stał przy ojcu na pokładzie i pokazywał maszt taki palcem, mówiąc:

— Tatusiu, czy to gruszkę w polu widać?

Śmiech ogólny.

Na dole okrętu nie wolno palić tytoniu⁴⁹ i w jednym oddziale przestrzega tego majtek pół Anglik, pół Niemiec, który ma brodę capa, a twarz szympansa; podbiegł oto zapalczywie do chłopca i pyta:

— *Do you smoke?*⁵⁰

Ale chłop schował papierosa, a kiedy majtek odszedł, żona winowajcy się odzywa:

— Pokraka jeden, włożył sobie talerz na łeb i myśli, że co wielkiego, a toć on ciebie, Michał, smokiem nazwał...

Kiedyśmy płynęli, mając na prawo brzegi Anglii, chłopci się ciekawie przyglądali, a jeden rzekł:

— Czy to i w Bryzologii tak będzie? Chałupy takie rzadkie.

Inny powiedział:

⁴⁸*spryt* (gw.) — spirytus. [przypis edytorski]

⁴⁹*tytuń* (daw.) — tytoń. [przypis edytorski]

⁵⁰*Do you smoke?* (ang.) — Palisz? [przypis edytorski]

— To są góry oślane, ośelki tu takie do ostrzenia kos stąd dobywają.

Jednego razu otoczyli mnie emigranci wkoło i pytają:

— Pan jedzie swoim kosztem?

Odpowiadam im, że swoim, bo jak źle będzie w Brazylii, to wrócę.

— A to pana w Brazylii nie przyjmą — odzywa się któryś — nie przyjmą, dopóki panu nie zwrócą tego, co pan na drogę wydał.

— Ależ głupstwa wygadujecie! — odrzekłem.

— Ja panu powiadam, że w Brazylii jest takie przykazanie dla narodu.

Gdy wszyscy wylegną na pokład, wtedy można po stroju mniej więcej poznawać okolice, do których emigranci należą. Nie widzisz tutaj tylko białej ani brunatnej sukmany, równie jak białej magierki lub czerwonej rogatywki z czarnym barankiem i pawim piórkim.

Za to spostrzegam oto krępego chłopca w szarej kurpiowskiej kapocie, obszytej czarną taśmą i zapinanej na dwa rzędy guzów, z kieszeniami na tyle. Gdzie indziej znowu uwija się chłop, wygolony jak ksiądz, w długiej granatowej sukmanie i czarnym kapeluszu. Jakiś starzec chodzi w kozuchu z siwych baranów i z ogromnym kołnierzem futrzanym na plecach; o ile wiem, jest to patriarcha rodziny, liczącej głów szesnaście; wstrzemięźliwy w mowie, wygląda na człowieka, co zawsze był rozsądny w życiu — raz strzelił bąka, ale dobrego. Dalej nieco w drylichowej marynarce i w takichże spodniach, w kaszkiecie wytartym, zwieszonym na tył głowy, z szycją grubo owiniętą w szal włóczkowy i z papierosem w ustach, umizga się do dziewczyny eks-parobek dworski. W niskim i sztywnym kapeluszu brązowym, w żakiecie, z dewizką od zegarka, z rękami w kieszeniach od spodni, stoi rzemieślnik większego miasta. Inny jakiś emigrant przesuwa się w bardzo obszernym granatowym płaszczu z wielką peleryną i w czarnym kapeluszu z dużym rondem. Tam znowu widać baranią czarną czapkę i czerwone rękawy koszuli, wyglądające spod kaftana w formie fałdowanej jubki⁵¹. Chłopak podrostek ma na sobie bardzo obszerny tużurek⁵² z długimi rękawami, подарowany przez jakiegoś roślego Niemca z Bremy.

Lekarze okrętowi mówią o chłopach tych, że są zdrowi i dobrze zbudowani; za to kobiety po największej części wątłe, słabe i brzydkie; pomiędzy dziećmi panuje na okręcie duża śmiertelność.

Jesteśmy siódmy dzień na morzu: dzieci umarło już sześcioro i jedna kobieta, urodziło się czworo. Po przybyciu do Rio de Janeiro będą zapewne wesela, bo zalotów jest dużo.

— Czy panna już womitowała⁵³? — zapytuje konkurent pani swego serca, a ona odpowiada głosem melancholijnym:

— Jeszcze nie, ale mi się zbiera.

Z dolnych pięt, mimo zaleceń lekarzy, trudno wyprowadzić matki z dziećmi na pokład, gdzie powietrze jest przepyszne, zwłaszcza począwszy już od Oporto. Wprawdzie wiatr nie zmienił kierunku, lecz w podmuchach swoich ma taką miękkość i łagodność jak u nas w ciepłym maju; te baby jednak przekładają duszne i cuchnące powietrze na spodzie okrętu.

Zauważyłem, że wszyscy chłopcy są dobrymi mężami i ojcami. Jak oni dbają o swoje chore żony, jak pielęgnują dzieci! Ojców zawsze spotkać można z dziećmi na ręku lub na kolanach. Baby są nadzwyczajnie nieporządne, nie myją się, nie czeszą, leżą na łóżkach wśród mnóstwa gratów i artykułów żywności. Bóg wie, co się znajduje na tym okrętowym łóżku, oprócz ciał ludzkich!

Pożywienie im nie smakuje, bo sposób gotowania niemieckiego jest inny.

Co do nadziei brazylijskich, to one maleją, tylko najbujniejsze fantazje rokurają sobie ciągle dużo. Opowiadał mi jeden mularz, że ktoś taki „od nich” pojechał do Brazylii i zaraz potem przysłał swej żonie szyfbilety⁵⁴, a tak pisał: „ja tu nic nie robię, jeno w krześle siedzę sobie i oskubuję wataę, co okwitła, i za to zarabiam na dzień trzy amerykańskie talary”.

Korespondencję swoją kończę 13 listopada, a ósmego dnia po wyjeździe okrętu z Bremerhaven. Jutro mam zamiar wysłać ten list z Teneryfy, dokąd zawiniemy, aby okręt zaopatrzyć w węgle i żywność.

⁵¹jubka — kaftan z rękawami do łokcia. [przypis edytorski]

⁵²tużurek — rodzaj okrycia męskiego podobny do żakietu. [przypis edytorski]

⁵³womitowała (daw.) — dziś: wymiotowała. [przypis edytorski]

⁵⁴szyfbilety (daw.) — bilety na przejazd statkiem dla emigrantów do Ameryki. [przypis edytorski]

P. S. Już po napisaniu tego listu wdałem się w bardzo interesującą rozmowę z oficerami okrętu.

Wielkie nieszczęście czeka w Brazylii naszych ziomków; z chwilą, gdy oni przeszli granice kraju, stają się własnością plantatorów, niemających rąk do uprawy trzciny cukrowej i kawy! To wszystko, co dostali w postaci wolnego przejazdu kolejną lub na okręcie, co zjedli i wypili, nic nie płacąc, przyjdzie odpokutować zupełną utratą wolności, jeśli się kosztów nie zwróci. Wyślą ich w okolice puste, może błotniste, gdzie panuje żółta febra, a ich panowie przyszedli są to zbiry, przyzwyczajone do niewolników, których im dziś zbrakło.

Co można tylko najgorszego, dziś się dopiero dowiedziałem, tak dyskretnie wszystko kryją pod korcem⁵⁵. Nie wyobrazicie sobie, jak mnie te wiadomości zmartwiły! A tu każdy przede mną się tai; nareszcie dziś odkrycie serca nastąpiło w całym tego słowa znaczeniu.

Jutro (14 listopada), jesteśmy o piątej rano na Teneryfie, skąd list wyślę.

Pogoda cudowna, ciepło, niebo pyszne, ocean ciemnolazurowy, noc gwiazdzista. Szkoda, że na okręcie dzieci chorują i mrą; zdaje mi się — jest szkarlatyna, lecz tają.

Gdyby się morze przestało tak namiętnie poruszać, to bym jeszcze z Teneryfy wysłał korespondencję, ale wobec nadzwyczajnego kołysania się statku, gdy wszystko spada na ziemię, a ja sam ledwie się trzymam na nogach, nie ma podobieństwa pisać do druku.

Mamy ciągle wiatr północny, który dmie szalenie od samego kanału i podrzuca statkiem.

Jesteśmy u wybrzeży portugalskich w chwili, gdy to piszę.

Jeśli jutro staniemy na Teneryfie, list wyjdzie rekomendowany. Materiału mam mnóstwo, a przybędzie jeszcze więcej. *De facto*⁵⁶ emigrantów jest ze mną na statku 2500: rzemieślnicy, parobcy, bardzo mało rolnych chłopów. Umarło dotąd na okręcie czworo dzieci i jedna baba. Chorobę morską, prócz mnie, przeszli wszyscy prawie. Jęk rozpaczy, wymioty rozlegały się przez cztery dni na wszystkie strony.

Nic już więcej nie piszę, bo i to ledwie mogę skończyć.

Teneryfa, 14 listopada [18]90 r.

IV. MIĘDZY ZWROTNIKAMI. PRZYJAZD DO PORTU

Czternastego listopada jeszcze na niebie ciemno było, kiedym odszrubował okno swego gabinetu w kajucie i spostrzegłem widniejące we mgle wierzchołki gór Teneryfy — ostro kanciaste i po największej części szpiczaste.

Przyplłynęliśmy do portu Santa Cruz, widzieliśmy z daleka miasto o domach z płaskimi dachami i zielonymi okiennicami, z ogrodami, w których kwitnęły granaty, róże, lilaki; lecz *na ląd nikomu wysiąść nie pozwolono*, ponieważ na okręcie od czasu wyjazdu z Bremerhaven było sześć wypadków śmierci, a spokojni wyspiarze obawiają się zarazy.

Okręt w porcie nabral węgla, wody słodkiej, zakupił kilkanaście wołów i przed wieczorem ruszyliśmy dalej. Zaczęły się gorąca i to codziennie większe. Już pod 19° północnej szerokości geograficznej nie można było spać pod kołdrą.

Nie opisuję tu wrażeń osobistych, których doznałem w czasie tej podróży na morzu, ponieważ te przedstawię osobno; tutaj notuję jedynie fakty mające związek z emigrantami.

Dziesiątego dnia podróży na wodzie dały się słyszeć wśród emigrantów szmery niezadowolenia. Utyskiwali, że podróż trwa długo:

— Takie Niemcy mogą nas wieść gdzie na zgubę — mówiono — oficerowie powiadają na czółna i uciekną, a nas zostawią na morzu z okrętem.

Całodzienne próżniactwo, zagęszczona dosyć szkarlatyna, a później błonica pomiędzy dziećmi, sprzyjały wytwarzaniu się coraz większego niezadowolenia. Jednego dnia było chorych 50 dzieci; obaj lekarze mieli nader dużo zajęcia i bardzo sumiennie obsługiwali pacjentów; ale chłopcy wcale na to nie zważali i przypisywali chorobę złemu systemowi żywienia na okręcie.

⁵⁵korzec (daw.) — naczynie służące do pomiaru zboża, tu: przen. w nawiązaniu do wersetu z Ewangelii św. Mateusza: „Nikt nie zapala światła i nie stawia go w ukryciu ani pod korcem, lecz na świeczniku, aby jego blask widzieli ci, którzy wchodzą”. [przypis edytorski]

⁵⁶de facto (łac.) — w rzeczywistości. [przypis edytorski]

Emigrant, Choroba,
Dziecko, Polak, Niemiec,
Chleb

— Chleb oto dają na morskim kwasie i jak nie mają dzieci umierać.

Jednego dnia nie chcieli wcale brać sucharów, stawiali się bardzo ostro, dopiero niejaki Rybkowski zrobił uwagę, że lepiej dać pokój, bo „kapitan może kazać *matrosom*⁵⁷ wrzucać zuchwałych w morze”.

Z tym wszystkim oficerowie parowca „München” mówią:

— To jeszcze dobrzy ludzie; przewoziliśmy emigrantów Hiszpanów, którzy niczego się nie bali i zaraz brali za noże.

Chłopi polscy — zdaniem Niemców — są tylko pełni pretensjonalności, uważają się za bardzo znakomitych ludzi, a gdy się jedno jakieś ich żądanie zaspokoi, zaraz występuje drugie, trzecie itd.

Ani jeden ze wszystkich emigrantów nie miał choćby cokolwiek zbliżonego do prawdy pojęcia o tej podróży.

— Przez dwa dni — mówili — będziemy płynęli po wrzącej wodzie i dlatego okręt okuty żelazem, bo by się drzewo rozgotowało.

Pocieszali się jednak w drodze nadziejami brazylijskimi:

— Ja wezmę cztery włóki⁵⁸ gruntu — mówił jeden z emigrantów — bo nas jest z babą dwoje i mamy dwoje dzieci.

— A ja — rzekł drugi — muszę wziąć sześć, bo na wiosnę przyjedzie Stasiek z Jagną.

— Na wójta musimy tam wybrać Wicka Strzałę, a Głodzikowskiego na sołtysa.

Takie i tym podobne rozmowy łatwo było słyszeć na pokładzie podczas gorących dusznych nocy podrównikowych, kiedy zasnąć było trudno w pocie.

Przez całą drogę nikt nie zateśknił do kraju; na ten temat wszcząłem z nimi parę razy rozmowę, z której wynikało, że podróż wcale im nie przypada do smaku; ale też i wracać nie ma już po co. Przy całej religijności, polegającej głównie na formach, cały zastęp emigrantów na parowcu „München” jest krańcowo i grubo materialistyczny.

Na trzy czy cztery dni przed dotarciem do kresu podróży rozmawiałem z gromadą jakich trzydziestu ludzi, którym z lekka dałem do zrozumienia, że Brazylia zapewne nie jest rajem, że tam może im być daleko gorzej niż w kraju, a na pewno daje się przepowiedzieć, że najmniej $\frac{3}{4}$ dzieci nie zniesie klimatu i padnie ofiarą lekkomyślnych rodzicielskich zachcianek.

— Jak ma tam być źle, to niech lepiej i pomrą! — odezwała się baba, matka trojga dzieci. Żadnej z matek nie udało mi się przekonać o konieczności mycia i utrzymania w czystości dzieci, do których formalnie przyrosły brud i pasożyty.

— To być nie może, żeby ta Brazylia leżała tak daleko — dowodził jakiś chłop towarzyszom swoim. — Oni nas tak w kółko wodzą umyślnie, żebyśwa potem do domu nie trafili.

Przejazd przez równik nastąpił 20 listopada. Gorąco nie dawało się zbytecznie uczuć, gdyż wiatr wiał bardzo silny, północno-wschodni pasat.

— *Frische Brise!*⁵⁹ — mówili starzy marynarze; ale ten *Brise* niekiedy był tak silny, że o mało cię z pokładu nie wydmuchał.

— Cni⁶⁰ się, panie — mówili chłopi — w nogach człowiek tak ociążał, że nie wiadomo, czy będzie można po ziemi chodzić. Co będzie, to będzie, żeby aby raz dojechać do tej Brazylii!

Zaledwieśmy się znaleźli na półkuli południowej, a tu się zepsuła maszyna parowa. Upadam do nóg! Stać na środku oceanu i naprawiać maszynę. Naturalnie, żaden z chłopów nie wiedział o tym, co się stało; zrobiłoby to na nich wielkie wrażenie. Wyglądali na ocean, przypatrywali się rybom latającym; zajęły ich też nadzwyczajnie dwa rekiny, które przepłynęły tuż około parowca, a w oddaleniu spostrzeżono jakiegoś potwora morskiego z tępo zakończoną głową — prawdopodobnie któregoś z walów⁶¹.

⁵⁷*matros* (z ros.) — marynarz. [przypis edytorski]

⁵⁸*włóka* — daw. jednostka miary powierzchni, równa 30 morgom, tj. wynosząca ok. 18 ha (179 550 m²). [przypis edytorski]

⁵⁹*Frische Brise!* (niem.) — Świeża bryza! [przypis edytorski]

⁶⁰*cni się* (daw.) — nudzi się, jest tęskno. [przypis edytorski]

⁶¹*walów*, właśc. *waleni* — walenie (łac. *Cetacea*): ssaki wodne, głównie oceaniczne, do rzędu których należą wiele gatunków, m.in. delfiny, morświn, kaszalot, płetwal błękitny. [przypis edytorski]

Polak

Chłop, Polak

Podróż

W dwanaście godzin maszynę naprawiono i ruszyliśmy z szybkością trzynastu mil morskich na godzinę, czyli trzystu dwunastu tu na dobę.

Młody księżyc pokazał się na niebie; mieliśmy już ciągle nieporównanie piękne ranki i wieczory, a nawet w strefie deszczów spotkała nas jedna tylko porządna ulewa. Oh, koniecznie trzeba prędko dojechać, bo ludzie chorują! W szpitalach pełno bab, starców. A jednak wszystkiego przez całą drogę umarło tylko dziesięcioro; za to urodziło się sześćcioro.

Dwudziestego piątego listopada rano przepowiadam swoim ziomkom, iż w nocy dojedziemy do Brazylii; ruch się zrobił zaraz nadzwyczajny, wszyscy poczęli pakować swoje rzeczy. Jakaś kobieta zachodzi mi drogę i pyta, czy tam spotka swego męża, który na siedemnaście dni przed nią przeszedł granicę, ona zaś za nim podąży z pięciorgiem dzieci — biedactwo!

Po drodze już teraz spotykaliśmy mnóstwo parowców, wracających do Europy z Rio de Janeiro i Buenos Aires.

Od Bremerhaven do Rio de Janeiro przebyliśmy około 6000 mil morskich.

Brzegi Brazylii dały się widzieć przed piątą rano 26 listopada: są to łańcuchy gór nadmorskich, pokrytych lasami palm, magnolii itp.

Parowiec „Strasburg”, który z tysiącem polskich emigrantów wyjechał na 10 dni przed naszym odjazdem z Bremerhaven, tak różnymi przygodami trapiiony był na oceanie, że dopiero razem z nami wjechał do portu Rio de Janeiro.

Piękny to port naturalny, otoczony dokoła górami skalistymi, zapełniony lasem masztów i kominów okrętów parowych! Oko nie wie, gdzie się dłużej zatrzymać, czy na tych skałach o dziwnych kształtach, czy na mieście malowniczo rozłożonym na trzech górach, czy na zielonej płaszczynie wód, po której wśród olbrzymich statków, z flagami wszystkich narodów świata, uwija się mnóstwo drobnych czółen żaglowych, parowych i wiosłowych.

Zdziwienie naszych emigrantów było niemałe; bo nikt na nich nie czeka, nie spieszy, aby ich przyjąć; wśród tego wielkiego ruchu nikt na nich nie zwrócił uwagi. Rozpoczęły się biurokratyczne formalności ze strony urzędników celnych, później urzędników sanitarnych, a wreszcie wjechała brazylijska inspekcja emigracyjna.

„München” zdał swój towar na papierze, lecz trzy dni z emigrantami stać musi w porcie, bo wszystkie domy schronienia dla emigrantów są przepelnione i trzeba dopiero miejsce dla nich znaleźć; biwakują oni na tak zwanych wyspach „emigranckich”, zwłaszcza na wyspie „Kwiatów”, gdzie przed niedawnymi jeszcze czasami były targi na niewolników.

Dwudziestego ósmego piszę tę korespondencję, jako dokończenie krótkiego sprawozdania z podróży na parowcu.

Mała barka żaglowa przywiozła mnie przed dwudziestoma godzinami do Rio-Janeiro i jestem teraz od okrętu o godzinę podróży oddalony.

Ponieważ zamierzam zwiedzić kolonie polskie w Brazylii, przeto szukam stosunków. Miałem od Was list do pana San Angelo, lecz ten wyjechał do Valparaiso⁶².

Charakter miast jest nader oryginalny, ludzie zupełnie inni niż u nas: zajmują się sobą tylko, ruch bardzo wielki i do późnej nocy, a upały straszne. Rio de Janeiro jest tak kosztowne miasto, jak chyba żadne inne na świecie!

Przed chwilą powróciłem od pana Ferreira da Aranjo⁶³, redaktora jednej z dziesięciu wychodzących tu gazet politycznych („Gazeta de Noticias”⁶⁴): przedstawiłem mu się i powiedziałem, że mam zamiar zbadać stosunki i warunki bytu emigrantów polskich w Brazylii. Od niego dostałem kartę polecającą do pana hrabiego de Taunay⁶⁵, który jest wiceprezydentem do spraw emigracji i kolonizacji; otrzymałem od tego ostatniego *rendez-vous* na jutro między dziesiątą a dwunastą rano jako dziennikarz z Warszawy.

Oprócz tego pan Franklin Alvares Junior ma mnie jutro o pierwszej po południu przedstawić samemu ministrowi, abym dostał urzędowe pozwolenie na ową podróż po stanach Brazylii.

⁶²Valparaiso — miasto w środkowym Chile. [przypis edytorski]

⁶³Aranjo, José Ferreira de — założyciel i redaktor „Gazeta de Noticias”. [przypis edytorski]

⁶⁴„Gazeta de Noticias” — gazeta wydawana w latach 1875–1942 w Rio de Janeiro. [przypis edytorski]

⁶⁵Taunay, Alfredo Maria Adriano d’Escragnolle (1843–1899) — hrabia Taunay, brazylijski pisarz oraz polityk. [przypis edytorski]

Za dwa dni najdalej będę więc w podróży.

P.S. Wyjeżdżam dziś z Rio-Janeiro; jadę do prowincji Santa Catharina⁶⁶, a stamtąd do Parany⁶⁷: podróż ogromna, razem wzięwszy więcej niż dwa razy do Londynu tam i nazad.

W owych prowincjach zwiedzę polskie kolonie, do których zebrałem potrzebne adresy w biurze emigracji.

Z hrabią de Taunay miałem długie dosyć posiedzenie i rozmowę o emigracji, ale tego na razie nie opisuję.

W biurze emigracji udzielono mi map pomiarowych i nazwisk, gdzie mieszkają Polacy. Inspektorat zaś rządowy daje mi kartę polecającą, abym znalazł odpowiednie traktowanie; nie uwierzycie, ile te rzeczy kosztują trudu i zachodu przy słońcu, które pali jak piekło.

Do Santa Catharina wyjeżdżam za godzinę z tysiącem wychodźców.

Rio-Janeiro, 29 listopada [18]90 r.

V

Na okręcie w podróży. — W porcie. — Brazylikańscy urzędnicy wydziału kolonizacji. — Po com przybył do Brazylii? — Dom przy ulicy Ladeira da Gloria. — Narada Lukulusa z Lukulusem w kawiarni de Globo. — Redaktor brazylikańskiej gazety. — Hrabia i senator.

Gdy przez jaki miesiąc czasu ciągle morzem płyniesz i płyniesz, włożysz⁶⁸ się nałogowo w tryb życia jednostajnego, zamkniętego w pudle, noszącym nazwę okrętu. Wtedy obchodzi cię głównie stopień geograficznej szerokości i długości, pod którymi się znajdujesz, obliczasz ilość mil morskich przebytych w ciągu doby, przesiadujesz nad mapą, obserwujesz termometr i barometr.

Na okręcie codziennie jedno i to samo: majtkowie szorują zawzięcie pokłady, obmywają łodzie, rozpinają lub zwijają żagle, wywieszają lub zdejmują flagi itd. Inna znowu służba czyści troskliwie klamki, szruby okien, myje drzwi, okna, podłogi w salonach i kabinach.

Marynarze wyższego rzędu — ludzie spokojni jak posągi, małomówni, przechodzą około ciebie, a na ich twarzach zdajesz się czytać jakąś zagadkę.

— *Morgen!*⁶⁹

— *Morgen, Herr Commendant!*⁷⁰

— *Frische Brise!*⁷¹ — mówi pan kapitan lakonicznie. A tu dmie taki wiatr, że czapkę na głowie musisz dobrze ręką przytrzymywać.

Innym razem okręt się kołysze jak szalony, przerzucił cię już nieraz od ściany do ściany, masz sińce na łokciach i kolanach, a kapitan robi ci niespodziankę, kiedy przechodząc, mówi:

— *Es ist aber hübsch!*⁷² — Myślę sobie: musi być *hübsch*, skoro on tak powiada.

I nigdy a nigdy nie jest źle; choćbyś się nawet topił, to zawsze z wybornym przekonaniem, że jest jednak *hübsch*, że mogłoby być o wiele gorzej. Taki jedynie stan psychiczny ma dla człowieka wartość na morzu. Kobiety, dzieci nie powinny się puszczać w przydłuższą podróż morską: boją się, płaczą, wyprawiają wrzaski, a wszelkie *frische Brise* i *hübsches Wasser*⁷³ obchodzą jak najstraszniej przez morską chorobę, która u nich nieraz się kończy dopiero w hotelu na lądzie.

⁶⁶*Santa Catharina*, właśc. *Santa Catarina* — jeden ze stanów Brazylii ze stolicą w Joinville. W tekście nazwa ta często bywa spolszczana do formy Św. Katarzyna. [przypis edytorski]

⁶⁷*Parana* — jeden ze stanów w Brazylii ze stolicą w Kurytybie, obecnie największe skupienie Polonii brazylijskiej. [przypis edytorski]

⁶⁸*włożyć się* — tu: dostosować się. [przypis edytorski]

⁶⁹*Morgen!* (niem.) — Dzień dobry! [przypis edytorski]

⁷⁰*Morgen, Herr Commendant!* (niem.) — Dzień dobry, panie komendancie! [przypis edytorski]

⁷¹*Frische Brise!* — Świeża bryza! [przypis edytorski]

⁷²*Es ist aber hübsch!* (niem.) — Ależ piękna pogoda! [przypis edytorski]

⁷³*hübsches Wasser* (niem.) — piękna woda. [przypis edytorski]

Oto przybyłeś już do celu, okręt stoi w ostatnim porcie, zewsząd otoczyły go łodzie, a ty ze solą na języku i jakby z ołowiem w nogach stoisz na pokładzie otumaniony, i dopiero po chwili zadajesz sobie w myśli pytanie: „Po com ja tutaj przyphłynął?”

Ba, jesteś już na lądzie i jeszcze ci się zdaje, że ziemia pod tobą skacze; stawiasz nogi niepewnie, boś przywykł do zachowywania innej równowagi. Śpisz już, jak porządny filister, w betach, lecz we śnie mającą ci się rozmaite meteorologiczne awantury.

Przeplłynąłem prawie 90 stopni szerokości geograficznej, a blisko o 60 stopni długości jestem oddalony od Warszawy. Gdzie to tam jakiś porcik Cananeja⁷⁴, a gdzie moja Saska Kępa!

Słona woda tyle razy mnie obryzgała, że szmaty na mnie są twarde: Bóg wie, ile tam w nich funtów soli, pomieszanej z pyłem węgla kamiennego! Jestem jak mięczak w skorupie. Upał nadzwyczajny tłoczy mi mózg; czuję instynktownie, że mam w sobie jakąś ideę, lecz jej uświadomić wyraźnie nie mogę. Ciągłe tylko w głowie wiją się, jakby niezatarcie wypiętnowane, obrazy z państwa Posejdon. Bujam się na oceanie, na tej przepysznej szmacie globu! To szafirowa, to ciemnogramatowa, z blaskami szmaragdu, z wieńcami białych fontan, które perłami tryskają w górę. Jeszcze widzę olbrzymią smugę światła słonecznego rozlaną na widnokręgu oceanu. Jeszcze dobrze pamiętam, jak o zmroku wyglądały te fale: zimne, śliskie, niby galareta. A w nocy nieraz ryczą i wyją, jakby potwory, które rozdziawiają straszne paszcze, wyszczerzają okrutne kły białe. Oto w oddaleniu w susach pędzi fala rozczochrana jak furia, na łbie kurzy się jej czupryna, przypadła do okrętu i ulewą w twarz mi napłuła za to, że swą pierś rozbiła o żelazo parowca. Okręt zaskrzypiał, stęknął, pisnął, jakby miał duszę w sobie.

Lecą od brzegu lekkie parowczyki z banderami brazylijskiej rzeczypospolitej⁷⁵. „Wizyta, wizyta!” — powtarzają na wszystkie strony oficerowie niemieckiego parowca. I wnet lekarze z Rio de Janeiro sprawdzili, że Europa nie przesyła Brazylii żadnej epidemii. Po lekarzach wtargnęli na statek, jeszcze w Starym Testamencie przeklinani, celnicy. Po celnikach przybyli urzędnicy wydziału kolonizacji, aby odebrać spisy emigrantów i rachunki za przewóz oraz żywienie.

Było to kilku elegantów w lakierowanych butach, w brylantowych pierścionkach na palcach, mieli szyje obwiązane białymi chusteczkami, aby się nie opaliły na słonecznym spieku. O, bardzo źle sprawiali wrażenie ci panowie! Na spisy i rachunki zaledwie okiem rzucili, a za to poszli przepatrywać, czy przyjechały do nich jakie piękne kobiety. Przystojniejsze dziewczuchy pokazywali sobie palcami. Wśród tego ludu czarnego, ogorzalego, zbiedzonego, odartego, kontrast stanowili owi panicze. Gdyby kto na pogrzebie powszechnie szanowanego męża zagrał skoczno kozaka i zaczął wyskakiwać, mniej by mnie to raziło, aniżeli zachowywanie się takie panów urzędników.

Teraz wyleczyłem się zupełnie i uwolniłem spod wpływu długiej podróży przez Atlantyk; zniknęły wszystkie obrazy morza, prześlicznych wschodów i zachodów słońca, a spod progu świadomości wynurzała się myśl o zadaniu i celu mej podróży. *Przybyłem do Brazylii tylko po to jedno, aby się naocznie i bez żadnego uprzedzenia przekonać, co za podstawę mają nadzieje tysięcznych tłumów naszego ludu, szukającego polepszenia bytu materialnego tak daleko, tak bardzo daleko od kraju.*

Jeżeli mnie w tej podróży będą obchodziły jeszcze inne jakie sprawy, to się dopuszczę rodzaju kontrabandy wobec owego głównego społecznego celu. Trudno się było uchronić! Czytelnicy w dalszym ciągu sami osądzą, o ile obowiązek obywatela i człowieka służył mi za przewodnika.

Ziomków moich przewiozły łodzie na wyspę Flores, gdzie są koszary emigranckie, a ja zaraz potem znalazłem się na rozpalonym bruku stolicy Brazylii, Rio de Janeiro. Po portugalsku nauczyłem się już tyle, żem wiedział, jak się nazywa woda, chleb, mięso, nóż, widelec, mieszkanie itd. Mogłem powiedzieć: proszę, dziękuję, dzień dobry, dobry wieczór — słowem, najbardziej używane zwroty.

⁷⁴Cananeja — miasto i gmina w stanie São Paulo w Brazylii. [przypis edytorski]

⁷⁵brazylijska rzeczypospolita — Brazylia w 1890 r., czyli w momencie przybycia do niej Dygasińskiego była już republiką. Pełna nazwa kraju brzmiała wtedy Republika Zjednoczonych Stanów Brazylii. [przypis edytorski]

Właśnie w czasie naszego tutaj przybycia zaczęło się lato, a z nim nieznośne upały i oczekiwanie — gorszej od upałów — żółtej febry, która atoli w tym roku pojawia się sporadycznie, a nie jako epidemia.

Jak tylko znalazłem się w hotelu i otrząsnąłem pył podróży z sandałów, od razu powiedziałem sobie: „Ażeby zacząć coś robić, trzeba się koniecznie przyczepić do jakiego bliźniego; bo złe czy dobre rady zawsze są już wskazówkami dalszego postępowania”.

Nie tracąc czasu, wziąłem w rękę adres, którego mi udzielił redaktor „Kuriera Warszawskiego” i wybiegłem na miasto. W mieście tym rozwleczonym, rozbitym po górach, długo poszukiwałem ulicy Ladeira da Gloria; znalazłem nareszcie dom z oznaczonym numerem, zamknięty zewsząd, jak forteca. Dobrze i długo się tu dobijałem, aż wreszcie wyszedł do mnie Murzynek; pokazałem mu adres i rzekłem:

— *Avisa o senhor, que tenbo chegado!*⁷⁶

Murzyn odszedł, a po chwili wrócił i zaprowadził mnie do jakiejś starej Francuzki. Dama ta, chora na nogi, siedziała w fotelu i nie tracąc czasu, od razu zaczęła przede mną żalić się i oplakiwać upadek monarchii w Brazylii.

— Ten, którego pan poszukujesz — mówiła — jest człowiekiem bardzo szlachetnym; wspólnie oboje ubolewaliśmy nad rewolucją i upadkiem cesarstwa... Cóż o tym mówią w Europie?

Czułem, że mi zagraża niebezpieczeństwo bawienia chorej kobiety, więc wyzuwszy się z litości, zażądałem stanowczo, aby mi ta pani raz powiedziała, gdzie mianowicie i kiedy mogę się widzieć z panem da Ang...

— Ależ on wyjechał! — zawołała. — Gdzieżby mógł dłużej pozostawać po upadku monarchii?

— Zapewne przebywa niedaleko, na prowincji? — zapytałem.

— Niech Bóg broni! Pojechał do Valparaiso, pojechał ze łzami w oczach!

Straciłem cztery godziny czasu na próżno. Więc cóż, „załamać łapy i bić się w chrapy”? Powróciłem na to samo miejsce, skąd wyszedłem, następnie wszedłem do wielkiej międzynarodowej kawiarni *de Globo*, gdzie Anglicy często piją wino szampańskie, Niemcy — piwo, Brazylijanie czarną kawę lub mleko z kawą, a ja kazałem sobie podać kawę i kieliszek koniaku. Tutaj, spokojnie siedząc, naradzałem się sam ze sobą, co dalej przedsięwziąć. I z tej narady Lukullusa z Lukullusem⁷⁷ wypadło, że się trzeba chyba udać do któregoś z brazylijskich braci po piórze, aby mi na początek udzielił jakichś wskazówek.

Właśnie leżało przede mną kilkanaście płacht drobno zadrukowanej bibuły, a ja, nie rozumiejąc ich treści, zastanawiałem się, którą by tu redakcję wybrać za swego doradcę. „Bo — myślałem w duszy — cokolwiek mi powie taki pan redaktor, czy mu będę wierzył czy niedowierzał, zawsze mi to pomoże do orientowania się lepszego, aniżeli w chwili obecnej”. Instynktem wybrałem „Gazeta de Noticias” a jak mnie później objaśniono, zrobiłem wybór najlepszy.

Niezwłocznie udałem się na poszukiwanie redaktora i wnet go znalazłem.

Byłem przejęty swą rolą do szpiku, więc wypaliłem mowę do pana Ferreira de Aranjó na temat nieszczęścia, jakiemu podlega nasz ład, uwodzony przez agentów obietnicami, niedającymi się w żaden sposób zrealizować.

— Jako od literata — rzekłem — mam prawo oczekiwać od pana objaśnień co do emigracji chłopów polskich do Brazylii. Bo jeśli ajenci postępują sobie nieuczciwie, to przecież jesteśmy sprzymierzeńcami i przeciwko nieuczciwości musimy wspólnie wystąpić.

Tak przemawiałem, sformułowaawszy sobie przedtem jeszcze cały ów *speech*⁷⁸ w myśli. Redaktor wysłuchał mnie uważnie, a następnie oświadczył z całą skromnością, że sprawy emigracji ludu polskiego i jego kolonizacji na ziemiach Brazylii są mu bardzo mało znane.

— Osobiście nie mogę panu udzielić żadnych informacji — mówił — ale udaj się pan do hrabiego Alfreda de Taunay, który się kwestiami tymi bardzo gorliwie zajmuje.

Cały następny dzień (27 listopada) zeszedł mi na usiłowaniu zobaczenia się z hrabią. Przede wszystkim adres, dany mi przez redaktora, był zły. Ale ponieważ hrabia jest

⁷⁶*Avisa o senhor, que tenbo chegado!* (port.) — Daj panu znać, że przyszedłem! [przypis autorski]

⁷⁷*narada Lukullusa z Lukullusem* — nawiązanie do osoby rzymskiego wodza i polityka, Lukullusa, który słynął z wystawnych i drogich uczt. [przypis edytorski]

⁷⁸*speech* (ang.) — mowa, przemówienie. [przypis edytorski]

osobistością znaną w Rio de Janeiro, więc dobry jego adres szybko znalazłem. Cóż kiedy nadaremnie zachodziłem raz, drugi i trzeci! Dopiero za pośrednictwem jego sekretarza uzyskałem termin *interview*⁷⁹ na dzień 28 listopada o godzinie 12 ½.

Rozumie się, że byłem punktualny i z zegarkiem w ręku stanąłem w oznaczonym czasie na miejscu. Przedstawiłem służącemu swą kartę, a on wprowadził mnie do czekalni, gdzie się znajdowała wielka ilość bardzo pięknie oprawnych książek, a na sztalugach było pełno obrazów, nawiasem mówiąc, lichych. Po upływie jakich pięciu minut, wyszedł do mnie zza kotary mężczyzna wysoki, wybornie zbudowany, o pięknych rysach twarzy, a dobrze już podłysiały. Z wykwintną uprzejmością, ale i protekcjonalnością dużego pana podał mi rękę i wprowadził do swego gabinetu.

Od razu z kopyta opowiedziałem, co mnie sprowadza do Brazylii:

— Tracimy siły, których ziemia nasza potrzebuje. Może ich potrzebuje Rzeczpospolita; ale one są *glebae adscriptae*⁸⁰, do nas należą. Każdemu z obywateli naszego kraju bardzo chodzi o ten ubytek sił ludzkich, a przy tym trapi nas niepewność, czy się te siły nie marnują, czy ludzie biedni, ofiary nieświadomości, nie giną na próżno?

Hrabia przebiegał po stole palcami ładnej męskiej ręki i słuchał mnie dosyć obojętnie, a kiedy skończył, on rzekł:

— Z jakim mandatem pan przybywasz?

— Najpierw z dobrą wolą własną, następnie mam upoważnienie jednego z krajowych dzienników, a oprócz tego, wydaje mi się, że życzenia ogółu towarzyszą mej podróży.

Przy tych słowach wydobyłem upoważnienie redakcji „Kuriera Warszawskiego” i przedstawiłem je hrabiemu.

— Jak to, więc wy tam macie i dzienniki? — napytał.

— Posiadamy nawet dosyć starożytną i bogatą literaturę! — odpowiedziałem, urażony pytaniem hrabiego.

— Mój panie, ludzie przybywający od was znajdują tu dla siebie dobry byt (*ils trouvent la situation*⁸¹)!

— Widocznie warunki bytu mało tu znaczą bez ludzi, skoro Brazylija ludzi tak pożąda; natomiast ludzie nawet mniej przychylne warunki bytu mogą uczynić korzystnymi dla siebie.

— To sofizmat⁸²! — odpowiedział hrabia, a potem nagle zwrócił się do mnie z zapytaniem: — Czy pan jesteś pisarzem znanym w Europie?

— Zdaje mi się, że w kraju pewna ilość ludzi czytuje moje prace literackie; do Europy bo nie mam żadnej pretensji... Coś, ktoś, gdzieś tłumaczył na obcy język...

Hrabia wstał teraz z krzesła, podszedł do pięknej szafy i wyciągnął z niej wielką encyklopedię, wydawaną pod kierunkiem Angelo de Gubernatisa⁸³, bodaj czy nie we Florencji; spojrzął na mój bilet wizytowy i zaczął w książce przewracać kartki. Potem palcem pokazał mi nazwisko Dydyński, a pytającym wzrokiem spoglądał w me oczy.

— O ile wiem — odrzekłem — jest to profesor. Musiał napisać jakąś uczoną pracę, skoro go tu umieszczono...

Mówiłem to głosem cierpkim, gdyż zachowanie się hrabiego uważałem jako ordynarne i w każdym innym razie byłbym na nie bardzo ostro odpowiedział. Chodziło mi przecież o interesa emigrantów.

— Więc pana tu nie ma! — rzekł hrabia, a potem szybko przewracał w encyklopedii kartki i nie wiem w którym już tomie pod literą T pokazał mi długi o sobie artykuł, obszernie sprawozdanie o swych pracach literackich, a także będącą tamże swoją podobiznę — drzeworyt.

Uśmiechnąłem się w duszy, bom pomyślał: „Przebaczam ci ordynarność, ponieważ jesteś zarozumiały i głupi!”. Głośno zaś rzekłem z zadowoleniem:

— Och, panie hrabio, wszystko się stało w tej książce według skali zasług!

⁷⁹*interview* (ang.) — tu: rozmowa. [przypis edytorski]

⁸⁰*glebae adscriptae* (łac.) — dosł. przypisani ziemi. [przypis edytorski]

⁸¹*ils trouvent la situation* (fr.) — dosł. znajdują sytuację; odnajdują się (w sytuacji), udaje im się usytuować, zyskują godziwy byt itd. [przypis edytorski]

⁸²*sofizmat* — rozumowanie pozornie poprawne, ale w istocie zawierające rozmyślnie utajone błędy logiczne. [przypis edytorski]

⁸³*Gubernatis, Angelo de* (1840–1913) — pisarz i poeta wł., lingwista, filolog i orientalista, autor 23-tomowej encyklopedii *Storia universale della letteratura* (Historia powszechna literatury). [przypis edytorski]

Przyjął to za dobrą monetę, gdyż niebawem opowiedział mi, że był senatorem za cesarstwa, a w polityce kolonizacji brazylijskiej odegrał bardzo ważną rolę.

— Jedź pan — mówił — do stanu Parana, a znajdziesz tam kolonie, noszące nazwisko hrabiego de Taunay. Dam nawet adres do niejakiego Będaszewskiego, o którym się dowiesz w Kurytybie, stolicy Parana; jest to człowiek zamożny, mający wpływy i używający znaczenia.

Z tymi słowami⁸⁴ hrabia wyciągnął swój bilet z piękną koroną i zaczął coś pisać; ale nagle się zatrzymał, pomyślał chwilę, na bok odsunął swój bilet, a na moim, leżącym tuż pod jego ręką napisał: „*Bendajeski á Curtiba, état de Parana*”⁸⁵.

Chciałem zawołać:

„Hrabio, ja nie szukam ludzi wpływów, znaczenia i majątku! Chcę się tylko przekonać, co robicie z biedakami, nędzarami, których wyciągacie z rodzinnej chaty i rodzinnego zagona!”

Ale bąknąłem tylko pod nosem i z niechęcią:

— Nie, nie! Ja chłopskich kolonii z ostatnich czasów będę poszukiwał w Brazylii, niech mi hrabia w ten sposób dopomoże! Może są jakie dzieła, broszury o kolonizacji?...

Uderzył się ręką w czoło i myślał. Nic mu głowa nie odpowiadała widać, bo nią darmo wstrząsał i stulił ramiona.

— Rozporządzenia rządowe, mapy stanowiłyby dla mnie bardzo ważną informację...

— Bądź pan jutro w samo południe u mojego sekretarza, polecę mu, aby ci dał wszelkie objaśnienia potrzebne.

Zegnałem go niebawem, gorzko będąc rozczarowany w duszy.

Człowiek tak sławny, autor, senator... Jak na hrabiego, to źle wychowany, jak na senatora, to przygłupi nieuk, a samochwał i blagier.

Naturalnie, nie dotrzymał mi słowa, nie dał żadnych rozporządzeń swemu sekretarzowi, który mnie, zadziwionego tą niesłownością, objaśnił:

— Pan hrabia ma na swojej głowie bardzo dużo zajęć.

— To niech nie ma pretensji do wielkości i sławy, skoro wszystkiemu poddać nie może!

Do stanu Parana, gdzie są emigranci dawni, zdaje się głównie z poznańskiego, mogłem się przejechać, lecz dopiero w końcu swej podróży po Brazylii. Obecnie za jaką bądź cenę postanowiłem dotrzeć do tych miejsc, gdzie się osiedlają zupełnie nowi wychodźcy; pragnąłem poznać zarodek takiej kolonii, widzieć następnie jej wzrost i rozwój.

VI

Węże i jaszczurki jako zwierzęta domowe. — Moje plany i konsul. — Zastępca inspektora kolonizacji brazylijskiej. — Nowy zawód. — Chłopi emigranci na bruku w Rio de Janeiro. — Niektóre uwagi o Brazylijanach i ich życiu. — Święto fenianów. — Awantura w redakcji liberalnej „Trybuny”. — Francuz o zawodzie dziennikarza.

„O, tępo mi coś idzie w Brazylii!” — myślałem sobie, zrażony przyjęciem u hrabiego.

I znowu w kawiarni *de Globo* zrobiłem naradę ze sobą samym, co mam dalej począć. Kawiarnię dlatego tym razem wybrałem, że w hotelu, w izbie⁸⁶ mojej, jaszczurki najswobodniej laziły po ścianach i pokazywały mi swoje języczki. Gdym się odniósł do zarządzającego miejscowym porządkiem, rzekł:

— Ależ, panie, to są najniewinniejsze stworzenia pod słońcem! Mamy tu także węża, który od czasu do czasu odwiedza naszych gości, a jest tak oblaskawiony, że się wcale ludzi nie boi. Nie trzeba się obawiać, jeśli panu kiedy złoży wizytę.

Teraz ułożyłem sobie plan taki: iść do konsula, zaawizować paszport, w biurze jego zostawić adres redakcji „Kuriera Warszawskiego” na wszelki wypadek, jeśli się gdzie zaprzepaszczę, następnie na pierwszym lepszym okręcie puścić się do stanów: św. Katarzyny

⁸⁴tymi słowy (daw. forma) — dziś N.Im: tymi słowami. [przypis edytorski]

⁸⁵*Bendajeski á Curtiba, état de Parana* (port.) — Bendajeski w Curtiba, w stanie Parana. [przypis edytorski]

⁸⁶izba (daw.) — pokój; tu: pokój hotelowy. [przypis edytorski]

i Rio Grande do Sul⁸⁷, dokąd wysłano (wiedziałem już z gazet) największą ilość polskich emigrantów.

Jakoż w parę godzin potem byłem już w biurze konsulatu, gdzie młody i wykształcony człowiek, syn konsula, pełni obowiązki sekretarza. Ten przez telefon dał zaraz znać ojcu o moim przybyciu.

Jakkolwiek mnie traktowano w Brazylii, źle czy dobrze, zawsze widziano we mnie tylko korespondenta dziennikarskiego albo podejrzanego człowieka, który się nosi z głęboko utajonymi myślami i może przedsięwziąć coś zgubnego dla Rzeczypospolitej, która jeszcze pod każdym względem koszulkę w zębach nosi. Pierwszemu panu Franklinowi Alvares Juniorowi zawdzięczam szczerą i bezinteresowną gotowość przyjęcia mi w pomoc, a nawet uprzejmą gościnność.

W konsulacie już mogłem się przekonać, że moi ziomkowie wychodźcy doznali srogiego zawodu. Całymi setkami oblegają oni nieraz kancelarię konsula, błagając, aby ich powrócono do kraju.

Pan Franklin uznał plan mej podróży za dobry, radził mi tylko, abym dla wielu względów nie zachowywał w podróży *incognito*. I jak się pokazało, miał rację.

Jeszcze tego samego dnia poszedłem z konsulem do biura głównego inspektoratu kolonizacji brazylijskiej, a tak gorąco pragnąłem poznać ów przybytek. Wcale ładna kancelaria pana naczelnika wydała mi się szlachtuzem⁸⁸ chłopów polskich. Czekaliśmy tu czas jakiś, lecz pan inspektor główny na moje nieszczęście nie pojawił się w biurze. Więc konsul dał mi do niego list mocno polecający i doradzał, abym się udał do prywatnego mieszkania pana inspektora. Nie lubię chodzić z listami, drażni mnie ta licha etykieta; ale tu zależało na pośpiechu, więc się zgodziłem. Los jednak oszczędził mi przykrości, bo zaledwie wyszliśmy na ulicę, spotkaliśmy zastępcę inspektora głównego, a ja poznałem w nim jednego z owych mężów, którzy z niemieckiego parowca odbierali od kapitana emigrantów. Zaraz na ulicy zostałem mu przedstawiony, gdzie też i wymienilem z nim kilka słów dotyczących mego posłannictwa w Brazylii.

— To bardzo dobrze, żeś pan do nas przyjechał; bo w prasie europejskiej Bóg wie co wypisują, a nikt się naocznie nie przekonał o istotnym stanie rzeczy.

— Szukam tylko prawdy i nad to nie mam żadnego innego celu — odrzekłem.

— O, tak, tak! O prawdę tu jedynie chodzi. Jest teraz godzina druga, przybądź pan do mego biura po czwartej, a dam listy polecające do delegata kolonizacji w Desterro⁸⁹, stolicy stanu św. Katarzyny, aby panu ułatwiono najzupełniej zbadanie istotnego stanu rzeczy. Z Rio może pan dziś jeszcze wyruszyć i to w towarzystwie tysiąca emigrantów polskich.

Pomimo nadzwyczajnego znużenia na strasznym skwarze, byłem teraz tak uszczęśliwiony, że mi się nie chciało odpocząć. Z gorączkową niecierpliwością wyczekiwałem czwartej godziny, a gdy wybiła, ja już z torbą podróżną w rękę i z mapą Brazylii znajdowałem się w kancelarii inspektoratu. Niebawem nadszedł i pan zastępca, L. de N.

Razem udaliśmy się nad brzeg morza; on świsnął z bulwaru (miał świstawkę w kieszeni od kamizelki) i zaraz na to hasło szybko jak strzała podpłynęła łódź parowa, na której podążyliśmy ku stojącemu w porcie na kotwicy parowcowi „Planeta”. Po drodze prowadziliśmy rozmowę tak ciężką, jak gdybyśmy obaj byli profesorami nauk państwowych: jeden drugiego chciał oblagować, to jest oczy zamydlić; on mi prawił o doniosłości polityki kolonizacyjnej zarówno dla państwa, jak dla ludzkości, ja powtarzałem: „*Certainement*”, „*Vous avez raison*”⁹⁰, a w duszy myślałem: „Nie złapiesz mnie ty na plewy humanizmu! Dosyć mam już tych teorii, co to pozornie przekonują, jako logika frazesu, ale w praktyce jest inaczej.”

O dziennikach europejskich wyrażał się L. de N. z goryczą i przekąsem, aby mi w ten sposób dać pojąć, iż w korespondencjach swoich mam zupełnie otwarte pole pisać inaczej i przypodobać się Brazylii.

⁸⁷ *Rio Grande do Sul* — jeden ze stanów Brazylii położony w południowej części kraju. [przypis edytorski]

⁸⁸ *szlachtuz* (z niem.) — rzeźnia. [przypis edytorski]

⁸⁹ *Desterro* — dziś: Florianópolis, drugie największe miasto stanu Santa Catarina w Brazylii. Nazwa Florianópolis nawiązuje do nazwiska drugiego prezydenta Brazylii, Floriano Peixoto. Do 1893 r. miasto było znane pod nazwą Nossa Senhora do Desterro lub Desterro. [przypis edytorski]

⁹⁰ *Certainement. Vous avez raison* (fr.) — Na pewno. Ma pan rację. [przypis edytorski]

Nareszcie przybyliśmy do „Planety”, gdzie mój protektor przedstawił mnie kapitanowi okrętu, oznajmiając, że rząd Rzeczypospolitej bierze na siebie pokrycie należności za moje podróże. Zrobiłem grymas ceremonii na tę wiadomość, a mój protektor z całą wrażliwością przyzwoitego człowieka zawołał:

— Przecież to pana do niczego nie zobowiązuje!

Wnet mi się przypomniała rozmowa Polaka T. z prof. W. we Wrocławiu:

— Gdybyś pan nie był profesorem uniwersytetu — mówił T. — dostałbyś kuflem w łeb za to, co mówisz o Polakach.

— *Brauchen Sie sich nicht genieren*⁹¹ — odparł spokojnie Niemiec.

Potem pan zastępca inspektora głównego długo coś na boku rozmawiał po portugalsku z kapitanem okrętu, a wreszcie zbliżył się do mnie i rzekł:

— Na nieszczęście, nie możesz pan dziś wyjechać z Rio de Janeiro, gdyż parowiec „Planeta” jest uszkodzony i muszą go naprawiać.

Wróciłem więc zawiedziony do hotelu z jaszczurkami; ale w kieszeni miałem już list, zaadresowany: „*Ao Cidadao E. E. de V., Delegado do Inspector Geral no Desterro*”⁹².

I znowu nazajutrz (dnia 30 listopada, niedziela), o ósmej rano, z mapą i torbą podróżną przybyłem do biura inspektoratu. Ale drzwi były jeszcze pozamykane; tylko Murzyni zamiatali sienie, zerkając na mnie białkami swych oczu. Rozpocząłem przechadzkę po ulicy tam i nazad. Wkrótce spostrzegłem gromadę ludzi głośno rozmawiających, a podkówkami od butów robiących szcęk, jakby konie szły przez ulicę. „Nasi idą!” — pomyślałem i nie zawiodłem się. Obdarci, lecz z dobrymi minami, w kaszkietach na bakier, podążali emigranci polscy ku kancelarii inspektoratu.

Od razu na ulicy ucieliśmy gawędę:

— Sześć miesięcy temu będzie — mówił jeden — jakieśwa⁹³ nieszczęśliwie przyjechali tu z Polski...

— Co ty bajasz: sześć, kiej⁹⁴ więcej! — odzywa się drugi.

— Cóżście przez ten czas robili?

— A posłali nas Bryzoliany do Minas Geraes⁹⁵ (jedna z lepszych pustyń świata), ale tam pies nie wytrzyma, tośwa wrócili do Ryjo; niech nas lepiej potopią albo we łby postrzelają!

— To tu widać ciężki kawałek chleba?

— Oj, niech cholera tego zdusi, kto Bryzolię wynalazł!

— Przecież tutaj ludzie żyją.

— Jacy ta ludzie!... Co pan myśli, że taki Bryzolian do czego podobny? Ścierwo, boso chodzi, a przy ostrogach! Ta oni chleba nie jedzą, ludzkiego słowa nie znają...

Nadchodzili urzędnicy, zaczęto drzwi biura otwierać, i ja też z chłopami podszedłem do przybytku kolonizacji, gdzie przedpokój wyglądał zupełnie tak, jak nasze biura stręczących. Chłopi zaraz hurmem rzucili się tam we drzwi, krzyczeli na cały głos i wymyślali od złodziei, od łajdaków. Bardzo byłem ciekawy, na czym się to skończy, kiedy właśnie nadszedł pan L. de N., zmierzył okiem sytuację, powiedział coś półgłosem do jednego z urzędników, a mnie poprosił do swojej kancelarii na piętrze.

Tutaj siedziałem przez chwilę, po czym mój protektor wręczył mi bilet z adresem: „*Snr. Presidente la Companhia Lloyd brasileiro*”⁹⁶. Był to po prostu bilet wolnej jazdy, co wyglądało na łapówkę. Żle mi zapachniał cały interes. „Miałem jechać do Desterro z tysiącem emigrantów, a potem się jakoś wycofano... Ej, panie Adolfie, mówią o tobie, żeś człowiek miękki, nie zrób jakiego paskudztwa!”

Wyraziłem skrupuły wobec pana Franklina, ale ten się roześmiał:

⁹¹*brauchen Sie sich nicht genieren* (niem.) — proszę się nie krępować; nie musi się pan krępować. [przypis edytorski]

⁹²*Ao Cidadao E. E. de V., Delegado do Inspector Geral no Desterro* (port.) — Do obywatela E. E. de V., przedstawiciela Inspektora Generalnego na Uchodźstwie. [przypis edytorski]

⁹³*jakeśwa (...)* *przyjechali* (gw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: jak przyjechaliśmy, gdy przyjechaliśmy, odkąd przyjechaliśmy. [przypis edytorski]

⁹⁴*kiej* (gw.) — kiedy, gdy, skoro. [przypis edytorski]

⁹⁵*Minas Geraes* — jeden ze stanów Brazylii. [przypis edytorski]

⁹⁶*Snr. Presidente la Companhia Lloyd brasileiro* (port.) — Pan Prezes brazylijskiego towarzystwa Lloyd. [przypis edytorski]

— Pan masz zupełne prawo — rzekł — według tutejszego zwyczaju i nie potrzebujesz się krępować. A tylko tą drogą możesz dotrzeć, dokąd pragniesz, inaczej... wątpię.

Piszę wszystko szczerze, aby dzienniki brazylijskie wiedziały, iż fałszem jest, jakobym tajemnie postępował; mam dowody i świadków na wszystko i „*dever nunca se afastar da verdade*”⁹⁷ (słowa jednego z dzienników w Rio de Janeiro o mnie).

Ponieważ parowiec Lloyda brazylijskiego wyruszał do Desterro dopiero w poniedziałek o dwunastej rano, pozostała mi przeto wolna niedziela na jakie takie rozpatrzenie się w życiu mieszkańców stolicy Brazylii. Naturalnie przedstawiam tutaj tylko osobiste wrażenia, a nie żadne studia, na co nie miałem czasu przecieżyć.

Murzyn, jakkolwiek wyzwolony, jest tu jeszcze Murzynem między białymi, pół-białymi i ćwierć-białymi; pełni on wszystkie grube służebne roboty: przynosi na głowie ciężary, ładuje okręty, wysługuje się za parobka, a na starość najczęściej żebrze.

Nawet uliczni czyściciele butów są biali, ponieważ to lżejszy zarobek, zwłaszcza na ulicach pryncypalnych.

Uważałem⁹⁸, że w towarzystwie z białymi rzadko kiedy można spotkać Murzyna. Murzynki najczęściej mają kramy z owocami lub służą po domach za kucharki i niańki.

Cudzoziemców w Rio de Janeiro pełno, a nie spotkałem ani jednego takiego, który by nie wymyślał na Brazylię.

Niedziele i święta ludność tutejsza obchodzi uroczysto: oprócz kawiarni oraz aptek, wszystkie sklepy są pozamykane, a na ulicach ruch znacznie mniejszy niż w dni poprzednie.

Szczególnie przedstawia się tu Europejczykowi młodzież szkolna. Widywałem żaków, w wieku lat 10 do 15, jak z laskami siedzieli w „Amerykańskiej” *café-restaurant*, pili tam koniak, palili ogromne cygara, a wszystkie te pędraki minami swymi pozowały na ludzi dojrzałych i poważnych.

Brazylianie mało używa przechadzki; w ogrodzie publicznym zwykle bardzo niewiele osób. Mężczyźni schodzą się na ulicy i tworzą tłum zupełnie taki jak u nas bywa przed giełdą; nieraz wystawają tak gromadnie, że się trudno przecisnąć; albo znowu wysiadują w dystrybucjach tabaczkowych, księgarniach i innych sklepach. Uprzywilejowanym miejscem takich schadzek w południe i wieczór jest ulica *do Ouvidor*.

Brazylianie jest to przede wszystkim elegant, strojniś, zawsze wyświeżony, przeglądający się w zwierciadle, okryty błyskotkami, uperfumowany; zamilowany w złocie i brylantach. Nie mogłem wyjść z podziwu, gdy mi bardzo poważni ludzie opowiadali, że w Rio de Janeiro lekarza poznaje się po tym, iż nosi pierścionek ze szmaragdem, adwokat ma znowu w pierścionku rubin, inżynier wojskowy — szafir, a inżynier cywilny — turkus, czy coś takiego itd. Od Niemca, Anglika, Polaka dziwnie odbija ten typ człowieka o drobnych rączkach, małych nóżkach, małej głowie, z czarnymi, jak smoła, oczyma. W dużych miastach i w małych nie spotkasz nic takiego, co by wskazywało, że naród myśli, czuje, pracuje: brak pomników, brak smaku w budowie kościołów i domów, a daremnie poszukiwałem po sklepach w Rio de Janeiro, jako też na prowincji, wyrobów krajowych wyższej wartości; szukałem dzieł Brazylii, map — nie ma. Niemcy piszą o Brazylii dzieła i wydają mapy tego kraju; Niemcy cywilizują Brazylię. Jest tu za to wyborna kawa i znakomity tytoń.

Przez całe swoje życie nie widziałem tyle fajerwerków, ile przez czas pobytu w Brazylii; nawet w dzień, podczas nabożeństwa, puszczają przed kościołem fajerwerki. O ilem spostrzegł, Murzyni są głównie tu nabożni.

Brazylianie posiadają sporą fantazję, która buja tym swobodniej, gdy ją rzadko kiedy w porywach ogranicza jakaś pozytywna wiedza. Fantazja ta jednak nie wytwarza nic zbyt godnego uwagi. Spotyka się czasem dobry towarzyski frazes i nic więcej. Jest tutaj bardzo rozwinięte dziennikarstwo, i — wyznać należy — bardzo sumiennie prowadzone; ale nie ma literatury, nie ma pisarzy.

Oby to, com tu na niekorzyść Brazyliana powiedział, było źle przeze mnie zaobserwowane!

⁹⁷ *dever nunca se afastar da verdade* (port.) — nigdy nie odchodzi od prawdy. [przypis edytorski]

⁹⁸ *uważać* (daw.) — zauważać, dostrzegać, spostrzegać. [przypis edytorski]

Zwiedziłem muzeum, ogród botaniczny, prześliczny ogród publiczny nad brzegami morza i w oczekiwaniu jutrzejszej podróży do stanu św. Katarzyny wracałem około godziny dziewiątej wieczorem do domu w przekonaniu, że wzruszenia, w połączeniu z jaszczurkami, oka mi dziś zmruczyć nie pozwolą.

Kiedyś przeszedł już ulicę S. Francisco de Paula, i wydostałem się na duży plac, ujrzałem masę ludzi z pochodniami; byli to fenianie⁹⁹, którzy przy tym świetle i przy ogniach bengalskich obchodzili jakąś uroczystość. Odbywszy pochód, zniknęli mi sprzed oczu w bramie domu, gdzie się ich klub znajduje.

Wieczór ten był jakiś nadzwyczajny, bo znowu na rogu ulic: Assembléa i do Carmo, spotkałem tłum ludzi, któremu wojsko na koniach tamowało przejście. Właśnie w Rio de Janeiro dnia tego zaszedł nadzwyczajny wypadek godny, abym go tutaj wypomniał.

Gazeta „Tribuna”, dziennik liberalny w pełnym znaczeniu tego wyrazu, śmiałymi artykułami atakował tymczasowy rząd brazylijski, a mianowicie też zwracał się z pocieskami do reprezentanta tegoż rządu, gen. Manoela Deodoro da Fonseca¹⁰⁰. Otóż, po jednym z takich ostrych, lecz podobno sprawiedliwych artykułów, do redakcji owej gazety około godziny ósmej wieczorem (dzień prawie jasny) wpadło coś ze dwudziestu ludzi uzbrojonych w noże, kastety, rewolwery. Napastnicy ci niszczyli i psuli wszystko, co im podpadło pod rękę; jeżeli zaś spotkali ludzi, sprawiali im wały. W taki sposób zburzono całą redakcję, a dwóch ludzi ciężko poraniono (o ile wiem, jeden umarł wskutek pobicia). Jest to awantura bardzo charakteryzująca stosunki w Brazylii. Napastnikami bowiem byli stronnicy teraźniejszego rządu. „Więc cóż znaczy ta rzeczpospolita wasza i jej liberalne urzędzenia?” — zapytywałem potem Brazylijan, którzy mi odpowiadali, że ja, Polak, nie znam się na polityce, będącej walką stronnictw... Piękne stronnictwa, gdzie jedni mają noże i pistolety, a drudzy — trochę bibuły.

Nie wiem, czy dzienniki europejskie rozbierały akt ten i czy zaznaczały jego doniosłość; ja go tu notuję bez żadnych komentarzy.

Nazajutrz rano, przed pójściem na statek parowy, piłem kawę, a niedługo potem jadłem śniadanie w hotelu *du Commerce*, gdzie mieszkał. Przy stole było pełno Francuzów, którzy mnie tu znali jako Polaka i niekiedy wdawali się ze mną w rozmowę. Któryś lepiej mi znajomy zapytał, czym się zajmuję i po co jadę do stanu św. Katarzyny.

— Szukam wrażeń — odrzekłem — jestem bowiem literatem.

— Aha, to pan pisujesz do gazet? Czytałem właśnie kiedyś artykuł, że jeden Polak przyjechał do Brazylii, aby się przekonać, jak się tu powodzi emigrantom. To o panu była mowa? Mój panie, pamiętajże o tym, że Brazylianie są łajdaki, nicponie, oszusty; nie oszczędzaj ich przed światem! Wy, literaci, których tysiące ludzi czytają i którym wierzą jak przykazaniu, wy nie lubicie mówić prawdy... Panie Polaku, nie bądźże taki!

Strasznie czupurny był ten Francuz.

Wypaliwszy mi morał, wstał, trącił się ze mną kieliszkiem wina i życzył mi szczęśliwej drogi. Jużem go potem nigdy nie widział, choć po miesiącu czasu wróciłem znowu do hotelu *du Commerce*, gdzie się przez ten czas urodziły już młode jaszczurki.

VII

Aviso na parowcu „Desterro”. — Ładowanie okrętu. — Gdzieżby w Brazylii brakowało na okręcie Polaków. — Studenci brazylijscy. — Wybitniejsi ludzie w Brazylii. — Kapitan Jeronimo França. — Inżynier wojskowy w powrocie z podróży po Amazonce i Niemiec komiwojażer. — Przybyłem do Desterro.

Już jestem na eleganckim, filigranowym brazylijskim parowcu „Desterro” i w kabine nr 12. Przeczytałem sobie *aviso*: „nie wolno tu palić tytoniu, mieć przy sobie psów, małp, nie wolno rozpinąć odzieży, ubliżać kobietom i w ogóle dopuszczać się czynów,

⁹⁹*fenianie* — irlandzkie tajne stowarzyszenie niepodległościowe, powstałe ok. 1858 r., zorganizowało powstanie przeciw Wielkiej Brytanii w 1867; działające także za granicą (m.in. w Kanadzie i USA); ruch odżył po I wojnie światowej w organizacji Sinn Féin. [przypis edytorski]

¹⁰⁰*Fonseca, Manoela Deodoro da* (1827–1892) — pierwszy prezydent Republiki Brazylijskiej, przywódca zamachu stanu, w wyniku którego obalono cesarza Brazylii Piotra II. [przypis edytorski]

obrażających zasady moralności”. Wszystko to wypowiedziano w *aviso* tonem kaznodziejskim, o ile zrozumiałem portugalszczyznę. Jest tu na okręcie ozdobnie, w salonie i pokoju jadalnym — pełno kwiatów; ale po wszystkich kątach włączą się niesforne, krzykliwe dzieci, a mimo ostrzeżenia Brazylijanie i Brazylianki rozwalają się, jak dłudzy, po kanapach. Wychodzę na pokład; powiewa flaga z godłem „*Ordem e progresso*”¹⁰¹, Murzyni, śpiewając monotonne pieśni, znoszą na swych głowach wory z towarami, wtaczają beczki, dźwigają kosze — słowem, ładują okręt. Na workach, beczkach — znaki firm i napisy wskazujące, dokąd towar idzie: do Desterro, Santos, Paranagua, Porto Allegre itd.

A gdzieżby w Brazylii na jakim okręcie nie było teraz polskich emigrantów!... I tu z daleka ich już spostrzegam — poznaję z cholew butów, z kapot, kaftanów granatowych, a dzieci — z białych jak len włosów.

— Niech będzie pochwalony! Jak się macie? Skądście?

Zaraz się schodzą, otaczają mnie, wypytyują.

— A pan skąd? Czy pan także emigrant?

— Nie, nie emigrant; przyglądam się tylko, jak tu jest emigrantom, a potem to w książce opiszę.

— No, to pan uczciwie robi! Żeby tak dawniej był kto spenetrował, możebyś tu teraz nie byli...

— Więc wam źle w Brazylii?

— Nikomu na świecie gorzej już być nie może: ostatnia nędza i straszna kara boska za jakieś nasze grzechy!

— Mój panie — pyta inny chłop — kto nas też tu w tej Brazylii na takie ciężkie utrapienie ściąga?... Różnie o tym gadają.

— Was tu sprowadza rząd brazylijski, który przebywa w Rio de Janeiro.

— Toć urzędników rozmaitych widzieliśwa, jeno nie wiadomo, czy nad tym jest jaki król.

— W Brazylii nie ma króla — odrzekłem — jest rzeczpospolita.

— Ciewy¹⁰², to bez¹⁰³ to to tak źle! A w kraju, to nam het rozpowiadali, że pod cesarza idzie na poddanych...

— Ej, co oni ta u nas wiedzą! — zawołał znowu inny. — Toć nam na szczyfie Niemiec jeden rozpowiadał to samo, co pan mówi, tyło się nie każdy mógł zmiarkować o onej rzeczypospolitej...

— Jakby tu król był, toby porządek musiał u nich być lepszy.

— Choćby i my na ten przykład, moglibyśwa iść ze skargą, pożalić się, a skoro oni się tak pospolicie rządzą, to nie wiadomo, gdzie kogo szukać.

— Na czele rządu — rzekłem — stoi w Brazylii prezydent rzeczypospolitej.

— Pewnikiem zarówno z tymi urzędnikami trzyma.

— To w Ryjo, proszę pana, taki najstarszy siedzi? — pytają.

— Tak jest, w Rio.

— A czy to on takie stuki wymyśla z emigracją i tym ajentom do nas iść kazuje¹⁰⁴?...

Bodaj jego śmierć nagła!

Zacząłem chłopom tłumaczyć, co to jest rząd w ogóle, a co w szczególności rząd rzeczypospolitej; ale mi w owym zapale dydaktycznym przeszkodził jakiś urzędnik okrętowy, który począł chłopów spędzać z pokładu, gdyż się bardzo tłoczyli i tamowali ładowanie okrętu. Rozchodzili się, mrużąc i wymyślając. Z oddalenia jeszcze słyszałem, jak rozprawiali we trzech, we dwóch, o prezydencie rzeczypospolitej.

Wkrótce potem „Desterro” skakał już po Atlantyku walca na dwa „*pas*”¹⁰⁵.

Kilka razy jeszcze zachodziłem do wychodźców polskich, między którymi spotkałem współtowarzyszy podróży z parowca „München”, a wszyscy byli bardzo zgoryczeni¹⁰⁶, ob-

¹⁰¹ *Ordem e progresso* (port.) — „Ład i postęp”, motto Brazylii inspirowane pozytywistyczną myślą Augustusa Comte. [przypis edytorski]

¹⁰² *ciewy* (gw.) — też coś, to dopiero (wykrzyknik, wyraz emocji). [przypis edytorski]

¹⁰³ *bez to* (gw.) — przez to. [przypis edytorski]

¹⁰⁴ *kazuje* (forma gw.) — 3.os.lp: każe. [przypis edytorski]

¹⁰⁵ *pas* (fr.) — krok (w tańcu). [przypis edytorski]

¹⁰⁶ *zgoryczony* — dziś: rozgoryczony. [przypis edytorski]

darci; dzieci ich — całkiem w krostach z upału lub z głowami tak oblanymi, jakby to była jedna rana z olbrzymim strupem. Na okręcie nikt ich nie rozumiał ani oni niktogo; pomiatano nimi pogardliwie, popychano ich, przerzucano. Raz się ująłem za jakąś kobietą w poważnym stanie, którą majtek tak silnie na bok odepchnął, że się do burty potoczyła; chciałem go w kark poczęstować, lecz drapnął, śmiejąc się szyderczo.

Niebawem nastąpiły paskudztwa morskiej choroby, gdyż morze było dosyć niespokojne i okręt się mocno kołysał: w każdym kącie ktoś leżał, stękając i womitując.

Na tym parostatku znajdowała się wyjątkowo znaczna ilość pasażerów, zwłaszcza młodzieży z kursów prawniczych, gdyż właśnie był to początek wakacji. Staralem się zawierać znajomości, aby sobie wyrobić sąd o mieszkańcach Brazylii. Ruchliwa i bardzo krzykliwa ta młodzież prowadziła nieustannie gorące spory polityczne, z których mogłem nabrać przekonania, że obecny prezydent, generał Deodoro, bynajmniej się nie cieszy powszechną sympatią w kraju, a monarchizm ma jeszcze swoich entuzjastów. — „Całą zasługą generała Deodoro — powtarzano mi zewsząd — jest to, że jego, a nie kogo innego, wyniesiono na godność najpierwszego prezydenta Zjednoczonych Stanów Brazylii”.

„Szczególny to prezydent — myślałem, słuchając rozmów owych — był i jest dotąd przyjacielem osobistym ekscesarza, a nadto z przekonani swoich ma być czystym monarchistą!”

— Prawdziwym twórcą brazylijskiej Rzeczypospolitej — mówił jeden z młodzieży — jest Benjamin Constant¹⁰⁷, znany matematyk, człowiek wielkiej inteligencji, czystego charakteru, słynący z patriotyzmu, z przekonań demokratycznych i wywierający duży wpływ na młodzież.

— Jakież on stanowisko obecnie zajmuje?

— Jest ministrem wychowania publicznego.

W dalszym ciągu wypytywałem studentów, jakich Brazylija ma ludzi, którzy wystają ponad ogół, mężowie stanu itd. Wymieniono mi następujące osobistości:

Rio Branco¹⁰⁸, twórca abolicji 28 września 1870, (synowie niewolników przestali być niewolnikami). Saldanha Maranhão¹⁰⁹ (czytaj: Saldania Marinho), żyjący jeszcze osiemdziesięcioletni senator rzeczypospolitej, autor sławnego dzieła, *Ganganelli*. Assis Brasil¹¹⁰, pisarz republikański, historyk dobry i publicysta, autor dzieła *La republique federale*, obecnie minister w Buenos Aires. Ruy Barbosa¹¹¹, ekonomista. Thobias Baretto¹¹², filozof przyrodnik (zmarł w roku zeszłym). Silvio Romero¹¹³, jego uczeń, równie jak mistrz inteligentny. Władysław Netto¹¹⁴, dyrektor muzeum w Rio de Janeiro.

Nareszcie ciż sami studenci pokazywali mi jednego z pasażerów, mówiąc:

— Ten oto człowiek bardzo się przyczynił do przekształcenia monarchii na rzeczpospolitą; jest to jeden z najczynniejszych współpracowników Beniamina Constant, ma dużo energii i charakteru, a nazywa się Jeronimo França i jest kapitanem brazylijskiej armii czynnej.

Staralem się o zawiązanie stosunków z panem França i gdym go poznał, zyskał on mój szacunek, a pożegnaliśmy się w Desterro, jako dobrzy przyjaciele. França kończył studia w Paryżu, gdzie poznał wielu Polaków; dobrze zapamiętałem tylko wspomnienie Marii Szeligi¹¹⁵, znanej autorki. Był on także w Warszawie, odwiedzał w Częstochowie swego

¹⁰⁷Constant, Benjamin (1836–1891) — brazylijski polityk, założyciel Klubu Militarnego. [przypis edytorski]

¹⁰⁸Branco, Rio, właśc. José Paranhos (1845–1912) — baron Rio Branco, brazylijski polityk, historyk i dyplomata. [przypis edytorski]

¹⁰⁹Saldanha Maranhão, Joaquim (1816–1896) — brazylijski polityk i pisarz tworzący pod pseudonimem Ganganelli. [przypis edytorski]

¹¹⁰Assis Brasil, Joaquim Francisco de (1857–1938) — brazylijski polityk, prawnik, dyplomata oraz pisarz. [przypis edytorski]

¹¹¹Barbosa, Ruy, właśc. Ruy Barbosa de Oliveira (1849–1923) — brazylijski polityk i prawnik, minister finansów w latach 1889–1891. [przypis edytorski]

¹¹²Baretto, Thobias (1839–1889) — brazylijski filozof, poeta oraz krytyk literacki. [przypis edytorski]

¹¹³Romero, Silvio (1841–1914) — brazylijski polityk, dziennikarz, publicysta oraz poeta. [przypis edytorski]

¹¹⁴Netto, Władysław, właśc. Ladislau de Souza Mello Netto (1838–1894) — brazylijski botanik i dyrektor Muzeum Narodowego w Rio de Janeiro w latach 1870–1893. [przypis edytorski]

¹¹⁵Szeliga, Maria, właśc. Maria Loevy (1854–1927) — publikująca pod pseudonimem „Maria Szeliga” (a także jako: B. Saryusz, Bolesław Saryusz, Ciotka Marynia, Jerzy Horwat, Matylda Mahoń, Vox, Jx., M. S., M. Sz., Mar. Sz.) polska pisarka, poetka i publicystka, feministka, tworząca od 1880 r. na emigracji w Paryżu. [przypis edytorski]

przyjaciela, pana Joachima Wiernika. Zajmuje się dużo naukami przyrodniczymi i jest wyznawcą teorii Darwina. Pół Francuz, pół Brazylijanin, jest França gorącym republikaninem i patriotą; mniemam atoli, a on podziela chyba me zdanie, że wśród Brazylijan brak tego, co w Europie nazywają charakterem, uniemożliwia¹¹⁶ wszelkie szlachetne porywy robót społeczno-politycznych. Za leniwi, za tępi i zanadto próżni są Brazylianie, ażeby mogli co na świecie zrobić. Po prostu zaleje ich kultura niemiecka.

Rząd tymczasowy pod prezydentem, jenerałem Deodoro, uważał pana França za osobistość niebezpieczną w Rio de Janeiro i polecił mu przenieść się na wyspę św. Katarzyny do miasta Desterro. (Desterro — znaczy miejsce wygnania).

Kiedym spostrzegł, że pytaniami swymi na okręcie sprzykrzyłem się już jednym, wtedy szedłem między innych. Znajdował się tam także młody inżynier wojskowy, który odbył właśnie podróż po Amazonce i przebywał w tamtych okolicach przez osiem miesięcy, przeprowadzając studia celem rozgałęzienia komunikacji. Na owej wyprawie było 35 ludzi, lecz tylko dziewięciu powróciło — reszta umarła na różne febry. Inżynier, o którym mowa, stracił zupełnie zdrowie: był bardzo znękany chorobą. Opowiadał mi dużo o Indianach żyjących w stanie półdzikim ponad brzegami Amazonki.

Od inżyniera szedłem znowu do emigrantów polskich, dodawałem im ducha, choć zwykle na próżno: oni już w nic nie wierzyli.

Oprócz tego zawarłem bardzo korzystną dla siebie znajomość z Niemcem, komiwojazerem¹¹⁷, który znał na wylot ceny hotelów, obiadów, śniadań, łodzi po portach całej Brazylii, a to jest rzecz ogromnej doniosłości; przy tym Niemiec mówił po portugalsku wybornie i jechał do Desterro także: nic nie było łatwiejszego, jak stanąć razem z nim w jednym hotelu.

Wśród takich to okoliczności przybyłem do Desterro, podczas gdy emigranci popłynęli dalej na południe. W porcie nająłem łódź z żaglem i przybiłem do lądu.

VIII

Symptomaty choroby i wyobrażenia. — Rada komiwojazera. — Aptekarz i lekarz. — Wizyta u pana delegata. — Choroba, o której się tu nie mówi. — Wieści z ulicy. — Biuro kolonizacyjne i hotel emigrancki w Desterro. — Michał Cieślak spod Białegostoku. — Co nasi emigranci mają w Brazylii. — Czego im brakuje? — Urubú. — Canja i cha (kanzańska). — Henryk Rupp. — Pastor protestancki i geometra kolonizacyjny.

Zaledwie się rozgościłem w hotelu i pomyślałem, co dalej przedsięwziąć, gdy dostałem tak silnego zawrotu głowy, że usiadłem w nadziei, iż stan taki rychło przejdzie. Tymczasem było mi co chwila gorzej: przystąpiły dreszcze, ból w krzyżu i w nogach. Wyobrażenia zrobiła swoje i nie omieszkała poszeptować: „Pewnie żółta febra, a nie febra, to beri-beri”¹¹⁸. Ścierpłem na myśl, że w Desterro mogę poleżeć jakie dwa tygodnie, bo umrzeć — to już wszystko jedno gdzie. Nadaremnie sobie powtarzałem: „Nie, nie mogę chorować!”

Kiedym poczuł, że istotnie jakieś mocne zakłócenie jest w organizmie, zacząłem przyzywać Murzyna posługującego w hotelu, a skoro się zjawił, prosiłem, aby przyzwał przyjaciela mego, komiwojazera. Jakoż Niemiec w binoklach na nosie i z uśmiechniętą fizjonomią wnet się ukazał na progu mej izby. Opowiedziałem mu o swym stanie zdrowia i o swoich obawach.

— To nic — rzekł — dźwignij się pan i idź do *Dragaria e Pharmacia*, dadzą jakiegokolwiek lekarstwo i po wszystkim.

— Jak to, aptekarz ma mnie leczyć?

— Nie chcesz pan aptekarza, to on panu lekarza sprowadzi; wszystko jedno.

Zebrałem siły i chwiejąc się na nogach, poszedłem na ulicę szukać *Dragaria e Pharmacia*. Zakładów tych jest dosyć w Brazylii, więc niewiele miałem trudu.

— Potrzebuję lekarza — rzekłem po francusku.

¹¹⁶uniemożliwia (daw.) — dziś: uniemożliwia. [przypis edytorski]

¹¹⁷komiwojazer — przedstawiciel handlowy odbywający podróże w celu zdobycia nabywców produktu czy usługi. [przypis edytorski]

¹¹⁸beri-beri — choroba nóg, kończąca się paraliżem. [przypis autorski]

W odpowiedzi na to jegomość z czarną brodą wziął do rąk parę flaszeczek i na migi się wypytywał, jakiego chce lekarstwa; na etykietach flaszeczek były różne napisy, a między nimi... *Oleum ricini*¹¹⁹.

— *Non, non!* — zawołałem. — *Medicin!... Médico!*¹²⁰

Pan z czarną brodą spokojnie postawił na półce flaszeczki, a sam wyszedł przed sklep i zaczął głośno wołać na kogoś po imieniu:

— Olimpio, Olimpio!

Zaraz potem rozległ się tętent kopyt końskich, a ja przez otwarte drzwi spostrzegłem zajeżdżającego młodego człowieka, z twarzą przyjemną, ogorzałą. Wyglądał jak polski szlachcic przy gospodarstwie. Był to lekarz, który pod tę porę właśnie konno objeżdżał w rynku swoich pacjentów i stawiał się na wezwanie aptekarza. Poszliśmy teraz obaj do kąta, gdzie wywiesiłem język i dałem puls do obmacania. Lekarz mnie zapewnił, iż nie ma żadnego niebezpieczeństwa i zapisał łokciową receptę „*para o snr. Dygasinski*”¹²¹. Wiem, że tam był bizmut, *nux vomica*, amoniak, rumianek i *jalepo*, czy *jalepo gommoso* etc.

Ale bardzo mi się podobała fizjonomia szczerza pana doktora i zupełny brak namaszczenia kapłańskiego; więc go *stante pede*¹²² poprosiłem jeszcze, aby mi pokazał, gdzie mieszka pan „delegado” kolonizacji ziem w stanie św. Katarzyny.

— Zbierz się pan i pójdz ze mną — rzekł lekarz — podążam w tamtą stronę, więc cię doprowadzę.

Gwarząc ze mną, szedł, a wcale ładnego siwka mierzynka prowadził za lejce. Nareszcie pokazał mi drzwi domu pana delegata.

Wszedłem na pierwsze piętro i zapukałem (dzwonki rzadko gdzie spotkałem w Brazylii; nawet do hotelu *du Commerce* musiałem się w nocy od ulicy pięściami dobijać). Służący odebrał list od inspektoratu głównego, a ja czekałem na przyjęcie. Pan V. nie dał zbyt długo na siebie czekać, wkrótce wyszedł i poprosił mnie do salonu. Zaraz na wstępie wyraził on zdziwienie, że do Brazylii przybywa tak wielka ilość polskich wychodźców. Na to mu odpowiedziałem:

— Nie wiem, czy rząd brazylijski upoważnia różnych ajentów do wywabiania ludzi z kraju naszego i czy wysoko płaci za te usługi; ale mogę panu zaręczyć, że ajenci owi czynią chłopom polskim tak wygórowane obietnice, iż prostaczk oprzeć się im nie może. Tu więc szukać należy przyczyny tak gęstej od nas emigracji.

Rozmawialiśmy z kwadrans czasu, jeśli nie dłużej, a pan delegat słuchał mnie, jakbym opowiadał rzeczy zupełnie dla niego nowe.

W Brazylii ciągle sobie powtarzałem słowa Jeana-Jackquesa Rousseau: *L'homme n'est pas méchant, mais les hommes sont méchants*¹²³.

— Wiesz pan co — rzecze V. — jedź do Rio Grande do Sul! — I uderzył się ręką w kolano, a w twarzy jego czytałem pragnienie wyprawienia mnie od siebie. — Polaków tam jest dużo — mówił — będziesz pan miał ogromne pole do obserwacji!

— Może i pojedę później — odparłem, lecz teraz chciałbym jak najprędzej zobaczyć na kolonii takiego chłopca z Polski, który właśnie niedawno przybył do Brazylii, a wiem, że w stanie św. Katarzyny o to jest łatwo.

— No, to rozpatrz się pan tymczasem w Desterro, obejrzyj nasze biuro kolonizacyjne, hotel dla emigrantów, a potem pojedziesz, gdzie ci się podoba.

— Szanowny panie — zawołałem — mnie bardzo pilno!

Pan delegat uśmiechnął się najuprzejmiej w świecie, wzruszył ramionami i rzekł:

— Wszystko, co tylko będę mógł zrobić dla pana, zrobię; ale u nas komunikacja bardzo utrudniona i w podróży trzeba mieć dużo cierpliwości...

Teraz wykupiłem w aptece lekarstwo, wróciłem do hotelu i rozpocząłem kurację. Nie wiem, co źle poskutkowało: wizyta u pana delegata czy lekarstwo — dosyć, że przed wieczorem byłem prawie nieprzytomny wskutek silnej gorączki.

¹¹⁹*Oleum ricini* (łac.) — olej rycynowy. [przypis edytorski]

¹²⁰*Non, non!* (...) *Medicin!... Médico!* (fr., port.) — Nie, nie... Lekarstwa! Lekarza! [przypis edytorski]

¹²¹*para o snr. Dygasinski* (port.) — dla pana Dygasieńskiego. [przypis edytorski]

¹²²*stante pede* (łac.) — bezzwłocznie, natychmiast. [przypis edytorski]

¹²³*L'homme n'est pas méchant, mais les hommes sont méchants.* (fr.) — To nie człowiek jest zły, ale ludzie. [przypis edytorski]

Przebieg mojej choroby nie jest ciekawy dla czytelnika, więc go pomijam; ale ponieważ jest on w związku z moją wyprawą, więc zaznaczam, iż przez cztery dni pozostawałem w łóżku lub na fotelu ciągle. W tym czasie odwiedził mnie parę razy França.

Mój towarzysz komiwojażer miał widać dużo zajęcia i znajomych, bo ciągle przebywał w mieście. Jednego razu przychodzi on do mnie i powiada:

— Wiesz pan, co słyszałem na mieście od ludzi dobrze rzeczy świadomych? Oto, że pan nie wyjedziesz z Desterro, dopóki delegat nie otrzyma telegramu z Rio de Janeiro oraz instrukcji, jak się względem pana zachowywać.

— Ach, nie martw mnie pan złymi wieściami, bo i tak dużo mnie kosztuje zwłoka z powodu choroby. Gdybym był zdrow, to bym musiał jechać bez względu na wolę delegata! — zawołałem.

— Ja panu więcej jeszcze powiem — mówił znowu Niemiec — trzeba się mieć na ostrożności, bo pana uważają za człowieka niebezpiecznego, który podpatruje czynności rządu, a Bóg wie, co za użytek z tego zrobi... Słyszałem to na własne uszy i daję panu ostrzeżenie.

Roześmiałem się z tej ulicznej wieści, a swoją drogą mi się przypominało mądre: *tímeo Danaos et dona ferrentes*¹²⁴; zerwałem się przeto na równe nogi, wypilem filiżankę *cha* (sza), tj. herbaty, ubrałem się i poszedłem do pana delegata. Tu zacząłem wyrzekać, iż w Desterro tracę czas bardzo mi drogi. Pan V., zawsze uprzejmy, prawdziwie po francusku grzeczny, prosił mnie do swego biura, gdzie ważną rzeczą dla mnie były mapy kolonizacyjne stanu św. Katarzyny. Przyglądałem im się ciekawie, a w mojej sceptycznej głowie żyła myśl: „mapa jest tylko symbolem czegoś, co nie wiadomo, jak wygląda w rzeczywistości”.

Następnie pan delegat poznał mnie z podwładnym swoim, Francuzem z urodzenia, a szefem hotelu emigrantów w Desterro.

— Siadajcie panowie teraz obaj w czółno¹²⁵ — mówił V. — i popłyńcie do hotelu emigrantów.

„Ha, dobre i to!” — pomyślałem.

Kiedyśmy szli nad brzeg morza, przyłączył się do nas kapitan França, ten zacny bankrut¹²⁶ idei demokratycznych i republikańskich. Oświadczył on gotowość zwiedzenia hotelu dla emigrantów.

Jak na Desterro, gdzie prócz przyrody nie ma nic a nic pięknego, hotel ów jest to z daleka przyjemny dla oka budynek; biały dom na wzgórzu i nad morzem. Im bliżej, tym bardziej znikają wdzięki, a gdy już wejdiesz wewnątrz, powiadasz sobie: i to bogate państwo w stolicach swoich stanów buduje takie budy, aby w nich przyjąć swych pracowników, obywateli? Nie opisuję, co tam jest, ponieważ brakuje wszystkiego.

Godną widzenia była jedna tylko rzecz: garstka samotnych polskich emigrantów, wysiadających w tej pustce. Przed kilku właśnie dniami znaczną liczbę polskich wychodźców wyekspediowano z Desterro do kolonii, a w hotelu emigranckim pozostało wszystkiego pięcioro ludzi. Był tu siedemdziesięcioletni starzec i osiemdziesięcioletnia kobieta. Starzec wyemigrował do Brazylii ze synem swoim Michałem Cieślikiem z guberni grodzieńskiej, powiatu białostockiego, a włości zawykowskiej. Cieślik ma żonę i bardzo ułomną, bo prawie w kabląk garbatą, siostrę.

Naturalnie, przywitałem ich po naszymu i zaraz w całym tym gronie pojawiła się radość, a obok tego — utyskiwania na losy.

— Niech nam pan napisze list do naszych, niech im pan doniesie, że nam tu okrutnie ciężko, nie do wytrzymania! Po „żebrach” chodzić¹²⁷ u siebie lepiej, niż prowadzić życie takie, jak nasze!...

— Co oni do pana mówią, zapewne się uskarżają? — zapytał przełożony hotelu emigranckiego.

— Są nieszczęśliwi! — odpowiedziałem z niechęcią, a zwróciwszy się do kapitana França, powtórzyłem mu dosłownie w przekładzie francuskim skargę Polaków.

Emigrant, Polak, Chłop,
Bieda

¹²⁴*tímeo Danaos et dona ferrentes* (łac.) — „Obawiam się Greków, nawet gdy niosą dary”, cytata z *Eneidy*. [przypis edytorski]

¹²⁵*czółno* (daw.) — łódź wydrążona z jednego pnia. [przypis edytorski]

¹²⁶*bankrut* (daw.) — osoba, która straciła znaczenie i wpływ; tu: przetr. [przypis edytorski]

¹²⁷po „żebrach” chodzić — żebrać, prosić o jałmużnę. [przypis edytorski]

— Na kolonii, przy pracy, odzyskają duchową równowagę, smutek ich zniknie — rzekł szef hotelu.

Nawiasem dodaję, że od różnych urzędników kolonizacji przez cały czas słyszałem ten sam frazes, jakby się wszyscy umówili.

— Powiedzcież mi, do kogo mam list napisać? — pytałem emigrantów.

— Kiedy się pan ofiaruje, to niechże pan napisze do Michała Puziuka albo do Józefa Cieślika, wszystko jedno!... Prosimy pana o to bardzo, bo oni też, jako krewni, wybierają się na tę emigrację z przyszłą wiosną... A niechże ich przynajmniej Pan Jezus uchroni od nieszczęścia!

Wszyscy, przeciągając z litewska, mówili bardzo poprawną polszczyzną.

— Ja napiszę o was w gazetach, ostrzegę wszystkich Polaków, bo to moja powinność. Moi ludzie, uciekać z kraju zawsze jest brzydko, a w dodatku: wielkie nieszczęście, gdy się emigrant w nowej ojczyźnie dużo spodziewa, a nic nie znajduje!

— Święte słowa! — powtarzali, a głównie mi przytakiwała garbata, jak uważałem, bardzo inteligentna dziewczyna.

Emigranci nasi mają w Brazylii piękne palmy, około hotelu w Desterro rosną: pomarańcza, kawa z białym kwiatem, banan; morze im szumi, góry dokoła panują, uwieńczone lasami; często mogą widzieć wspaniałe wschody i zachody słońca. Ale wlecze się za nimi smutek straszny, nędza ostatnia, co ich czynią najniezwyklejszymi na świecie. Dajcie im za to wszystko kawałek bodaj piasku na ojczyźnej ziemi; pokażcie im niebo, bodaj pochmurne, lasy swoje; dajcie im naszą wierzbę, topolę, sosnę, zagon kartofli, a drugi taki, co to na nim i marchew, i mak, i słonecznik, i kukurydza... Tęby zamieniło ich ciężką niedolę na szczęście; bo ojczyzna jest jak zdrowie: „kocha ją ten, co ją stracił”.

Smutny powróciłem do hotelu, gdzie kelner, Murzyn, nudził mnie z najwyższą grzecznością, pytając nieustannie, czy czego nie potrzebuję. Przez trzy czy cztery dni z rzędu odpowiadałem regularnie:

— *Canja e muito, muito cha!*¹²⁸

Mam się lepiej, czuję w sobie siły, zdrowie i nadzwyczajną ochotę podróży. Ale jakże z wyspy wygnania uciec? Już mi przyszła myśl, ażeby nająć porządne czółno i z rybakami puścić się wzdłuż wybrzeży; ale jestem tchórz do wody, a żaden też z rybaków nie miał do tej wyprawy ochoty. Więc nachodzę pana delegata nieustannie, za każdym razem przeproszam za natrętność, ale jestem bardzo natrętny — oto moja polityka. On jest zawsze grzeczny, zawsze powiada:

— Pan nie możesz być dla mnie natrętny.

Pozostaje mi dosyć wolnego czasu, przeto błądząc po bezdrożach, po górach, po lasach dziewiczych wyspy, uczę się botaniki i zoologii Brazylii. França niekiedy udziela mi objaśnień.

Brazylikańskie komary tak mi ścięły twarz, ręce, nogi, że chodzę opuchnięty.

W Desterro oswoiłem się nieco z dziką, a niezwykle piękną przyrodą. Ale przecież nie po to pojechałem do Brazylii, aby się oddawać estetycznemu sybarytyzmowi¹²⁹.

Zaczyna mi się wreszcie mocno nie podobać to zwlekanie pana delegata, który powiada mi:

— Niedługo pan już będziesz mógł jechać, bo (jak wiem) okręt, na który wsiądziesz, przybył do portu Laguna.

Desterro ma trzy dzienniki, cztery kościoły; jest to miasto niebrukowane, a chodniki ma tylko tu i ówdzie. Porządek robią tutaj ptaki zwane *urubu*¹³⁰, sępy czarne, które chodzą po ulicach, jak u nas na wsi kury, gęsi, indyki, i pożerają nieczystości. Urubu jest dla Brazylijanina rodzajem Murzyna sanitarnego.

Przy stole w hotelu zabieram¹³¹ znajomość z panem Henrykiem Rupp, właścicielem fazendy¹³² w tak zwanym Campos Novos; hoduje on dużo bydła rogatego, koni, zakupuje

¹²⁸*Canja e muito, muito cha!* (port.) — Rosół z kury i dużo, dużo herbaty! [przypis autorski]

¹²⁹*sybarytyzm* — leniwy, wygodny tryb życia w luksusach i dostatku; wygodnictwo. [przypis edytorski]

¹³⁰*urubu* — sępik różowogłowy, gatunek dużego ptaka z rodziny kondorowatych żywiący się padliną. [przypis edytorski]

¹³¹*zabierać znajomość* — dziś popr.: zawierać znajomość. [przypis edytorski]

¹³²*fazenda* — plantacja. [przypis edytorski]

w Urugwaju muły, podpasą je i sprzedaje. Opowiadał mi, że w San-Bento¹³³ są Polacy dawno osiedli, że im się dobrze powodzi, a zwłaszcza dwom braciom Géry-Kamińskim.

Poznałem się także z pastorem protestanckim, który przez jakiś czas przebywał w Rosji; ale odsuwam się od niego, gdyż jest zbyt konfidenjonalny, klepie mnie np. po ramieniu i mówi:

— *Bester Herr Daschinsky*¹³⁴. — Użyłem fortelu mego przyjaciela Her. Be., który w takim razie powiedział komuś: „Przepraszam pana, ale mnie tu boli”; nic nie pomogło i pastor na drugi dzień chciał mnie pogłaskać pod brodę.

Uwagę moją zwraca także człowieczek niski, dosyć gruby, z głową wyrastającą pomiędzy ramion; mówi tylko po portugalsku, często się do mnie zwraca przy stole, a rzadko kiedy jest trzeźwy. Razem ze mną przyjechał z Rio de Janeiro na tym samym okręcie, stanął w tym samym hotelu. Opowiadają mi, że to jest geometra, który odmierza kolonie dla polskich emigrantów. Ma być synem dużego generała; wygląda szujowato, palce mu z butów wyszły, bardzo brudny i ciągle się urzyna *cachasem* (napój z trzciny cukrowej), a przy tym o niczym innym nie mówi, tylko o płci pięknej.

IX

Listy delegata do dwóch szefów kolonizacji. — Konsul brazylijski w Niemczech. — Znowu Cieślík. — Jak mnie przyjął pan szef? — Baraki emigranckie w municypium Itajaby. — Moja rozmowa z emigrantami. — Legenda o mojej bytności w barakach. — Szef kolonizacji w Blumenau. — Zjadliwy artykuł w gazecie o mnie i o „Kurierze Warszawskim”. — Co mi mówiono, gdy wróciłem do Rio de Janeiro? — Osada Blumenau. — Za kogo mnie mylnie wzięto? — Henryk Rosentreter z fabryki pana Szajblera w Łodzi.

Tak zeszedł mi tydzień czasu na niczym; nareszcie jednego dnia przybywa do mnie urzędnik z biura pana delegata i doręcza dwa listy: jeden z adresem *Illmo Sr. A. de A. F., chefe da commissao de Terras de Itajaby*¹³⁵, drugi *Illmo Sr. V. de P. chefe da commissao de Terras de Blumenau*¹³⁶.

Ponieważ listy były w kopertach otwartych, więc mi wolno treść ich przytoczyć, a choć to brzmi po portugalsku, mniemam jednak, że każdy zrozumie:

*„Apresento vos o Sr. Adolf Dygasiński, correspondente do jornal russo-polaco »Courrier de Varsovie«, que seio da Capital Federal, recommendado pela Inspectoria Geral, e para abi segne visitators nucleos colonias sujeitas a direçao desta commissao; para isto che facilitareis os passagens”*¹³⁷.

Zdaje się, że jednocześnie któryś z konsulów brazylijskich w Niemczech wystąpił z ostrym protestem przeciwko moim korespondencjom i domysłem, jakich sobie na zasadzie wieści zasłyszanych pozwoliłem, przewidując, co czeka Polaków w Brazylii.

Może ów protest konsula doszedł już z Europy do Rio de Janeiro, kiedy żegnałem Desterro bez łzy w oku; po ludzku pożegnał mnie tylko França, brazylijski Europejczyk.

Na parowcu znowu spotkałem geometrę polskich kolonistów, a był tu także Michał Cieślík, który mi ciągle powtarzał swą prośbę, abym zawiadomił jego rodzinę o losach emigrantów polskich w Brazylii. Do tej prośby mogę to tylko dziś dodać, że ogół Polaków w Brazylii, zrozpaczony i nieszczęśliwy błaga swych ziomków, aby zaniechali kroków lekkomyślnych i nie zwiększali sumy ogromnego nieszczęścia.

¹³³San-Bento, właśc. São Bento — miasto w stanie Maranhão w Brazylii. [przypis edytorski]

¹³⁴*Bester Herr Daschinsky* (niem.) — tu: kochany panie Daszyński. Nazwisko autora niniejszej opowieści, Adolfa Dygasińskiego, zostało pomyłone z nazwiskiem Ignacego Daszyńskiego (polityka, który w 1890 r. istotnie rozpoczął swoją działalność polityczną), co świadczy nie tylko o „konfidenjonalności” (poufaleści) rozmówcy, ale też o pewnej niedbałości w stosunkach z ludźmi. [przypis edytorski]

¹³⁵*Illmo Sr. A. de A. F., chefe da commissao de Terras de Itajaby* (port.) — „Szanowny Pan A. de A. F., szef do spraw kolonizacji w Itajaby” (*Illmo*, skrót od: *ilustrissimo*). [przypis edytorski]

¹³⁶*Illmo Sr. V. de P. chefe da commissao de Terras de Blumenau* (port.) — Szanowny Pan A. de A. F., szef do spraw kolonizacji w Blumenau (*Illmo*, skrót od: *ilustrissimo*). [przypis edytorski]

¹³⁷*Apresento vos o Sr. Adolf Dygasiński (...) para isto che facilitareis os passagens* (port.) — Przedstawiam wam pana Adolfa Dygasińskiego, korespondenta rosyjsko-polskiego magazynu „Kurier Warszawski”, przybywającego ze Stolicy Federalnej z rekomendacją Głównego Inspektoratu w celu odwiedzenia głównych kolonii pod zarządem tej komisji; proszę o ułatwienie mu podróży. [przypis edytorski]

A więc jazda! Widzę ciągle przepyszne krajobrazy i przyroda bogata wynagradza mnie jako tako za różne doznane zawody.

Przed wieczorem stanęliśmy w Itajahy¹³⁸ i zaraz zwróciłem się z listem od delegata do szefa miejscowej kolonizacji. Jest to człowiek jakiś zgoryczony i widocznie źle uprzedzony¹³⁹ do Polaków. Rzucił się na mnie tak, jak gdybym ja emigrantów nasyłał do Brazylii. Krótka trwała nasza rozmowa, bo kto obelgi rzuca na moich ziomków, ten i mnie obraża. Zerwałem z rządem!

Na wszystkie oskarżenia i ostre uwagi zwrócone ku polskim chłopom odpowiedziałem szefowi hurtownie:

— Nie może pan od Polaków wymagać, aby byli dobrymi obywatelami Rzeczypospolitej brazylijskiej, ponieważ byli złymi synami swojej własnej ojczyzny: oni z niej uciekli! Takim nie w głowie patriotyzm brazylijski!

— *C'est vrai!*¹⁴⁰ — mruknął, przesywając mnie swymi małymi, czarnymi oczkami, które miały coś khującego w sobie.

Wróciwszy do hotelu, wdąłem się w rozmowę z właścicielem Niemcem, który widocznie mógłby mi być dużo powiedzieć, ale należał do rzędu ludzi, o których się u nas mówi: „To Metternich!”¹⁴¹

Gdy go pytał o kolonie nowe, o emigrantów, uśmiechał się zagadkowo, wzruszał ramionami i palił tytoń ze swej porcelanowej fajki z panną malowaną.

— Ale pan masz konie? — spytałem.

— *O ja, ganz nette Thiere!*¹⁴²

Nająłem więc dwa konie i w towarzystwie młodego chłopaka puściłem się w drogę do kolonii oraz emigranckich baraków w lesie.

Com tutaj widział i słyszał, przechodzi wszelkie pojęcie, jakie można mieć o ludzkiej nędzy. Stoi tam budynek, który nazajutrz i drugi raz z powrotem za dnia oglądałem: rudera czarna, pełna gnoju, w którym się poniewierają rodziny wychodźców; obrzydliwa woń bije z daleka, a przy wejściu wstręt cię ogarnia; koszary w Desterro to pałac wobec tego. Oprócz owego budynku, znajdują się tu jeszcze budy z gałęzi, gdzie mieszkają tacy, którzy już żadną miarą w budynku zmieścić się nie mogli. Poślanie z przegniłych liści drzew, ogniska przed budą — oto przytułek dla zdradliwie z ojczyzny wywabionych emigrantów.

A jakże wyglądają ludzie? Ostatniego rzędu żebraki! Znękani ciąglą włóczgą, obrzydliwie brudni, obdarci, upadli na duchu, mają na ustach tylko słowa przekleństw i złorzeczeń dla Brazylii. Począwszy od higieny, a kończąc na stanie moralnym upadek zupełny.

Ależ to diabelnie potworna hańba cywilizacji, piętno ohydny, które sobie rząd brazylijski krzywdą ludzką wypala na czole.

W ten sposób nie ucywilizujecie tych borów, gór i pustyni waszych, lecz się zwyrodnicie jeszcze bardziej.

Cała ludzkość powinna ostro zaprotestować przeciw takiemu nadużyciu. Opowiadam szczerą prawdę, to, co widziałem własnymi oczyma.

Emigranci otoczyli mnie wkoło, wszyscy, jak jeden, błagali, zaklinali, abym im nie-szczęśliwym szedł w pomoc. Ze wszech stron wywoływali oni swoje nazwiska, a każdy w nadziei, iż o jego losie doniosę krewnym, przyjaciołom, znajomym: „A może się ktoś gdzieś zlituje i wykupi biedaków z niewoli brazylijskiej!” — Ta była myśl, utajona w tych prośbach.

Na próżno, bo do Brazylii nawet pieniędzy pocztą przesłać nie można! Biedak, co tutaj wpadł, już zginął, jeśli nie posiada energii żelaznej pracy, jeśli nie ma w sobie odporności dla uczucia tęsknoty za swą ziemią.

Wśród ścisłości ludzi i ciemności nocy zaledwie zdołałem ołówkiem zapisać niektóre nazwiska:

¹³⁸Itajahy, właśc.: Itajaj — miasto i gmina w stanie Santa Catarina w Brazylii. [przypis edytorski]

¹³⁹źle uprzedzony do kogo — z góry źle nastawiony do kogo. [przypis edytorski]

¹⁴⁰*C'est vrai!* (fr.) — To prawda! [przypis edytorski]

¹⁴¹Metternich, Klemens von (1773–1859) — austriacki minister spraw zagranicznych (1809–1848) i kanclerz Austrii (1821–1848); tu: wypowiedź nawiązująca do niezwyklej zręczności i sprytu Metternicha w realizacji swych celów politycznych. [przypis edytorski]

¹⁴²*O ja, ganz nette Thiere!* (niem.) — popr. *Ganz nette Tiere*; O tak, całkiem miłe zwierzęta. [przypis edytorski]

Józef Rutkowski¹⁴³, Ignacy Hernacki z Orla, a także Augustyn Nowak i Antoni Więckowski proszą, abym o ich smutnych losach, o wielkiej niedoli, zawiadomił ks. proboszcza Ociechowskiego. Leon Szczepkowski pragnie to samo donieść Janowi Szczepkowskiemu w Smolanach przez Mławę. Jakub Gawroński błaga, aby się z taką samą wiadomością zwrócić do ks. proboszcza Smoleńskiego w Drobinie. Józef Szczepański znów pragnie zawiadomić Adama Szczepańskiego w Drogoszkach przez Mławę. Grzegorz Rajewski przedziera się przez tłum i woła: „Panie, zlituj się, napisz do Mariana Rajewskiego w Drobinie!” To samo robi Konstanty Zakrzewski, prosząc, abym wieść o nim dał Franciszkom Pszczółkowskiemu w Młodyminie przez Mławę.

Niepodobna mi wszystkich zapisać, bo na to mało dnia i nocy. Przytaczam tylko nazwiska ludzi żywych, którzy sobą złożyli na moje ręce świadectwo prawdzie. Niech mi pan konsul brazylijski¹⁴⁴ w Niemczech nie mydli oczu, że Brazylia ma prawa; bo prawa potrzebują ludzi, aby ich strzegli, a wypadki takie, jak z „Trybuną”, emigrantami polskimi, świadczą, że prawo zamienić można na *bezprawie*. Nie znam brazylijskiej konstytucji, lecz znam to, com widział.

Nie pamiętam tego dobrze, co ja mówiłem do emigrantów, gdyż to była chwila nadzwyczajnego wzruszenia, a gdy się za żywo czuje, trudno wtedy myśleć i pamiętać. To pewna¹⁴⁵, iż nie mogłem tych biedaków zachęcać do jakiegoś buntu, bo i na cóż by im się to przydało. Radziłem im chyba to samo, co powtarzałem wszystkim: „Kiedyście sobie zamknęli drogę powrotu do kraju, a więc wam pozostaje tylko praca, która może złagodzi waszą niedolę”.

Jednakże bytność moja w koszarach owych rozniosła się wśród emigrantów po stanie św. Katarzyny; od chłopów przeszła do ich tłumaczy, a stamtąd do władz rządowych. Emigranci bo zrobili¹⁴⁶ z tego legendę formalną o kimś takim, który się zjawiał w nocy w barakach Itajahy — rodzaj śpiącego rycerza¹⁴⁷. Sam słyszałem potem, jak chłopci opowiadali mi w Massarandubie¹⁴⁸: „Przyjechał i przepowiadał wyzwolenie z Bryzolii na przyszłą wiosnę.”

Gazety podobno mnie osmarowały strasznie; mówię *podobno*, gdyż przypadkiem jeden tylko taki artykuł wpadł mi w ręce.

Nazajutrz, jakby nigdy nic, spotkałem się z cierpkim panem szefem i on swoje, a ja swoje. Towarzyszyłem mu przy ładowaniu emigrantów na okręt ze 170 wychodźcami, po czym ruszyłem w drogę.

I znowu dzień zeszedł na wodzie. Parowiec włókł za sobą ogromną łódź odkrytą, a na niej Polaków napchanych jak śledzie; dla tych ludzi była to ciężka katusza przy palącym słońcu i jakich 30° Réaumura¹⁴⁹.

Jakże się bardzo różni od szefa w Itajahy szef z Blumenau¹⁵⁰! Człowiek, jakby nie urzędnik: wykształcony, skromny i dobry. Ale cóż, on powinien być inspektorem kolonizacji, a nie szefem, który potrzebuje żelaznej energii. P. V. de P. R. przyjął mnie nieurzędowo i przyobiecał wysłać nazajutrz do nowo powstających polskich kolonii.

Rozstawszy się z nim, pomyślałem o tym, aby siły pokrzepić jakim posiłkiem, uprządkować swoje notaty i wypocząć. Zaledwie przybyłem do hotelu, spostrzegłem na stole w sali jadalnej gazetę i w niej wyczytałem zjadliwy artykuł przeciwko „Kurierowi Warszawskiemu”, a głównie przeciw wyprawie mojej w celu zbadania na gruncie spraw kolonizacji. Mówiono tam o mnie, jako o tajnym ajencie, który w chłopskiej sukmanie myszkuje po Brazylii i jakoby paraliżuje szlachetne i dobroczynne usiłowania rządu. —

¹⁴³Rutkowski, Józef — jeden z emigrantów chłopskich w Brazylii. W wersji *Listów...* opublikowanej w „Kurierze Warszawskim” nazwiska chłopów zostały dodatkowo wyróżnione. W ten sposób Dygasiński chciał poinformować rodziny emigrantów tragicznej sytuacji ich bliskich, a także zwrócić uwagę ówczesnego czytelnika na problemy Polaków w Brazylii. [przypis edytorski]

¹⁴⁴konsul brazylijski — nie wiem, z którego miasta niemieckiego pisał pan konsul, bo mi to mówił tylko człowiek, który ów protest czytał. [przypis autorski]

¹⁴⁵to pewna — daw. forma, w domyśle: „to [rzecz] pewna”; dziś: to pewne. [przypis edytorski]

¹⁴⁶emigranci bo zrobili — daw. konstrukcja z szykiem przestawnym o funkcji wzmacniającej, wyrażającej nacisk; inaczej: bo też emigranci zrobili. [przypis edytorski]

¹⁴⁷śpiący rycerz — nawiązanie do tatrzańskiej legendy o Śpiących Rycerzach, wedle której pod Giewontem śpią rycerze, którzy mają się obudzić, kiedy Polska znajdzie się w wielkim zagrożeniu. [przypis edytorski]

¹⁴⁸Massaranduba — miasto i gmina w stanie Santa Catarina w Brazylii. [przypis edytorski]

¹⁴⁹30° Réaumura — 30° w skali Réaumura, czyli ok. 37° w skali Celsjusza. [przypis edytorski]

¹⁵⁰Blumenau — miasto w południowej Brazylii w stanie Santa Catarina. [przypis edytorski]

„Oh, gdybym ja to mógł skutecznie uczynić!” — Ton artykułu był uszczypliwy i pełen insynuacji.

Skorom już swoje zrobił i wrócił potem do Rio de Janeiro, ktoś (nazwiska nie wymieniam) tak do mnie przemówił:

— Obawialiśmy się tu, czy pan wrócisz.

— Z jakiego powodu?

— No, po artykułach dziennikarskich oskarżających cię o tajemne postępowanie i naruszanie porządku publicznego policja rzeczpospolitej na śladach pańskich była czynna w stanie św. Katarzyny...

— Doprawdy? A to duży zaszczyt, iż rzeczpospolita zajęła się moją osobą!

— Nie bądź pan śmiałkiem, bo to właśnie jest najniebezpieczniejsze!... W policji brazylijskiej jest dużo wyrzutków, gotowych na wszystko.

— Jeżeli w Brazylii uczciwi ludzie mają się obawiać łotrów, to kogóż się łotry będą obawiali?

Odstąpiłem tu na chwilę od toku opowiadania dlatego, ażeby niektóre wypadki mojej wędrówki były bardziej zrozumiałe. Nazajutrz nie padał, lecz potokami lał się deszcz z nieba. Z ganku tylko i z okna przypatrywałem się osadzie Blumenau, którą można by nazwać niemieckim rajem w stanie św. Katarzyny. Wszędzie niemiecka czystość, niemiecki porządek, a piękniejsza to wspaniała przyroda podzwrotnikowa prawie. Całe Blumenau wygląda jak szereg willi, których właściciele napracowali się przedtem, a teraz sobie żyją dostatnio i spokojnie. W domach czy na ulicy słychać niemiecki język tylko, widać niemiecki obyczaj; w hotelu można tu sobie zadysponować obiad taki, jakby np. w Bremie.

Niemiec

Usiadłem w oknie i przyglądałem się przepysznej alei palmowej, która by mogła upiększyć najwspanialszą rezydencję. Wtem podszedł do mnie jakiś człowiek, mogący liczyć 35 lat wieku, i po polsku zapytał mnie, czy tutaj mieszka konsul od emigrantów, który wczoraj z Warszawy zjechał do Blumenau na statku parowym. Odpowiedziałem na to, że wprawdzie jestem z Warszawy i przyjechałem wczoraj na parowcu, ale nie jestem i z pewnością nigdy już nie dojdę do godności konsula.

— Niech no pan mówi prawdę, bo ja mam ważne rzeczy do zeznania!

— Jeżeli macie coś do zeznania przed konsulem, to nie zeznawajcie tego przede mną, bo ja jestem człowiekiem zwykłym, bez znaczenia — odpowiedziałem, myśląc w tej chwili o artykule przytaczanym w gazecie. Muszę tu nadmienić, że fizjonomia człowieka robiła na mnie złe wrażenie.

Stał przez chwilę, nic nie mówiąc, nareszcie znów się odezwał:

— I jakże, niczego się od pana nie dowiem? Może się pan boi, żebym przed Brazylianami nie wygadał?

„Oho! — myślę sobie. — Ludzie przypuszczają, że działam tajemniczo...”

Przyznam się, iż mnie paliła ciekawość, więc z kolei zapytałem:

— A któż wy jesteście?

— Jestem emigrant, pochodzę z miasta Łodzi nazywam się *Henryk Rosentreter*, pracowałem w fabryce pana Szajblera przez lat czternaście. Pan Szajbler odradzał mi emigrację, alem go nie usłuchał...

Nic na to nie odrzekłem, wyczekując dalszych uwierzeń. On znowu przez czas jakiś milczał, zerkając na mnie z boku, a nareszcie tak dalej prawil:

— Wybiera się tu do pana cała kompania tam z baraków, będzie z 500 ludzi: powiadają, że nam pan koniecznie na tę biedę poradzi.

— Skądże wam przyszło do głowy, że ja jestem konsulem?

— Tak wszyscy mówią; powiadają, że pan przywiózł ze sobą pieniądze duże na powrót emigrantów do Polski... Inni zaś mieli słyszeć od samych Brazylianów, że pan tak tylko przewąchuje, jak gdzie co jest, a potem będzie z tego wojna...

— Oj, ludzie, ludzie, jacyście wy głupi — zawołałem. — Przyjechałem do Brazylii tak samo, jak każdy z was, tylko że za paszportem i z pieniędzmi na powrót do kraju.

— Proszę pana, bo nam dużo nie potrzeba! — zawołał Rosentreter. — Jakbyśmy dostali po trzydzieści marek na głowę, to my sobie sami zrobimy łódź taką wielką z żaglem i bodaj o głodzie, wrócimy.

Naiwność taka nie tylko rozproszyła moje podejrzenia, lecz mnie rozrzewniła.

— To, co zamýsłacie zrobić — rzekłem — może jest i dobre, choć nie myślę, żeby w łodzi można było przepłynąć takie ogromne morze; ale ja z własnej kieszeni mogę tylko na początek złożyć w wasze ręce bardzo małą sumkę.

Mój interlokutor znowu milczał, wystając ciągle przy oknie, a potem rzecze:

— Skoro pan ma wrócić do Polski, to niechże pan pomówi o mnie z panem Szajblem; bardzo dobry człowiek.

— Słyszałem o tym, lecz go nie znam: zaręczam wam tylko, że moją rozmowę z wami wydrukuję w gazetach.

X

ITAIAHY (CZYTAJ: „ITAŻA-II”)

Dziś, o godzinie 4 ½, przybyłem do Itajahy, miasta przy ujściu rzeki Itajahy do Atlantyku.

Okolica składa się z trzech kolonizacyjnych municypalności: Itajahy, Brusque¹⁵¹ i Tijukas¹⁵².

Krótką tylko miałem rozmowę z panem komisarzem kolonizacji, Victorino da Fonseca; jest on zgoryczony dla Polaków i jak najgorzej o nich mówi. Zaprosił mnie na jutro, na godzinę jedenastą rano do swego biura, ale ponieważ uważałem, że się niewiele dowiem, więc zaraz w hotelu nająłem konia i, nie tracąc czasu, w towarzystwie półkrewi Europejczyka, chłopaka lat 17, puściłem się na kolonie zaraz po godzinie piątej.

Jest prawie godzina jedenasta, gdym powrócił; ale nie kładę się spać, ażeby wam dziś jeszcze opisać, co znalazłem.

Już o kwadrans drogi za miastem dostajesz się w okolice bagnistą i zarosłą gąszczem wijących się jak węże krzewów: wszystko się spleta, płącze, wiąże, a czasem tylko błysnie tu i ówdzie woda; jest to dolina rzeki, poza którą na niebieskim sklepieniu rysują się góry z zamglonymi wierzchołkami.

Świerszczenie miliona piewików¹⁵³, śpiew ptaków rozlegają się dokoła; połyskują barwą piękne kwiaty, przelatują pyszne motyle. Płacę za konia 5 milrejsów¹⁵⁴, więc go nie oszczędzam; przedzieramy się przez jakieś ścieżki, strugi, niekiedy konie grzęzną.

W godzinę już byliśmy w miejscowości suchej, nieco wyniesionej ponad dolinę. Las i las tylko, lecz las rozkoszny, wonny, gwarny od śpiewów ptasich, pełen ruchu.

Pospieszając, pierwszą osobą, którą spotkałem, była kobieta na koniu, ubrana w kapelusz, wiozła jakiś kosz i pełno paczek.

Jest to kolonistka, która z miasta wraca do domu ze sprawunkami.

Potem już z gąszczów wynurzała się kolonia za kolonią.

Są to małe domki z oknami bez szyby, a czasem tylko z okiennicami; strzecha czasem z suchych liści palm, czasem dachówka bardzo gruba, czerwona. Około domu ogród, w nim banany, pomarańcze, drzewo kawowe, brzoskwinie; w polu — kukurydza, dynie, fasola i tzw. pataty¹⁵⁵, tj. rodzaj kartofli. Żadnych innych zabudowań tu nie ma; krowy, kozy, trzoda chlewna — wszystko koczuje pod gołym niebem.

A poza kolonią znowu las, znowu gąszcze, przez które nieraz trudno się przebić.

Minęliśmy około 20–30 takich kolonii i wydostaliśmy się na przestrzeń, jaką u nas widzieć można po wycięciu lasu. W oddaleniu gdzieś dym bucha kłębam, pali się — to nowy kolonista na wyznaczonym sobie terytorium rozpoczyna gospodarkę od spalenia wszystkiego, co rośnie na tej dziewiczej ziemi.

Jednocześnie żwawiej pędził teraz koń, naglony przeze mnie, i wnet dotarłem do brzegu lasu. Tutaj w budach, w ruinach jakiegoś starego domostwa, mieszkają jacyś ludzie.

Dosyć być tydzień w Ameryce Południowej, ażeby potem nieomylnie rozpoznawać fizjonomię Polaka.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekłem do jakiegoś człowieka, który stał przy baraku. A ten zdjął czapkę, szeroko otworzył usta i w parę minut byłem tak obłączony przez ludzi, że koń mój kroku zrobić nie mógł.

¹⁵¹ *Brusque* — jedno z największych miast w stanie Santa Catarina w Brazylii. [przypis edytorski]

¹⁵² *Tijukas*, właśc. *Tijucas* — miasto i gmina w stanie Santa Catarina w Brazylii. [przypis edytorski]

¹⁵³ *piewik* — cykada. [przypis edytorski]

¹⁵⁴ *5 milrejsów* — według kursu trochę więcej niż 5 rs. [przypis autorski]

¹⁵⁵ *pataty* — inaczej: bataty. [przypis edytorski]

Natura

Tęsknota

Nie macie wyobrażenia, ile tu lez popłynęło w przeciągu pół godziny...

Powiedziałem im, że przyjeżdżam z wizytą do nich z Warszawy, aby zobaczyć, jak się mają.

Dopiero jęki rozpaczy, krzyki i płacze!...

Na wspomnienie kraju ludzie rzucają się do mnie, jak szaleni, przeklinają chwilę, w której opuścili ojczyznę, złorzeczą agentom, doradcom — słowem, mam przed sobą scenę, której słowami nie jestem w stanie oddać...

— Jak pan wróci, niech pan da znać od Józefa Szczepańskiego Adamowi Szczepańskiemu w Drogiszkach przez Mławę, żeby się tu nie ważył przybywać, niech go Matka Boska broni! — woła jeden.

— Panie, panie, zlituj się nade mną, napisz do proboszcza ks. Ociechowskiego w Orlu, stacja Izbica; niech powie ludziom od Józefa Rutkowskiego i Ignacego Hernackiego, od Augustyna Nowaka, Antoniego Więckowskiego i innych, żeśmy strasznie nieszczęśliwi! Żyjemy jak zwierzęta w lasach, ani ludzi, ani kościoła!

— Całe życie będę służył darmo! — woła jakiś chłop szpakowaty, lecz tęgi jeszcze. — A niech kości na swoim cmentarzu złożę.

W ekstazie dziwnej jakiejś tłoczą mi się do rąk, do nóg, do szyi, nie mogę sobie dać rady z rozżalonymi i nieszczęśliwymi ludźmi.

— Panie, dzieci mi wymarły! — woła jakaś kobieta, która w miejscu oczu ma tylko dwa czerwone doły.

— Stasia umarła — wykrzykuje ktoś znów. — Niech pan da znać do Smolan przez Mławę do Jana Szczepkowskiego od brata Leona.

Tu znowu Jan Gawroński ciśnie się do mnie przez tłum i woła:

— Z nieba cię tu Pan Bóg zesłał, mój panie, napisz ode mnie do proboszcza Smoleńskiego w Drobinie, opowiedz mu o naszej strasznej nędzy!... Boże, mój Boże!

Nie skończyłbym wyliczać wszystkich próśb, błagań, zaklęć, które wyszły z ust tych nieszczęśliwych.

Czemuż nie jestem bogaty, bardzo bogaty, abym mógł ziomków swoich wyprowadzić z niewoli brazylińskiej! Stracili kraj i w cierpieniu nauczyli się go kochać.

Rozrzuciłem trochę monety, papierosy swoje i ze ściśniętym sercem puściłem się ku drugim takim samym barakom. Tłum biegł cwałem za moim koniem i przy drugich barakach ta sama scena. Byli tutaj także emigranci Hiszpanie; ci wychodzili przed baraki, w pasach swoich, kaftanach i z podziwem przyglądali się scenie.

Co robią tutaj ci ludzie? Oto, dano im możliwość wybrania sobie prowincji, czyli stanu; ale gdy przybywają na miejsce, spotyka ich zawód: ziemia albo jest jeszcze niewymierzona albo wcale niezdatna na kolonie; więc ich trzymają miesiąc, dwa i dłużej potem posyłają gdzie indziej, gdzie się powtarza to samo.

Sądzę, że moich ziomków powinno by to, co tu piszę, nauczyć przezorności. Nie ja dziś mówię, lecz sami emigranci chłopci.

Jutro wyjeżdżam stąd do najbardziej podobno kwitnących kolonii około Blumenau w stanie św. Katarzyny, skąd następnie pojedę do stanu Parana.

12 grudnia 1890 r.

XI

Przepowiednia właściciela hotelu. — Wieści w agencji żeglugi parowej. — Moi towarzysze i podróż. — Jens Jensen i Wolff. — Droga do Massaranduby. — Zarobki emigrantów i koszt ich życia. — Obrachunek i wypłata. — Baraki emigranckie w Massarandubie. — Barak, gdzieśmy nocowali. — Moje ranne odwiedziny u emigrantów. — Rozmowa z pomocnikiem szefa. — Kolonie bez domów i kolonie z domami. — Obywatel w Europie i w Brazylii. — Pomoc, której rząd udziela emigrantom. — Co mówią chłopci o ziemi w Brazylii? — Gdzie mieszka kolonista? — Porządek niemiecki. — Podczas wypłaty. — Prośba na piśmie emigrantów polskich.

Na drugi dzień wstałem rano o godzinie czwartej; deszcz ciągle lał jak z cebra. „Nic nie pomoże — myślałem — jechać i tak muszę, trzeba raz koniecznie zobaczyć, jak się wylęga ta kolonia polska i co z niej wyrasta potem”.

Cztery konie zaprzężone do wehikułu przypominającego bryczkę naszą oczekiwały przed hotelem, którego właściciel, Niemiec, przepowiadał mi ciągle drogę, jakiej jeszcze w życiu nie widziałem.

— Masz pan jechać do Massaranduby — mówił — jest tego wprawdzie czterdzieści kilometrów wszystkiego, ale po gościńcu europejskim łatwiej przejechać trzy razy dłuższą przestrzeń: błoto, urwiska, brak mostów... *alles wild!*¹⁵⁶

Zanim opuściłem Blumenau, poszedłem przedtem do agencji żeglugi parowej, ażeby się wywieść, czy i kiedy w tych czasach przybywa do Itajahy jaki statek parowy (Blumenau ma tylko małe parowce, które kursują po rzece Itajahy Assù¹⁵⁷ i komunikują ją z oceanem).

Musiałem się z tym liczyć, znając komunikacje brazylijskie, ażeby nie pozostać bez możliwości wyjazdu przez przeciąg jakich dwóch tygodni.

W agencji zarządzanej przez kobietę, Niemkę, powiedziano mi, że 21 grudnia, stosownie do otrzymanych wiadomości telegraficznych, przybywa do Itajahy taki a taki statek parowy, a jeśli na nim teraz nie odjadę, to będę musiał na inny czekać aż do 2 stycznia.

Ponieważ to była data 15 grudnia, byłem więc panem czasu i w podróży swej mogłem się odpowiednio stosować.

Jadę nareszcie do upragnionej przez siebie Massaranduby! Towarzyszy mi pan L. de M., pomocnik szefa kolonizacji i młody człowiek, pomocnik pomocnika. Są to ludzie z najlepszymi chęciami, ale niezdarzy — kanceliści i nic więcej, a ostatecznie tacy wykonywają w Brazylii dzieło kolonizacji.

Błoto tutaj większe aniżeli u nas w okolicy Buska, Wiślicy, Proszowic, Skalbmierza. Na promie, przypominającym okręciki, które w Warszawie puszczają dzieci po rynsztokach, przeprawiliśmy się przez rzekę Itajahy Assù (wielką), a około dziesiątej przybyliśmy do miejscowości zwanej Itapavo¹⁵⁸, gdzie się przy drodze znajduje oberża niemiecka Jensa Jensa. Nie powtarzam tu swej rozmowy z urzędnikami, gdyż płytkość jej kwalifikuje się do zatracenia na wieki, o ile chodzi o kolonizację i emigrację. Wysiadłem za to z wehikułu, zbierałem rośliny szczególne, wypytywałem o nazwy i obyczaje spostrzeganych ptaków, owadów itd. Odpowiedzi bywały często wątpliwe.

Jens Jensen, właściciel oberży w Itapavo, przed 25 laty zbiegł z okrętu jako majtek i przybył tutaj, jak mówią, za ledwie w butach; dzisiaj jest to człowiek bardzo zamożny: posiada znaczny majątek w ziemi, zwierzętach domowych, w dobrze zaopatrzonym sklepie i w gotówce.

Wszystkiego u niego dostaniesz: czarnej fasoli, masła, kukurydzy, mąki, różnych nasion, rzemienia, tkanin bawełnianych, lnianych, wełnianych, jedwabnych, mięsa, obuwia, kulbak, papieru, książek do nabożeństwa, elementarzy, nawet tablic do nauki pogłódowej, a wszystko niemieckie. Oglądałem jego zasobne gospodarstwo i widziałem skrzętną pracę całej rodziny; każdy jej członek coś robi. Naturalnie, każdy przedmiot kosztuje tutaj najmniej trzy razy tyle, co w Europie.

Przed samym wieczorem zajęliśmy do innej jeszcze oberży, położonej wśród dzikich gór i lasów, a należącej do Wolffa, także Niemca.

Zmęczone konie wytchnęły tutaj nieco i potem, późnym już wieczorem, dobiliśmy się nareszcie do nowych kolonii w Massarandubie.

Jest to szczyry bór porastający na górach. Rósł przez długie wieki, a człowiek nigdy się tu jeszcze nie zapuszczał z toporem.

Ach, co za drogi! Nic łatwiejszego jak kark skrócić lub utonąć w błocie.

W najnowszych czasach drogę Massaranduby wykończali i ulepszyli polscy emigranci; chciano tych ludzi zająć, aby im złe myśli nie przychodziły do głowy, a przy tym dać

¹⁵⁶*alles wild!* (niem.) — wszystko dzikie! [przypis edytorski]

¹⁵⁷*Itajahy Assù*, właśc. *Itajai-Açu* — rzeka w stanie Santa Catarina w Brazylii, przepływająca przez jedno z głównych miast tego stanu, Blumenau. [przypis edytorski]

¹⁵⁸*Itapavo* — prawdopodobnie chodzi o miejscowość Itaipava w stanie Santa Catarina w Brazylii. [przypis edytorski]

zarobek. Rząd płacił za dzień roboczy 1 milreja i 400 rejsów¹⁵⁹, co wynosi prawie 1 rs. 50 kop¹⁶⁰.

Dla nas wydaje się to bardzo dobrą zapłatą; trzeba jednak pamiętać, że za te pieniądze chłop z rodziną zaledwie się tutaj wyżywić nędznie może, jedząc czarną fasolę, kraszoną starym szmalcem i kawałek lichego chleba.

Pomocnik szefa przywiózł wory drobnych pieniędzy, miedziaków, niklaków, ażeby polskim robotnikom wypłacić zarobki ich za listopad. Przeglądałem listę płacy i widziałem, że niektórzy zarobili około 40 milrejsów. Zwracam tu uwagę, iż kobiet nie przyjmuje się do roboty, a młodzież męską dopiero prawie od 20 roku życia.

Robotnik pracuje i podczas pracy żyje na kredyt, biorąc od miejscowego oberżysty wszystko, co mu jest do życia potrzebne.

Z tego rośnie dług, który często bywa większy od zarobku, zważywszy, iż ów kolonizacyjny oberżysta K. jest bez konkurencji i Nielitościwie obdziera emigrantów.

Do oberży Wolffa, a tym bardziej Jensena, chłopci mają za daleko; mimo to łączą się solidarnie i od czasu do czasu wyprawiają dwóch lub trzech spomiędzy siebie, aby ci przynosili żywność od Wolffa. W czasie, gdy urzędnik odbywa obrachunek i wypłaca zarobki, przychodzi do dużych awantur, oberżysta bowiem jest tu w takich razach zawsze obecny i z rąk urzędnika zabiera pieniądze za to, iż żywił emigranta. Trzeba słyszeć te skargi, przekleństwa i wyrzekania chłopów na zdzierstwo i oszustwo oberżysty K. Tłumacz rządowy porozumiewa się wtedy z tłumaczem emigranckim (obaj są Niemcy i stroną oberżysty zwykle trzymają), po czym urzędnik sprawę rozstrzyga, oddając oberżyscie jego należność, a chłopca odprawia się zwykle z kwitkiem.

Muszą mi panowie urzędnicy brazylikańscy przyznać, że protestowałem przeciw nadużyciu i zwracałem uwagę nie tylko podwładnych, lecz pana szefa i pana delegata. Rzecz prosta, nie powtarzam tu plotek rozsiewanych, ponieważ mi nie chodzi o skrzywdzenie cudzego honoru; piszę o tym jedynie, co widziałem. Czy gazety brazylikańskie i konsulowie brazylikańscy teraz także cisną mi w oczy frazes: „Brazylia ma prawa!”?

Byłem w barakach, gdzie emigranci wyczekują na kolonie. Pan pomocnik szefa chciał złagodzić moje wrażenie na widok owej budy bez ścian i o bardzo lichym dachu z liści palmowych; podobało mu się kilkakrotnie nazwać zabudowania tego rodzaju: „*une maison rustique*”¹⁶¹. Psy u nas w daleko lepszych budach sypiają!

— Nasz klimat — mówił pan pomocnik — wymaga tego, aby w domu było dużo przewiewności! Chodzi o zdrowie owych ludzi.

„A bodaj ciebie kartacze biły, idioto! — pomyślałem. — Ludzie gniją w błocie, a on mi prawi o przewiewności!”

I my także mieszkaliśmy w baraku, w którym przez dach gwiazdy widać, a ściany zrobione są ze szczebli, jak w klatce; o suficie, podłodze, oknach — mowy nie ma. Ale dla nas to było sportem czasowym, a nadto mieliśmy na czym i przy czym usiąść, do spania służyły nam tak zwane *tarimy*, to jest cztery kołki, wbite w ziemię i na nich ułożona rama, czyli drabina, poprzepłatana sznurkami *cipao* (czytaj: „sipo”); jest to roślina pasożytna, która wylazi na drzewa, ssie je, a z ich wierzchołków opuszcza się na dół długimi sznurami.

Prawie całą noc nie spałem; zdrzemnąłem się tylko trochę około godziny drugiej po północy, a przed wschodem słońca, mimo sloty, byłem już w lesie, aby widzieć zjawiska miejscowej przyrody. Następnie udałem się samotny do emigranckich baraków, gdzie właśnie baby pod gołym niebem zaczynały rozniecać już ogniska. Wszcząłem rozmowę z nimi i wnet usłyszałem skargi, żale, utyskiwania. Było tam dużo chorych dzieci: jedne cierpiały na krwawą biegunkę, inne miały po całym ciele bąble z powodu upałów; oprócz tego dużo widziałem chorych na oczy.

Rozmawiam ja tak z rodakami o ich teraźniejszej doli, wypytuję sposób życia — spojrzę, a tu pomocnik pana szefa stoi za mną w zabłoconych pantoflach i w płaszczu, którego użył jako szlafroka. Ach, to nic, to nadzwyczajna uprzejmość tego pana, grzeczna troskliwość, aby mnie nie zostawiać samego!...

— *Obrigado!* — rzekłem po portugalsku (znaczy: dziękuję).

¹⁵⁹ *milreja* i *rejsy* — dawne monety portugalskie używane w Brazylii; 1 milreja miał wartość 1000 rejsów. [przypis edytorski]

¹⁶⁰ 1 rs. 50 kop. — 1 rubel 50 kopiejek (waluta rosyjska; 1 rubel równał się 100 kopiejek). [przypis edytorski]

¹⁶¹ *une maison rustique* (fr.) — rustykalna chatka, wiejska chatka. [przypis edytorski]

— Co oni też panu mówią?
 — Powiadają, że już od kilku miesięcy przyjechali do Brazylii, a władze rządowe trzymają ich w lesie i dotąd nawet nie są odmierzone dla nich kolonie.
 — Ziomkowie pańscy, przyznać trzeba, są ludzie pracowici; ale jacy pretensjonalni! Nieustannie się na coś skarżą i czegoś wymagają!
 — Brakuje im, jak widzę, wszystkiego: zdrowia, szczęścia, są obdarci, głodni i nie mają gdzie głowy schronić! W naszym kraju po powodzi, po pożarze, mogą się ludzie znaleźć w takim położeniu, lecz przez krótki czas tylko.
 — Czy pan znajdujesz, że rząd nasz działa ze złą wolą dla tych ludzi?
 — Wola rządu może być bardzo dobra, ale położenie biedaków jest bardzo smutne.
 — Przybędą wkrótce geometrzy, odmierzą im kolonie, rząd da każdemu narzędzia potrzebne do karczowania i uprawy ziemi, zaliczy 50 milrejsów na postawienie domu, i za jakie trzy, cztery miesiące ludzie ci będą zupełnie szczęśliwi.
 — Racz mi pan powiedzieć, jakie to narzędzia otrzymują koloniści od rządu?
 — Topór, rydel i gracz.
 — Czy to rolnikowi w Brazylii wystarcza?
 — Najzupełniej.
 — A teraz zechciej mi pan pokazać kolonię nową, to jest kawałek gruntu odmierzonego dla emigranta.

Przeszliśmy kilkaset kroków i towarzysz mój ukazał mi na pochyłości góry sporą przestrzeń ziemi, na której leżały ogromne kłody drzewa pościanego i opalonego przez ogień; sprawiało to wrażenie wielkiego pogorzelska.

— Oto — rzekł — kolonia odmierzona i już osadzona, to jest oddana przez rząd koloniście, który właśnie pościnał drzewa, czekał, aż nieco przeschnęły na ziemi i zaczął je wypalać. Teraz pozostaje mu tylko wzruszyć ziemię motyką, gracz i sadzić: fasolę, kukurydzę, mandjokę¹⁶², inhames¹⁶³ (czytaj: „injams” — kartofle dla trzody chlewnej), może i dynie, a za kilka miesięcy będzie miał własną żywność. Później znowu wypali część drzewa leżącego i będzie więcej jeszcze siał, sadił...

— Ileż ta przestrzeń ma powierzchni?

— Zwykle odmierzamy 1115 metrów boku długości, a 250 do 275 boku szerokości (jak mi mówiono, wynosi to około 150 naszych mórg).

Uważałem¹⁶⁴, że z daleka szli za nami chłopci, a gdy podeszli bliżej, bardzo mi się przyglądali.

Urzędnik kolonizacji później drugą i trzecią takąż samą kolonię mi pokazywał, a przy tym opowiedział, że kolonista, wypłaciwszy rządowi oznaczoną ilość pieniędzy (250 milrejsów) w ciągu lat pięciu, zostaje właścicielem gruntu. Jeżeli się atoli kolonista nie wypłaca regularnie, a rząd widzi jego niemożność, to spleta może się ciągnąć przez znacznie dłuższy przeciąg czasu.

— Rząd brazylijski chce tanim kosztem zyskać dla kraju obywateli i sądzę, że tego nigdy nie dopnie! — rzekłem.

— Dlaczego pan to mówisz?

— Bo uważam, iż uobywatelnienie człowieka jest sprawą wychowania jego w ciągu wieków, jest dziełem pewnych procesów psychicznych, których w ludzi nie można wmówić, lecz muszą one same się wytworzyć, a noszą te procesy nazwę patriotyzmu. WY w Brazylii uważacie to za sprawę kupiecką, opartą na umowie rządu już nie z emigrantem, lecz z agentem, który emigranta oszukuje i jako obywatela dostarcza.

Właśnie się zbliżyli chłopci, więc się ku nim zwróciłem, mówiąc:

— Ano, macie to, czegoście¹⁶⁵ chcieli: ziemię!

— Jaka tam ziemia! — rzekł jeden z nich, drapiąc się w głowę. — Pałysi jacy, wertepy, u nas nikt by na to nie spojrział... A dyć z tych kolonii, co on je tu panu pokazuje, to gospodarze precz pouciekali i nie wiadomo gdzie się podzieli!... Jednego, Zarębowicza,

Obywatel, Nauka

¹⁶²mandjoka — właśc. maniok jadalny, rodzaj rośliny uprawnej pochodzący z Brazylii. [przypis edytorski]

¹⁶³inhames — pol. pochryzn, rodzaj pnączy z jadalnymi bulwiastymi kłączami, przypominającymi ziemniaki. [przypis edytorski]

¹⁶⁴uważać (daw.) — tu: zauważać, spostrzegać. [przypis edytorski]

¹⁶⁵czegoście chcieli (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: czego chcieliście. [przypis edytorski]

to tu wąż okrutny ukąsił i człowiek o mało życia nie stracił. Palili mu nogę rozpalonym żelazem, a jak ozdrowiał, zabrał żonę, dzieci i w świat poszedł. Oj, co tu za gady i robaki, niech Bóg broni!

Te wszystkie kolonie, którem¹⁶⁶ dotychczas oglądał, były bez chat; tu i ówdzie tylko zauważyłem jakby ślady przygotowawcze do postawienia domu.

Udaliśmy się następnie na kolonie, gdzie już i chaty stały, a pomiędzy opalonymi kłodami, gałęziami, bryłami skał, dawała się spostrzeżać podrosła już kukurydza, fasola, ładne listki mandjoki. Trudno sobie wyobrazić budynek nędzniejszy od chaty takiego brazylijskiego kolonisty nowicjusza. Nie ma tu żadnych ścian, tylko sześć słupków — po trzy w jednym rzędzie — i dach z liści palmit. Właściciel chaty i koloniści mieszkają na strychu, to jest pod dachem, dokąd się dostają po drabinie; poniewierają się tam ludzie na przegniłym mchu i liściach. Lenistwo i nieochędństwo polskiego chłopca dogadza poniekąd Brazylijanom, którzy są także flejtuchami i próżniakami skończonymi.

Na dole w takiej chacie mieszkać niepodobna z powodu węzów, jaszczurek i obrzydliwych ropuch, które swe zimne ciała pragną ogrzać przy ciepłokrwistym człowieku. Choć to są stworzenia niewinne, jednak nieprzyjemne.

Jedynie w koloniach niemieckich znajdowałem porządek i ślady dobrobytu, zwłaszcza w koloniach, których byt ma datę nie wcześniejszą jak lat cztery do pięciu. Ale bo Niemcy przybywali do Brazylii nie wabieni obietnicami agentów, lecz z własnej woli i z jakimi takimi środkami, co ma ogromne znaczenie.

Kolonie owe porozrzucane są jedna od drugiej o wiorstę¹⁶⁷ i dalej. Nachodziwszy się dosyć, wróciłem do baraku urzędowego, gdzie miano dokonywać wypłaty. Wyglądam oknem, bawię się z pięknym psem, a swoją drogą mam ucho na to, co się dzieje przy wypłacie. Wtem do okna podchodzi chłop i mruga na mnie porozumiewająco. Zrozumiałem, iż chodzi o jakąś tajemnicę i wychyliłem się za okno, sądząc, że nastąpią zwierzenia; tymczasem emigrant sięgnął do zanadrza, wyjął owinięty w szmatę kawałek papieru i to mi doręczył, mówiąc:

— Widziewa¹⁶⁸ przecie, coś pan nie jest zwyczajna osoba, emigrant. Rozmawiasz pan z ludźmi, uważasz na różne rzeczy, a osobliwie o dzieci się dopytujesz, a z Bryzolianów zaś nic sobie nie robisz. My też niegłupi, żeby nie zrozumieć...

Położyłem palec na ustach na znak milczenia, gdyż tłumacz stał w pobliżu, a papier schowałem do kieszeni i, co w nim było napisane, wiernie tu oddaję:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i nasza Jasnogórska Panienska! Kłaniamy się pokornie panu z Polski, a prosiewa wszyscy, siła nas tu przyjechało, żeby można było jak najprędzej z Bryzolibii wyjechać i chociaż do Bremy się dostać, to dalej już na piechty pójdziwa”.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Jakaś pan jest katolik na równi z nami Polakami w obcej ziemi, to musisz uważać, co ludzie wytrzymać nie mogą bez kościoła i katolickiego księdza, takiego, co by naukę i wszystko kóli wiary po polsku mówił. Opisywane nam było tam w Polsce, że w Bryzolibii jest polska wiara i równość, a tu nie ma polskiej wiary i nie ma równości. Wszystko pomieszane z Miemcami i Bóg wie jakimi narodami.”

„Jakoś pan katolik, więc masz rozum dobry na to, że człowiek z Polski tak nie wyżyje. Miemcy, Murzyny powinny być osobno, a Polaki osobno, skoro ma być równość. Dlatego, że jak u nas jest święto, niedziela czy jakiej Matki Boskiej, to oni robią, a z nas się naśmiewają; przychodzi do obrazu Pana Boga, cierpliwości zbraknie nieraz, jako jest niewytrzymanie ludzkie z nimi — trzeba sobakom nakłąć, a jeden rwał się już do prania, jeno drudzy zbronili”.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Nim do Polski wróciewa, żeby nam postawili choć niedużą kapliczkę i koniecznie księdza z Polski we-

Polak, Obcy

¹⁶⁶którem (...) oglądał (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: które oglądałem. [przypis edytorski]

¹⁶⁷wiorsta — dawna rosyjska miara długości używana w Królestwie Polskim, wynosząca nieco ponad 1 kilometr (1066 m). [przypis edytorski]

¹⁶⁸widziewa (gw.) — widzimy. [przypis edytorski]

zwali, bo my tego niezwyčajni: — bez kościoła i bez księdzia nie wytrzyma-
wa. Prosiwa pana o to pokornie.”

”A drugie, że duzo jest o tym gadania, co nam tu dają robotę i płacą: jedno życie z ówtego zarobku mamy, na ten przykład kilo *szwarce bone*, trochę śmierdzącej okrasy i rzadko kawałek chleba do tego; co znaczy chleb taki ich tutaj!... A jak duza familia, to wszyscy wstają od miski głodni. Kupić czego na koszulę lub na inne obleczenie, albo obuwie na nogi, nie mamy za co, choć nam wszy ziemne powgryzały się w podeszwy i wszędzie: ani ustać, ani chodźić nie można — takie psie dusze dokuczliwe”.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Dzieci, które się porodziły, a wszystko jedno, jakby prosięta — bez chrztu świętego toto zostaje... Kaj tam od nas kościół, aż w Blumenau. Z tego zarobku furmanki przecie nie najmie, boby człowiek zdechł z głodu, jeno małe leży tak bez imienia i bez patrona swego w niebie, aż się serce ściska, że katolik nikiej pogan żyć musi”.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!”

”Człowiek nie jest wieczny, jeden, drugi umiera, osobliwie tu w Bryzoli nic nam nie lubuje — ani woda, ani strawa. Jako na szyfie nieboszczyka w worku do morza wrzucali nocą, bez niczyjej wiadomości, że nawet syn nie mógł się krzyżem świętym przeżęgnąć, kiedy mu zmarł ojciec, tak i tu trzeba zmarłego katolika nieść do boru i grzebać gdzie nie bądź, bez pokropienia święconą wodą. I cóż taka dusza warta na tamtym świecie, kaj się ją na równi z psem chowa?”

„Kłaniamy się pokornie panu z Polski i prosiwa o to wszystko, żeby było, jakoś pan jest wierny katolik na równi z nami”.

XII

Nieczęste są moje korespondencje, bo nie piszę z kraju kolei żelaznych i rozwiniętej żeglugi parowej. Z Rio de Janeiro płynie się blisko przez dwa tygodnie wodą do Blumenau, a potem zostaje jeszcze 40 kilometrów drogi lądowej do Massaranduby przez istne diable mosty; ale to się oplaca, gdyż jest co widzieć.

Stolica Brazylii, Rio de Janeiro, żyje życiem podobnym do tego, jakie się u nas widzi w święta na Saskiej Kępie: fajerwerki, muzyka, powywieszane wszędzie jakieś chorągiewki, banie z kolorowego papieru, nieustanny zgiełk dzwonek, w które zaopatrzone są muły tramwajowe, gwizdania i wesołe wykrzyki.

Co innego prowincja. Tutaj panuje przyroda w całym swym majestacie wdzięków, powagi i grozy, które stopniowo przejmują każdego cudzoziemca. Nieraz na przestrzeni 20 mil nie spotkasz chaty, widzisz tylko góry pokryte dziewiczym borem, ocean zasiany bezludnymi wyspami i skałami. Szczęśliwyś, gdy ci płynącemu nocą przyświecają gwiazdy, gdy wicher nie dmie ponuro, ocean nie wyszczerza swych strasznych, białych kłów i nie wali z rykiem w boki statku. Ale się i tak płynie do rana, aż o wschodzie słońca ujrzysz w ciepłych mgłach przewalające się po falach delfiny lub w dzikich podskokach rwące się do okrętu stado rekinów.

Lecz pójdźmy na ląd, zobaczmy Massarandubę.

Ja nie wiem, czy kto obliczył, ile ta okolica ma przestrzeni. Góry na prawo, na lewo, przed tobą i za tobą, a między nimi warczą potoki, skaczą po skałach, spadają, pienią się i lecą do matki-rzeki, Itajahy Assù, która ich wody odda oceanowi-ojcu. Na górach bory, a w borach pokrzykują *papugi*, ptak *guacho*¹⁶⁹, wyśpiewuje dyszkantem *tiku-tiku*¹⁷⁰, wtóruje mu *curio*¹⁷¹ lub *sabia*¹⁷², nad strumieniem znowu zaczyna ciągle piosnkę swą *benti-*

Natura

Natura, Piękno

¹⁶⁹*guacho* (hiszp.) — gauczo, rodzaj ptaka z rodziny tyrankowatych. [przypis edytorski]

¹⁷⁰*tiku-tiku*, właśc. *tico-tico* (hiszp.) — pasówka obroźna, rodzaj małego ptaka z rodziny pasówek. [przypis edytorski]

¹⁷¹*curio* (port.) — ryżolusk rudobrzuchy, rodzaj ptaka z rodziny tanagrowatych. [przypis edytorski]

¹⁷²*sabia*, właśc. *sabiá-laranjeira* (port.) — drozd rudobrzuchy, rodzaj ptaków z rodziny drozdowatych, narodowy ptak Brazylii. [przypis edytorski]

-vi¹⁷³ i nie kończy jej, a *ara-ponga*¹⁷⁴ pogwizduje! Przelatują krocie motyli i prześlicznych kolibrów.

Widziałem Massarandubę w dzień, w nocy i o wschodzie słońca; widziałem, jak bujał nad nią jej *gavio* (sokół) i czarny *urubu* (sęp); słyszałem wołanie puchaczów i osobliwe głosy *capu*¹⁷⁵ (żab); widziałem w nocnych cieniach miliony światel *świelików*¹⁷⁶ i *latarników*¹⁷⁷ siadałem pod cieniem jej pysznej *indai* (palmy) i *kokojury* (palmity), albo się przedzierałem przez gąszcz *cipao* (roślina pasożytna) i *takuare* (trzcina taka jak bambus), tworzącej jakby triumfalne łuki.

Nie spotkałem się na szczęście ze strasznym *jararaca*¹⁷⁸ (wąż jadowity), lecz mi zachodziły drogę wielkie jaszczury i węże koralowe, a *tukao*¹⁷⁹ z gniazda spoglądał na mnie ciekawie. Wyznać muszę, że zrobiło to wszystko wielkie wrażenie w mej duszy, wrażenie niedające się zapomnieć...

Lecz człowiekiem jestem i wielbię naturę, a dla ludzi tylko mogę mieć uczucie miłości. Zobaczmy w Massarandubie ludzi, tych ludzi, co przez ocean lecieli z żonami i dziećmi, pewni, iż jak z rogu obfitości skarby tu będą czerpali.

Sześć drągów wbitych w ziemię, nad nimi lichy dach z liści palmowych — oto barak, siedziba jakich trzydziestu rodzin, które tu spijają, modlą się, śmieją, a najczęściej płaczą. Dokoła budy płoną na ziemi ogniska, a przy ogniskach w skorupach warzy się czarna fasola, zwykły posiłek tutaj ludzi najbiedniejszych.

O trzysta lub czterysta kroków dalej znowu takaż buda i znowu tacy sami ludzie; jeszcze buda i także ludzie! Idę i odzywam się — „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” — a wszyscy ci ludzie już się zwrócili ku mnie; byli zasępieni, jacyś źli, a rozjaśnili się, podbiegają, witają. Brudne to, obdarte, sponiewierane, pokaleczone, niech Bóg broni!

Więc zwykła rozmowa, skąd ja, a skąd oni, każdy wymienia swą wieś, opowiada o swych losach, ubolewa, skarży się strasznie!

— Na klęczkach pójdę do mojego kraju! — woła jeden.

— Ratuj nas, panie, bośmy nieszczęśliwi! — wykrzykuje inny.

— Tu gady takie, że tego siekierą nie utnie!

— Jakieś robaki podziurawiły nam nogi!

— Patrz pan, cośmy za łazarze! Mnie Matka Boska karze, żeśmy ją opuścili!

— Nie ma kościoła, nie ma nic, a cmentarz tam, gdzie kto zamrze.

Siadają pod wspaniałymi pinierami i tak płaczą, jak ów lud pod wierzbami Babilonu, płaczą tym strasznym płaczem, który co do siły bólu z żadnym innym w porównanie iść nie może...

Jest to tęsknota za ziemią, za jej wonią, jej blaskiem, które żadnymi pięknościami opłacić się nie dadzą. Opuściłem głowę, nie miałem i teraz słów pocieszenia dla nieszczęśliwych.

— Już dwadzieścia rodzin stąd poszło borami przed siebie, gdzie oczy poniosą... I my pójdziemy! — zawołał jakiś chłop duży, barczysty, ocierając rękawem łzy kapiące mu sznurkiem z oczu.

— Kiej sobie przypomnę nasze żyto, nasze pola, to się o mało w ziemię nie wkopię!

— I to na tych górach żyć nam każą, a gdzież tu człek strzyma?...

— W nocy jaszczurki i węże po głowach nam łożą, ani my ludzi, ani nas ludzie nie rozumieją.

— Dzieci wymierają, a nam dziwności przychodzą do głowy...

¹⁷³*benti-vi* (port.) — bentewi wielki, rodzaj ptaka z rodziny tyrankowatych. [przypis edytorski]

¹⁷⁴*ara-ponga* (port.) — procnias, dzwonnik nagoszyjny, rodzaj ptaków z podrodziny bławatników. [przypis edytorski]

¹⁷⁵*capu* (port.) — żaba. [przypis edytorski]

¹⁷⁶*świeliki* — inaczej: robaczki świętojańskie, rodzaj chrząszczy zdolnych do bioluminescencji, czyli świecenia własnym ciałem. [przypis edytorski]

¹⁷⁷*latarnik surynamski* — nocoświec, gatunek pluskwiaka. Dawniej wierzono, że wyrostek na głowie tego owada zdolny jest do wytwarzania nocą słabego światła, czemu zawdzięcza on swoją nazwę gatunkową. [przypis edytorski]

¹⁷⁸*jararaca* — właśc. żararaka pospolita, gatunek jadowitego węża z rodziny żmijowatych, jeden z najbardziej niebezpiecznych węży Ameryki Południowej. [przypis edytorski]

¹⁷⁹*tukao* — właśc. tukan, gatunek dużego ptaka z rodziny tukanowatych. [przypis edytorski]

Niedaleko od nas są na koloniach Niemcy, to nas wyśmiewają, gdy się modlimy, a jak Polak chce od nich kupić kilo fasoli, to musi zapłacić milrejsa i 400 rejsów (blisko 1 ½ rubla).

W takich znękanych duszach powstają najdziwniejsze fantazje i przyszło im do głowy, że jestem jakimś konsulem z mandatem rządowym i zrobili do mnie formalne podanie. Na próżno im przedstawiałem, iż jestem biedny literat, oni tego nie pojęli, ażeby kto dla wrażeń mógł się puszczać w taką drogę.

— Panoszku, niech nas pan pocieszy, że za rok choć, za dwa, wrócimy...

Narobili mi kłopotu, bo podejrzliwi urzędnicy krzywym okiem na mnie patrzą, a gazety Bóg wie co bredzą. Robię swoje z dobrą wiarą, mówię w oczy prawdę, wyraźnie widzę i wskazuję, że rząd brazylijski jest na fałszywej drodze, powierzając agentom dzieło kolonizacji.

Ci ludzie nasi są uwiedzeni i zawiedzeni; należałoby ich zwrócić tej ziemi, z której ich podstępem wyrwano. W Massarandubie podczas mojej bytności było 300 polskich emigrantów, a teraz jest ich już 900, bo nowi przybyli. Rząd brazylijski chce zrobić swoje, lecz rady temu nie da. Koloniści polscy, którzy tam od sześciu miesięcy przybyli, także już poporzucali daną sobie ziemię i poszli w świat. Wskazywano mi też jakoby ruskie kolonie, tymczasem naocznie się przekonałem, iż to są Niemcy z guberni wołyńskiej i tylko po rusku mówić umieją.

Nowemu koloniście odznacza się w dziewiczym lesie przestrzeń 1100 metrów długości i 250 do 275 metrów szerokości, dostaje taki od rządu motykę, graczę i siekiere oraz 50 milrejsów zapomogi. Ogromne drzewa trzeba zwalić na ziemię, czekać, aż przeschną, i spalić potem; następnie porusza się ziemię graczą, sadi się kukurydzę, fasolę, maniokę, *inhams*¹⁸⁰, to jest kartofle dla trzody chlewnej. Na nowej kolonii olbrzymie kłody drzewa leżą po 4 i 5 lat, a tylko między nimi można sadzić, zasiewać.

Dawniejsze polskie kolonie, zakładane przez wychodźców z Poznańskiego i Galicji, mają się bardzo pomyślnie rozwijać. Słyszałem kilka razy o braciach Kamińskich w Bento, o Bądarzewskim w Kurytybie (stan Parana) jako o ludziach zamożnych i doszłych do znaczenia.

Ale na własne oczy widziałem dobrze jedno: *cywilizację niemiecką w Brazylii*. Niemiec się tu wcale do warunków nie przystosowuje, przychodzi z cywilizacją swoją gotową i szczepi ją, a wszystko do siebie nagina. Jest to wielki karczownik-kolonista, zawołany kupiec, fabrykant i gdzie co jest dobrego w Brazylii, to na pewno niemieckie. A tacy są twardzi, że niektórzy po 15 lat tu istnieją i tylko po niemiecku mówią.

Na drodze do Massaranduby znajduje się sklep, oberża, kolonia — wszystko razem, a należy to do Jensa Jensa, Niemca, który zbiegł z okrętu i w jednych butach przybył na kolonię; dzisiaj jest około niego 63 członków rodziny, a zamożność człowieka bardzo duża; tu się robią w tej dziurze szynki prasowane, masło i szmalec w puszkach (puszki blaszane także się robią na miejscu), idą do Rio de Janeiro i dalej, również słonina wędzona. W sklepie zaś jest wszystko, począwszy od czarnej fasoli, obić na meble, aż do elementarzy niemieckich i tablic poglądowych. Każdy z rodziny pracuje i daje rezultaty. Wyborne konie, piękne krowy, trzoda chlewna w dużej ilości, wielka przestrzeń gruntu, tartak oraz zasoby w kapitale — są to owoce dwudziestopięcioletniej pracy Jensa.

Zresztą całe Blumenau, wyglądające jak raj w stanie św. Katarzyny, jest na wskroś niemieckie. Można nie mieć dla ludzi sympatii, lecz nie godzi się być niesprawiedliwym: Niemiec — to ogromna siła pracownicza na pustych przestrzeniach Brazylii. Jego dawna ojczyzna nie traci go jako syna, owszem, przez niego się rozszerza — nowa przezeń się cywilizuje znowu.

Chłop polski w zetknięciu się w robocie kolonizacyjnej z Niemcami, Włochami, Hiszpanami najgorzej wychodzi; już od samego początku wszystko uważa za wrogie dla siebie: klimat, ziemię, jej stworzenia i ludzi, bo skóra jego tak przyrosła do kraju, iż jej nie zdoła zrzucić z siebie — jest on tylko polskim chłopem.

Hiszpan, Włoch, Niemiec nigdy nie doznają zawodu; w ostatnim razie kupuje się szcztokę, pudełko szuwaksu i czyści się przechodniom buty na ulicy, a nie — to się bierze

Niemiec

Niemiec

Chłop, Polak

¹⁸⁰*inhams* — chodzi o inhames, rodzaj pnączy z jadalnymi, bulwiastymi kłączami. [przypis edytorski]

za 5 wintynów bananów i sprzedaż ich do wieczora drugie tyle zysku przyniesie; łódka nad morzem, wędka itd. ratuje każdego od ostatniej nędzy, tylko nie polskiego chłopa.

Wprawdzie wszystkie domy kolonistów, którzy tu niedawno przybyli, wyglądają smutnie, lecz w porównaniu z budą polskiego kolonisty najlichsza lepianka u nas jest jeszcze znakomitym mieszkaniem.

Wyobraźcie sobie słupki, a na wierzchu liście palmity, przymocowane do rzadkich łat za pomocą nitek *cipao*, która to roślina odgrywa tutaj rolę szpagatu, wici, powróseł: wszystko się wiąże za pomocą *cipao* (czytaj: „sipo”). Dom taki nie ma żadnych ścian, a kolonista mieszka zwykle z rodziną na samej górze pod dachem, mającym tylko dwie boczne ściany. Gospodyni, gdy ma gotować, roznieca ognisko na ziemi przed domem a pod gołym niebem.

— Byłam u siebie w kraju panią całą gębą, miałam cygan¹⁸¹ jak się patrzy, a teraz mi oto przyszło na poniewierkę — skarżyła się jedna z nich przede mną.

Trudno wymagać od chłopa, ażeby w Massarandubie oceniał piękności przyrody; on tego wcale nie spostrzega.

— Puszczaj, człowiek jak na wygnaniu!

Charakter też rolnictwa nie jest wcale w stylu naszego chłopa:

— Myśleliśwa, że będziawa orać, siać żyto, jęczmień, a tu nic, jeno majs i bone (kurydzę i fasolę).

Nie ma w Brazylii miasta ani miasteczka portowego, gdzieby się nie można było spotkać z emigrantami polskimi; wielka ich ilość ciągnie piechotą poprzez lasy ponad brzegiem morza: można sobie wyobrazić, co ci ludzie przechodzą. „Byle się posunąć dalej ku północy, byle być bliżej kraju”. Zimny mąż stanu powie na to: „próżniaki!”. My nie możemy podzielać tego przekonania.

Czy rząd brazylijski zaradzi temu złu, na które przez nieostrożność swych agentów, naraził siebie i naszych emigrantów, nie wiem. Mogę jednakże śmiało twierdzić, iż zło owo jest znaczne już teraz, a będzie się jeszcze coraz zwiększało. Byłoby to zaś bardzo smutne, gdyby Rzeczpospolita ujrzała się w konieczności użycia siły. *Utinam falsus vates sim!*¹⁸²...

Nagromadzenie wielkiej ilości żywiołów niespokojnych, bo emigrantów, niezadowolonych, bo zawiedzionych, nie może być korzystne dla państwa. Były już fakta przykre i groźne, jak wyjście 11000 ludzi z Argentyny i przybycie do Rio de Janeiro, jeśli się nie mylę, około 5000. Każdy się dopominał, odgrażał, przeklinał. A były jeszcze inne fakta, świadczące o niezadowoleniu z jednej strony, a niepodobieństwie zadosyćuczynienia¹⁸³ z drugiej.

Massaranduba, 1 stycznia 1891 r.

XIII

Urzednicy kolonizacji. — Z powrotem do Itajaby. — Wieść o losach parowca, na który oczekiwałem. — Miła perspektywa. — Niedziela. — Pourót do Desterro. — Pan delegat stanu św. Katarzyny. — Wiatr południowy — Wyjazd z Desterro. — Pięć rodzin emigrantów na okręcie. — Samoobserwacja w przykrych chwilach. — Burza mała. — Ostatni raz wracam do Itajaby w wigilię Bożego Narodzenia. — Dalsza podróż nazajutrz. — W małym porcie San Francisco. — Co powinien bym był zrobić w Paranagua? — Czym się odznaczał parowiec „Alexandria” (czytaj: „Aleszandria”)? — Entuzjazm mieszkańców Paranagua i owacje dla „Alexandrii”. — I tam byli emigranci. — Większa burza, zamęt na okręcie i noc przy wysepce Avrigo.

Na obcowaniu z przepyszną przyrodą, z biednymi emigrantami i bardzo grzecznymi urzędnikami szybko mi schodził czas w Massarandubie. Pan pomocnik pana szefa

¹⁸¹cygan (daw.) — piec żelazny z kuchenką do gotowania. [przypis edytorski]

¹⁸²*Utinam falsus vates sim!* (łac.) — Obym był fałszywym prorokiem! [przypis edytorski]

¹⁸³zadosyćuczynienie (daw.) — zadośćuczynienie. [przypis edytorski]

okazywał tyle uprzejmości, że mi wszędzie pragnął osobiście towarzyszyć, a nie — to pisał ze mną swego młodego pomocnika. Było to już po artykułach o mnie w gazetach, po proteście konsula, a zapewne i po jakichś także skinieniach telegraficznych z zarządu głównego.

Ja postawiłem sobie kwestię jasno: pomocnik szefa, jako dobry i sumienny urzędnik, musi mnie pilnować, jeśli ma przekonanie, że ja tu coś psuję; ale ja znowu, jako literat i obywatel, muszę równie sumiennie robić swoje.

Osobiście nie miałem i nie mam żadnego żalu do panów urzędników, owszem — poczuwam się do wdzięczności za ich dobroć i uprzejmość dla mej osoby tylko: *amicus Plato, amicus Socrates, sed magis amica veritas*¹⁸⁴.

W Massarandubie pamiętam dobrze, że do Itajahy przybywa parowiec dnia 21 grudnia, a więc trzeba było stawić się na termin, a jeśli nie, to czekać na inny okręt do dnia 2 stycznia.

Prawie przez dwa dni byłem w Massarandubie, zobaczyłem wszystko, co mi trzeba było widzieć i wróciłem do Blumenau. Zaraz kupiłem bilet na mały parowczyk „Progresso” i po rzece Itajahy Assu znowu się puściłem do miasta Itajahy. Już wtedy byłem znany wszystkim jako osoba nadzwyczajnie zagadkowa: rzucano na mnie owe ukradkowe, a tak wyraziste spojrzenia, co to zdradzają utajoną na dnie duszy myśl: „ej, bratku, ty jakiś ptaszek jesteś!”. Na okręcie czy w mieście ludzie zdradzali pewne wahanie, aby mi głową kiwnąć, rękę podać itd.

Płynąc, zatopiłem się cały w obserwowaniu brzegów rzeki; nic nawet nie notowałem teraz, ponieważ zauważyłem, że to zaciekawia ludzi i drażni.

Wieczorem przybywam do Itajahy, zapytuję znajomego gospodarza hotelu, co słychać o mającym przybyć parowcu, a gospodarz głową kiwa, ramionami wzrusza i odpowiada mi:

— Żle! Parowiec ten gdzieś zginął. Od trzech dni nie ma o nim żadnych wiadomości; to tylko wiemy, że wyruszył z portu Santos¹⁸⁵, a dotąd nie przybył do Paranaguy¹⁸⁶, więc widać... *caput geworden*¹⁸⁷!

— Moje szczęście! — zawołałem zgnębiony. — Nie dosyć tego, że komunikacje macie złe, jeszcze się okręty rozbijają.

— Poczekaj pan u nas do dnia 27 grudnia — rzecze gospodarz — wiem na pewno, iż tu przybędzie parowiec „Rio-Negro”, który idzie prosto do Rio de Janeiro i nie robi żadnych wstępów do pobrzeżnych portów. Po co pan masz jeździć do Desterro, tracić na próżno 15 milrejsów i znowu tędy zawracać?...

Gospodarz hotelu nie wiedział tego, że ja w Desterro musiałem się zobaczyć z panem delegatem i przedstawić mu nadużycia oberżysty K., a przy tym sądziłem, iż tam, jako w większym porcie, zaraz za przybyciem mogę trafić na jakiś parowiec podążający z południa na północ; w taki sposób pomógłbym emigrantom i zyskałbym na czasie.

Nazajutrz, dnia 21 grudnia, była niedziela i od samego rana skwar nadzwyczajny. Wszystkie sklepy pozamykane, oprócz *casa de barbeiro*¹⁸⁸. W powietrzu wysoko, chłodząc się, latały *urubu*, a przez ulicę przejechał niekiedy konno lub na dwukonnej biedzie w jednego konia kolonista pod parasolem.

Anim się spodziewał, gdy o trzeciej po południu rozległ się głos, jakby trąby, dający znać, że do Itajahy przybył parowiec: był to ten sam okręt, o którym mówiono, iż się rozbił.

Z powodu święta zaledwie się w agencji doprosiłem o bilet, a o godzinie siódmej wieczorem byłem już w drodze do Desterro.

Podczas nocy najlepiej jest w Brazylii spać na okręcie, bo komary nie dokuczają, a i skwar na morzu nie jest tak dolegliwy, jak na lądzie. Więc też rzuciłem się na łóżko i kołysany przez fale, przespałem całą drogę do Desterro, aż mnie o szóstej rano obu-

¹⁸⁴*amicus Plato, amicus Socrates, sed magis amica veritas* (łac.) — Platon przyjacielem, Sokrates przyjacielem, ale największą przyjaciółką prawda. [przypis edytorski]

¹⁸⁵*Santos* — miasto w stanie São Paulo w Brazylii. [przypis edytorski]

¹⁸⁶*Paranaguá* — miasto w stanie Parana w Brazylii. [przypis edytorski]

¹⁸⁷*caput geworden* (niem.) — zginął, przepadł. [przypis edytorski]

¹⁸⁸*casa de barbeiro* — golibroda. [przypis autorski]

dził steward, przynosząc mi do kabiny małeńką jak skorupka orzecha włoskiego filiżankę czarnej kawy. Właśnie wtedy wpływaliśmy do portu Desterro.

Czym prędzej wstałem, ogarnąłem się, skinąłem z pokładu na jakąś łódź i wnet byłem znowu w stolicy stanu św. Katarzyny. Zamieszkałem teraz w tym samym hotelu, w którym mieszkał także França; nie obudziłem go jednak, aż dopiero o godzinie dziewiątej. Był czegoś bardzo smutny, prawie nic nie mówił, przechodziła mi przez głowę myśl, że może i on pozostaje pod wpływem czerniących¹⁸⁹ mnie artykułów gazeciarskich, ale tej sprawy nie poruszał. Zjedliśmy wspólnie śniadanie, po czym ja udałem się do agencji żeglugi parowej, gdzie mi oznajmiono, że do Rio de Janeiro mogę jechać dopiero dnia 26 grudnia na parostatku Lloyda brazylijskiego lub też dnia 24 na tym samym parowcu, na którym przybyłem z Itajahy, a który wstąpi tylko do portu Laguna i nazad wraca. Załatwiwszy te sprawy, poszedłem do pana delegata i opowiedziałem mu szczerą prawdę, która się oczom moim przedstawiła w Itajahy, Blumenau i Massarandubie.

— Nie widziałem tam — są słowa moje — Brazylii, tylko Niemców pracujących energicznie, stwarzających swoją niemiecką cywilizację wśród dzikich borów; przy tym widziałem gromadę Polaków obdartych, sponiewieranych i bardzo niezadowolonych. Brazylia z tego nie będzie miała pożytku!

Pan delegat był, jak zawsze, grzeczny, uprzejmy, miał jednak w oczach coś takiego, co zdradzało jakby przymus; może nie był zadowolony z moich zeznań, a może, może...

W Desterro wiał dnia tego nadzwyczajnie silny wiatr południowy, zaledwie się można było na nogach utrzymać; wzburzone morze z taką siłą biło o brzegi, że deszcz formalny spadał na ulicach nadbrzeżnych. Przyjrząwszy się temu zjawisku, poszedłem do hotelu, aby kompletować notaty swoje.

Czy już wówczas pilnowała mnie policja rzeczypospolitej, tego nie wiem; ciągle byłem przecież czymś zajęty, a indywidualia, które mi się nastęrczały, nie zdołały zwrócić na siebie mojej uwagi.

Jakkolwiek zabrałem z Warszawy dostateczną ilość pieniędzy, należało mi się jednak dobrze liczyć, aby nie zostać na koszu. Postanowiłem być oszczędnym i podróż z Desterro do Rio de Janeiro odbyć jako pasażer ostatniej klasy.

I tak w wigilię Bożego Narodzenia, ugoszczony po przyjacielsku przez kapitana França i odprowadzony przez niego nad morze, wsiałem na łódź, aby się dostać do parowca stojącego w oddaleniu na kotwicy. Oj, teraz na okręcie nie było mi dobrze! Wśród towarzyszy podróży liczyłem pięć rodzin polskich emigrantów, dwóch Arabów jadących z Montevideo, Włocha, Murzyna i trzech Niemców.

Ziomkowie moi byli jacyś potulni, jeden z nich wyręczał posługacza okrętowego, podawał obiad, mył talerze, łyżki, szklanki, zamiatał izbę; baby miały oczy opuchłe od płaczu, a dzieci chorowały ta koklusz. Wychodźcy ci emigrowali z kolonii, opłacając podróż pieniędzmi, które po części zaoszczędzili w drodze do Brazylii, a po części — jak mówili — zarobili przy budowie drogi w Massarandubie. Jechali także do Rio de Janeiro.

— Cóż tam będziecie robili? — pytałem. — Może by dla was lepiej było trzymać się jakiego takiego kawałka ziemi?

— Nie, nie, niech Bóg bron! Byliśmy już i w stanie św. Katarzyny, i w Rio Grande do Sul... wszystko jedno: nędza i koniec! Użalaliśmy się w urzędzie, to na nas sprowadzili wojsko; można to było kijami potłuc, bo wojaki nikłe, takie jak kociny, jeno tak wszędy żrą na Polaków, to się ludziom nie chce już niczego... Rozeszliśmy się tyła, gdzie kto mógł... Ale cóż, na okręty brazylijskie nawet za pieniądze nie chcą brać Polaków, bo niby wiedzą, że się ucieka... Na dwóch okrętach miejsca nam odmówili, dopiero tu ledwieśmy się dostali.

— Musicie wiedzieć przecie, po co jedzicie do Rio de Janeiro.

— Sami nie wiewa¹⁹⁰! Bliżej stamtąd do Polski... Niektórzy, co nie mają za co wykupić szyfsbiletu, to po stu i więcej na piechty idą przez bory nad brzegiem morza.

— To oni i za trzy miesiące nie dojdą do Rio de Janeiro.

Rozmawiam tak, wtem spostrzegam, że z boku bardzo pilnie mnie obserwuje jeden z podrzędniejszych urzędników okrętowych. Nie przerwałem jednak rozmowy; po chwili

¹⁸⁹czerniący kogo — dziś: oczerniający kogo. [przypis edytorski]

¹⁹⁰wiewa (gw.) — wiemy. [przypis edytorski]

znów, gdym stał na pokładzie, oparłszy łokieć o burtę, a na łokciach głowę i kiedym się nagle odwrócił, spostrzegłem, że oficer okrętowy pokazywał mi palcem maszyniście, szepcząc mu coś do ucha. Szanowni czytelnicy, pamiętajcie, że trudno jest człowiekowi opowiadać o tym, jak go ktoś prześladował. Nie choruję na męczennika, owszem, byłbym gotów widzieć męczenników — dzieła mojej polityki. Jako „*Romanschriřteller*¹⁹¹” mogę tylko dziękować losom, że mi nie szczędziły przygód romantycznych. Na tym okręcie cała mniej więcej załoga — o ile to byli ludzie czytający gazety — zdawała się być podejrzliwa względem mojej osoby: jedni mnie unikali, drudzy traktowali pogardliwie i to w sposób lichy. Jest to dobre i pożyteczne dla jednostki, bo przy takiej wiwisekcji człowiek ma sposobność obserwować stan własnej duszy, może wypróbować siebie. Od czasu do czasu drwiłem z tego otoczenia, miałem ludzi za tłum godny współczucia raczej niż pogardy; ale przychodziły też na mnie i chwile tchórzostwa, czegom się później wstydił przed sobą samym, powtarzając sobie słowa moich przyjaciół: „jesteś miękkki, każdy cię może przepyskować”. Artykuły gazeciarskie były podówczas na okręcie.

Ani ludzie, ani przyroda nie sprzyjała mi w tej podróży. Około szóstej po południu zerwała się burza z błyskawicami i piorunami; w niecałą godzinę atoli przeleciała, zostawiając za sobą spienione i szalejące fale.

O godzinie 8 $\frac{3}{4}$ przybyliśmy do Itajahy; ponieważ zaś wiedziałem, że parowiec ma tu zabrać ładunek i przeto musi w porcie noc spędzić, więc wylądowałem, udając się do znanego mi już hotelu niemieckiego. Trafiłem właśnie na chwilę uroczystą: w dużej sali stała choinka, suto oświetlona i przystrojona, a gospodarz rozdawał dary dzieciom oraz służącym. Zaraz mnie wziął pod rękę, nazwał swoim „*landsmanem*¹⁹²” z Europy i w przystępie tkliwości oświadczył, że jakkolwiek w tak uroczystej chwili nikomu się w hotelu nic nie sprzedaje, ja jednak, Europejczyk, człowiek z innej półkuli, mogę zadysponować, co mi się podoba. Podziękowałem za względy, a gdy podszedł służący, rzekłem: „*Bitte ein Schlafzimmer und Thee, viel Thee!*¹⁹³”

Kiedym się znalazł samotny i przy dużym czajniku z herbatą, nie mogłem się oprzeć wspomnieniom życia, związanym z wigilią Bożego Narodzenia. Myślałem o domu, o przyjaciółach warszawskich, z którymi zwykle w tym dniu od wielu lat jadam śniadanie. Podniecony tym wszystkim, siadłem i pisałem do białego rana; może to było złudzenie, a może przypadek, iż w nocy ktoś ciągle podchodził pod moje okno.

Nazajutrz o godzinie 11 przed południem wypłynęliśmy z Itajahy. Na okręcie nic nie jadłem, oddawałem swe porcje dzieciom emigrantów; nawiasem mówiąc, strawa okropna. Chłopi nie spostrzegali tego, iż jestem pod jakąś szczególną obserwacją, więc pogarszali moją sytuację, włócząc się za mną wszędzie i czyniąc mi zwierzenia, często zupełnie niepotrzebnie cichym głosem. Gdybym im zaś powiedział, o co chodzi, nie umieliby się zachować odpowiednio; zatem dźwigałem na sobie dwa brzemiona: coraz jawniej okazywaną mi pogardę i podejrzliwość Brazylian oraz zaufanie emigrantów. Tych ostatnich, choć to płatni pasażerowie, traktowano o wiele gorzej niż innych, którzy za takie same pieniądze podróżowali. Taki był stan rzeczy, gdyśmy w pierwsze święto Bożego Narodzenia, już po godzinie ósmej wieczorem, przybyli do portu San Francisco. I tu także wyszedłem na ląd; deszcz lał jak z cebra, a ja poszukiwałem hotelu niemieckiego. Biegając dosyć szybko, spotkałem gromadę ludzi, którzy rozmawiali głośno i po polsku. Zatrzymałem się mimo deszczu i spytałem:

— Skąd wy jesteście?

— Z Polski — odpowiedzieli.

— Z których stron?

— Najwięcej nas ta ode Mławy, ale tu są i inni.

— Cóż tu robicie?

— Dzisiajęśwa świętowali, czego zwyczaj, a pojutrze mają nas transportować do Zionwil (Joinville)¹⁹⁴, bo tam pono na koloniach ludzie sięją żyto i sadzą kartofle.

— A byliście już gdzie przedtem?

¹⁹¹*Romanschriřteller* (niem.) — powieściopisarz. [przypis edytorski]

¹⁹²*Landsmann* (niem.) — ziomek, współtowarzysz. [przypis edytorski]

¹⁹³*Bitte ein Schlafzimmer und Thee, viel Thee!* (niem.) — Poproszę pokój i herbatę, dużo herbaty! [przypis edytorski]

¹⁹⁴*Zionwil*, właśc. *Joinville* — miasto w południowej Brazylii, stolica stanu Santa Catarina. [przypis edytorski]

— Byliśwa, zabyłem sobie, jak się to miejsce nazywa... Maryna, nie pamiętasz ty?

— Nie wiesz? Toć w porcie Alagrze (Porto Allegre¹⁹⁵) — odrzekła baba, która niosła na plecach zawiniątko, przy piersiach dziecko, szła boso i spódnicę miała z obu boków spiętą u bioder jak firanki.

Zaprosilem tę gromadę na *cachas*¹⁹⁶ (czytaj: „kaszas”, wódkę) do szynku i w ten sposób obszedłem święto Bożego Narodzenia. Oni się pocieszyli i ja także.

Przenocowawszy w San Francisco, rano znowu wróciłem na okręt, który zabrał nieco ładunku, nieco pasażerów i ruszył w kierunku Paranaguy, gdzie ja, gdybym się znajdował był w innych warunkach, powinien bym wysiąść, pojechać do miasta Curitiby¹⁹⁷, stolicy stanu Parany i zobaczyć dawne kolonie polskie. Ale to zajęłoby znowu miesiąc czasu, pociągnęłoby duże wydatki; więc pierwotnego swego planu musiałem zaniechać. Na okręcie nic się nie zmieniło na lepsze; owszem, moja stąd rejterada¹⁹⁸ co noc, niepraktykowana przez innych pasażerów, moje odstrychnięcie się od wszystkich, oprócz chłopów polskich, zdawały się podżegać niechęć ku mnie republikańskich marynarzy. W drugie święto Bożego Narodzenia, jakoś około piątej po południu przybyliśmy do małego portu Paranaagua. Nasz parowiec odznaczał się od innych tym, iż przybywając do jakiegoś portu lub odpływając z niego, dawał szczególne hasło: wypuszczana para wygrywała bowiem tony muzyczne — do, re, mi, fa, sol., co jak sobie każdy może wyobrazić, robiło wrażenie potężnego ryku osła. Ale dumny był z tego kapitan „Alexandrii” i cała załoga, ponieważ ów głos okrętu sprowadzał na wybrzeża wszystkich mieszkańców małych portowych miasteczek, a w Paranaguy zapal ludności doszedł do tego stopnia, że okrętowi ludność miejscowa wyprawiała nadzwyczajną owację. Witano nas licznymi fajerwerkami i muzyką, a okręt ciągle odpowiadał na to rykiem, który z kolei rzeczy wpływał na spotęgowanie entuzjazmu mieszkańców Paranaguy. Nie przesadzam wcale — wypuszczono parę tysięcy fajerwerków i cała ta owacja przeciągnęła się do godziny dziesiątej w nocy. Deskami połączono okręt z wybrzeżem i po tych deskach wpadała na pokład rozentuzjazmowana ludność, aby obejrzeć nadzwyczajny parowiec, przypatrzeć się jego kapitanowi. Przybyła tu i muzyka, zagrała hucznie, a gdy skończyła swoje, wystąpił jakiś mąż publiczny z Paranaguy, zrzucił płaszcz hiszpański, który nosił na jednym ramieniu, przeciągnął palcami jak zgrzeblem po sutej czuprynie i wypalił długą mowę, pełną gestów, patosu w głosie. Nie podchodziłem ja tam blisko, aby w chwili zapału nie stać się przedmiotem publicznej uwagi; chciałem jednak widzieć i słyszeć wszystko. O uszy moje obily się wyrazy mówcy takie jak: „*Paranaagua, patriotismo, capitano, brasileiro, Alexandria, sympatica*”¹⁹⁹. Kapitan okrętu, mruk i zły, jakby sobie zniecierzył całą ludzkość, rozrzewnił się teraz i pozwolił wszystkim wchodzić na statek. Murzyni, Murzynki, ich dzieci, tłumy jakichś łobuzów — wszystko to włączyło się do późnej nocy po różnych dziurach na okręcie. Nie wytrzymałem do końca manifestacji i drapnąłem do miasteczka, aby tam co zjeść i przenocować. Paranaagua liczy niecałe 5000 mieszkańców, ma zaś aż cztery kościoły. Z portu tego miasteczka idą w świat wielkie ładunki *matte*²⁰⁰.

Nazajutrz, 27 grudnia, dosyć późno, bo około południa, opuściliśmy Paranaagę, gdzie także spotkałem rodziny polskich emigrantów, czekających na okręt, który by ich zawiózł do Blumenau, ponieważ „od kogoś słyszeli, że tam dla Polaków jest dobrze”.

Około godziny trzeciej zerwała się znowu burza²⁰¹ i to już z nadzwyczajną siłą; fale rzucały okrętem jak piłką. Rozległ się straszny wrzask kobiet i dzieci, które się nie mogły utrzymać nawet w łózkach. Och, jak się ludzie boją śmierci. Zaprowadziłem rygor i zabrałem płakać, ostro strofując matki i ojców. Na okręcie wszystko pływało w wodzie,

¹⁹⁵ *Porto Allegre* — stolica stanu Rio Grande do Sul w Brazylii. [przypis edytorski]

¹⁹⁶ *cachas*, właśc. *cachaça* — popularny rodzaj alkoholu w Brazylii. [przypis edytorski]

¹⁹⁷ *Curitiba* a. *Kurytyba* — miasto w Brazylii w stanie Parana, główny ośrodek Polonii brazylijskiej, nazywane również „Chicago Ameryki Południowej”. [przypis edytorski]

¹⁹⁸ *rejterada* — ucieczka. [przypis edytorski]

¹⁹⁹ *Paranaagua, patriotismo, capitano, brasileiro, Alexandria, sympatica* (port.) — Paranaagua, patriotyzm, kapitan, brazylijski, Aleksandria, sympatyczna. [przypis edytorski]

²⁰⁰ *matte* (port.) — susz ze zmielonych liści i gałązek ostrokrzewu paragwajskiego, z którego przyrządza się napar popularny w krajach Ameryki Płd. (Argentynie, Paragwaju, Urugwaju, Brazylii) oraz w niektórych krajach Bliskiego Wschodu (Syria, Liban); inaczej także: *yerba mate, herba mate, mate, chimarrão, erva mate, caá mati* a. *caá mate*. [przypis edytorski]

²⁰¹ *zerwała się znowu burza* (...) — może nie powinienem zbyt szastać wyrazem *burza*, przez który marynarze oznaczają zwykle niebezpieczne dla okrętu spotkanie się dwóch wiatrów w jakiejś cieśninie. [przypis autorski]

przy czym zdarzały się różne komiczne sytuacje. Podczas tego, gdy graty i pakunki skakały po izbie lub się szybko przesuwały od ściany do ściany, a ludzie trzymali się poręczy, haków, aby nie upaść, naraz skądś spod łóżka wysunęła się drewniana klatka z dwiema małpami i uderzyła o próg drzwi tak silnie, że kilka szczebli pękło. Małpy wydostały się na wolność, skakały po łóżkach, oknach, głowach ludzi! Ktoś odsunął szybę okna i małpy jedna za drugą, poszły hulać po linach, po maszcie. Niemiec, do którego zwierzęta należały, cierpiał właśnie morską chorobę.

Na pokładzie znowu znajdowało się coś około 30 beczek z jajami, linami poprzywiązywanymi do haków w ścianach. Ale to nic nie pomogło: beczki powypadały, a potem już do samego Rio de Janeiro ciekła z nich jajecznicca. Najwięcej ucierpiał koń, którego w klatce posyłał aptekarz z Paranaguy przyjacielowi swemu do Santos. Biedne zwierzę, przerażone hukiem i powodzią fal, o mało sobie nóg nie połamało, a uległo pokaleczeniu. Był to porządny taniec; dodać należy, iż przebywaliśmy okolice morza bardzo niebezpieczne, pełne skał podwodnych; ocean tedy wystąpił w zupełnym rynsztunku. O ile mogłem, trzymałem się już szrub²⁰² przytwierdzających okno, już różnych poręczy, aby tylko widzieć to morze sine, zapienione, rzucające się wściekle! W oddaleniu widniała naga skała obwinięta w fale oceanu, uwieńczona jego pianą, stała niewzruszona — to Pic de Paranagua! Widać niebezpieczeństwo groziło, skoro około godziny ósmej wieczorem okręt musiał się schronić poza małą wysepkę Avrigo, na której znajduje się latarnia morska, i tam noc przepędziliśmy.

XIV

Chłopi uczą Arabów po polsku. — Przybycie do Iguapé. — Obiad w hotelu. — Jasełka. — Świąty w Iguapé. — Uczony golibroda. — Tutaj przynajmniej nie było polskich emigrantów. — Podróż do portu Santos. — Port i miasto Santos — Co tu robią emigranci polscy? — Powrót do Rio de Janeiro. — Propozycja dr. Clearly. — Artykuł o mnie w „Journal de Commercio”. — Jadę do Europy na parowcu Montevideo. — Pan Luiz Guimaraes.

Dwudziestego ósmego grudnia rano morze było dobre; płynęliśmy wzdłuż wybrzeży, dających się z okrętu dosyć dokładnie obserwować: piękne to, malownicze, lecz czysta puszca, bory i bory okiem nieprzejrzone.

Pomiędzy pasażerami panował teraz duch dobry: Polacy przysiedli się do Arabów i uczyli ich po polsku — można było boki zerwać od śmiechu, a jednak ta nauka miała dobrą metodę: chłop pokazywał rzecz palcem i wymawiał jej nazwisko, Arab powtarzał.

— Ooo, to się nazywa brzuch.

Arabi wykrzykiwali: „rzu!”

Zaraz po południu dojechaliśmy do Iguapé²⁰³, miejsciny wyglądającej z daleka, pod ciężkimi dachami z palonej gliny, niby żółw ze skorupy. I tutaj parowiec brał ładunek ryżu, więc znowu przystanek. Przez jakiś czas przypatrywałem się stojącemu na kotwicy wielkiemu okrętowi żaglowemu, który się tu widać kiedyś schronił, burzą skołatany: biedny weteran pełno miał szram na sobie! Z połamanymi masztami, pozbawiony żagli, jakiś zardzewiały, szerniały, zdawał się dumać o życiu, wśród burz przebyłym; kiwał się, jakby drzemał, usypiany wspomnieniami.

Udałem się na ląd, bo mi na „Alexandrii” ciągle było nieprzyjemnie, niedobrze...

Każda uliczka w Iguapé zaczyna się nad morzem, a koniec jej jest w lesie; zresztą okolica bardzo malownicza. Używszy tu przechadzki, poszedłem do tak zwanego hotelu, aby zjeść obiad. Była to plugawa dziura, gdzie przy stole nakrytym brudnym obrusem siedzieli dwaj policjanci, Murzyn i Niemiec, kolonista z San-Bento; nawiasem mówiąc, ten Murzyn dostarczał z Włoch emigrantów do Brazylii. Gospodarz tego zakładu, głuchy, brudny Brazylianie, w koszuli i w pantalonach tylko, obsługiwał sam gościom. *Comida*²⁰⁴, to jest pożywienie, które mi podano, było takie: zupa z czarnej fasoli, którą sobie zaprawiłem na gęsto mąką manioki, i kilka kawałków gotowanego mięsa, bardzo suto ubranego cebulą, a do tego ryż.

²⁰²*szruba* (z niem.) — dziś: śruba. [przypis edytorski]

²⁰³*Iguapé* — miasto w Brazylii, w stanie São Paulo. [przypis edytorski]

²⁰⁴*comida* (port.) — jedzenie. [przypis edytorski]

Po obiedzie ja, Niemiec i Murzyn wyszliśmy na miasto; ponieważ kościół był otwarty i puszczano przed nim fajerwerki (zwyczaj w Brazylii podczas mszy, niesporów itd.), więc poszliśmy wszyscy do świątyni owej. W kościele było bardzo mało ludzi. Zbliżyłem się do bocznego ołtarza i oglądałem jasełka, które tu widać jeszcze pozostały po Bożym Narodzeniu: Dzieciątko Jezus z porcelany na posłaniu z gąbek malowanych zielono; Matka Boska barwnie strojna i św. Józef; poniżej — także z porcelany Napoleon I w długich butach, z założonymi na piersiach rękoma dumał, oparty o skałę; nie wiem, dlaczego z drugiej strony umieszczono tu figurkę jakiegoś brazylijskiego eleganta w kapeluszu cylindrowym, z laską w rękę i stojących kołnierzykach. Miał to być podobno prezydent Zjednoczonych Stanów Brazylii, ale brakowało w jasełkach trzeciego jeszcze króla.

Kiedym to oglądał, przystąpił do mnie młody i przystojny kleryk, zapytując po portugalsku, kto taki jestem. Mieszając francuszczyznę z portugalszczyzną, opowiedziałem na poczekaniu część historii swego pobytu w Brazylii i zjednałem sobie od razu młodego duchownego.

— Pójdź pan — rzekł do mnie — a pokażę ci patrona miasta Iguapé; Polaków bardzo cenimy, gdyż odznaczają się pobożnością i przywiązaniem do religii. Powiem panu więcej: są to katolicy lepsi niż sami Brazylijanie.

Nie chciałem sam korzystać z owej uprzejmości i poprosiłem kleryka, aby pozwolił również dwom moim towarzyszom obejrzeć świętość. Po wygodnych schodach weszliśmy na wysokość drugiego piętra, od tyłu wielkiego ołtarza. Kleryk odemknął drzwi, później odsłonił kotarę i oczom naszym przedstawił się posąg naturalnej wielkości człowieka, widziany z tyłu; święty miał na sobie bardzo bogaty, złotem przesywany płaszcz i długie, czarne włosy, zupełnie jak ludzkie, spadały mu na plecy.

— Jest u nas, w Iguapé, zwyczaj — mówił duchowny młodzieniec — że człowiek pragnący szczęśliwie odbyć podróż na morzu lub lądzie, całuje z wiarą skraj szaty świętego i takiemu zwykle dobrze się powodzi.

Ująłem za brzeg sztywnej materii i do ust przyłożyłem ją bez wahania, co też za mną ze skwapliwością zrobił i Murzyn; ale Niemiec na chwilę się zastanowił, jednak wreszcie i on szatę pocałował. Wahanie to spostrzegł widać kleryk, gdyż potem długo mówił o takich, co wierzą, i o innych, którzy nie wierzą.

— A teraz — mówił do mnie — wejdź pan do góry po tych schodkach na prawo, zobaczysz oblicze świętego, uprzedzam atoli, że były już w Iguapé zdarzenia, iż człowiek, niegodny oglądać tego oblicza spadał z rusztowania na kościół.

Jakkolwiek doświadczam wielkich zawrotów głowy, spoglądając na dół z dużej wysokości, zebrałem jednak wolę, aby młodzieńcowi pokazać, że nie należę do niegodnych. Zaćmiło mi się w oczach, kiedym stanął na wąskiej kładce, nie śmiejąc spojrzeć na dół z owej wyniosłości.

Kiedym powrócił, poszedł w moje ślady Murzyn, ów handlarz emigrantów; ale ten miał twarz czarną, na której żadne wzruszenia odmalować się nie mogą. Spojrzę, a tu mój Niemiec bledziuchny i ręce mu się trzęsą; zapowiedź kleryka, iż niewierni stąd karki łamią, wziął biedak do serca. Nakręciłem zaraz rozmowę i zachowanie się całe tak, aby Niemca uwolnić od wchodzenia na owe schodki. Młody duchowny jednak wybadał mego towarzysza, a dowiedziawszy się, że to Niemiec i protestant, wypalił mu ostre kazanie.

— Niemcy protestanci — mówił — szydą z naszej religii, są ludźmi podłymi i jako tacy nie powinni wchodzić do katolickich świątyni.

Tak ostrej pigułki nie mogłem już niczym osłodzić Niemcowi, który umiał po portugalsku i jeszcze lepiej ode mnie rozumiał kazanie. Niebawem też gdzieś się ulotnił. Ja miałem do końca łaski u kleryka.

— Zaprowadzę pana teraz — rzekł — do jednego Włocha, który mówi dobrze po francusku i jest bardzo wykształcony. O, od niego dużo się pan możesz dowiedzieć.

I nie czekając na moje zezwolenie, wziął mnie natychmiast pod rękę, prowadził od kościoła przez rynek. Taki żywy, z gorącym temperamentem, bez czapki biegł, gestykując nieustannie. Murzyna zgubiliśmy gdzieś pod kościołem.

Na rogu rynku i jakiejś wąskiej uliczki kleryk przystanął, wsadził głowę w otwarte okno i zaczął na cały głos wywoływać imię gospodarza. Ja tymczasem sprawdziłem, iż nad drzwiami tego domku był szyld z napisem: *Casa de barbeiro e cabeleiro*, to jest: mieszkanie

takiego, co goli i strzyże. „No, Ameryka — pomyślałem — tutaj ludzie wykształceni mogą być golibrodami”.

Wtem ukazał się mężczyzna barczysty, z krótką szyją i szeroką, miłą twarzą. Przez okno odbyło się przedstawienie, po czym kleryk nas pożegnał, mówiąc, iż obecność jego jest konieczna w kościele. Przybyła i żona Włocha, poprosiła mnie do izby. Usiadłem, lecz, sam nie wiedząc, o czym tu mówić, zacząłem słać Włochy z powodu Rafaela, Dantego, Petrarki, Galileusza itd.

Pokazało się, że dla bardzo wykształconego cyrulika była to najzupełniej *terra incognita*²⁰⁵. Zmieniłem szybko ów temat rozmowy na inny, popularniejszy. Wyjechałem więc z nazwiskami: Garibaldi, Cavoura, Wiktora Emanuela²⁰⁶; anim się spodziewałem, że to wprawi Włocha w gniew. Zaczął zaraz wymyślać na jedność Włoch, na obecną zależność papieża. Ponieważ nie przyjechałem do Brazylii na dysputy tego rodzaju, a gdym je prowadził, to jedynie robiąc komuś towarzyskie ustępstwo, przeto pożegnałem prędko Włocha i powróciłem na okręt.

Dobrze zrobił, bo już zdejmowano kotwicę i kto wie, czy nie miano zamiaru zostawić mnie w Iguapé.

— A co, nie widzieliście tutaj polskich emigrantów? — zapytałem chłopów już na pokładzie.

— W tej jednej dziurze, proszę pana, nie błakali się, ale podobno są tu gdzieś niedaleko na koloniach.

Rzeczywiście, Iguapé jest to straszna dziura! Ocean splawny zacieka tu i kończy się na Iguapé oraz na Cananei, a kto chce jechać dalej na północ ku Rio de Janeiro, musi nazad wracać do Paranaguy. Nieznośna podróż! Dnia dwudziestego dziewiątego grudnia byłem mocno cierpiący, kiedy w Cananei obarczono nasz okręt ładunkiem ryżu, kawy i kukurydzy.

Nie mogłem teraz iść na ląd, gdyż mnie siły tak opuściły, że niepodobna było ustać na nogach; musiałem leżeć w łóżku, a tylko jeden z chłopów o mnie pamiętał, podając czasem szklankę wody lub czarną kawę. Jak przez mgłę stawały mi przed oczyma to lasy, góry, skały i wyspy Brazylii, to znowu tłumy wynędzniałych emigrantów, biwakujących po borach lub nad brzegami morza. Czulem omdlenie w nogach, zawrót w głowie.

Przeszło czternaście godzin płynął okręt z Cananei do Santos, gdzieśmy stanęli rano 30 grudnia. Zwlokłem się z łóżka, dałem dzieciom emigrantów trochę drobnej monety, aby sobie kupiły pomarańcz, bananów, a sam, chwając się na nogach, poszedłem obejrzeć jedno z najgłówniejszych portowych miast Brazylii.

W porcie stały okręty angielskie, francuskie, holenderskie, niemieckie; na brzegu kolej żelazna, tramwaje i liczne wozy, zaprzęgnięte w muły, zabierały wory z towarami.

W Santos znajduje się bardzo dużo emigrantów polskich, takich mianowicie, co już byli we wszystkich dziurach i ostatecznie zwątpili w możliwość pracy na kolonii; niby to poszukują oni roboty, a tymczasem żebrzą. Na targowisku, gdzie się sprzedają ananasy, fasola, banany, włoszczyzna i ptaki, spotkałem kobietę obszarpaną, która prowadziła za rękę dziecko trzyletnie może, drugie starsze, prawie nagie, biegło z tyłu, a wszystko to wyciągało ręce do przechodniów. W krótkiej rozmowie opowiedziała mi, że do Santos „ma przybyć okręt jeden, który zabierze Polaków i wywiezie z Brazylii; *ale ta jeszcze nie przyszedł*”.

I ona, i dzieci chciwymi oczyma spoglądały na ręce, które im miały rzucić jałmużnę. Później, we dwa tygodnie jakoś, gdym powracał już do Europy, niemieccy oficerowie parowca „Montevideo” opowiadali mi, iż żebracy ci czatują w porcie na kapitanów i urzędników okrętowych, których błagają o zabranie na statek do Europy.

Poszedłem w jakąś ulicę — wszędzie pełno konsulatów, agencji żeglugi, biur telegraficznych, domów bankierskich. Wypiłem duży kieliszek koniaku, filiżankę wybornej kawy, którą Santos głównie prowadzi handel, wypocząłem trochę w niewielkim ogrodzie publicznym i powróciłem na okręt, gdzie się znowu musiałem położyć do łóżka. Opadła mnie taka śpiączka, że przespałem kilkanaście godzin.

²⁰⁵*terra incognita* (łac.) — ziemia nieznaną. [przypis edytorski]

²⁰⁶*Garibaldi, Cavour, Wiktor Emanuel* — znani ówczasie politycy włoscy. [przypis edytorski]

Cały dzień i całą noc płynęliśmy do Rio de Janeiro z Santos. Kiedyśmy wjechali nad ranem do portu, obudził mnie ów oryginalny sygnał „Alexandrii”; porwałem się czym prędzej, chcąc zobaczyć, która też godzina; ale daremnie poszukiwałem kamizelki, a w niej zegarka. Narobiłem zaraz w izbie gwałtu, wezwałem gospodarza okrętu, kelnerów i zażądałem, aby o fakcie kradzieży natychmiast zawiadomiono kapitana okrętu. Wszyscy poszukiwali mojej kamizelki i nareszcie znaleziono ją, a także krawat, na pokładzie za beczką z jajami.

Gdy później zrobił przegląd rzeczy, pokazało się, że nadto brakuje mi noża i woreczka z drobnymi pieniędzmi. Na śledztwo przyszedł pierwszy oficer, który mnie wysłuchał tak, jak gdybym był oskarżonym raczej o jakiś występki, a nie oskarżającym. Powiedziałem mu, że ponieważ odzyskałem złoty zegarek dosyć kosztowny, przeto mniej stoję o resztę. Uśmiechnął się złośliwie i odszedł.

Miałem wprawdzie ofiarowaną sobie gościnność u pana Pinto da Rocha w Rio de Janeiro, lecz, gdy mi powiedziano, że jestem sponiewierany w gazetach i trapiiony przez policję, nie chciałem nikogo narażać na jakieś nieprzyjemności i znowu zamieszkałem w hotelu *du Commerce*.

Jeszcze tego samego dnia (1 stycznia) otrzymałem bilet doktora Clearly, który się zgłaszał do mnie z zapytaniem od północnoamerykańskiego dziennika „New Herald”²⁰⁷, czy bym mu nie służył korespondencjami. Rozgłos mi więc zrobiły dzienniki brazylijskie. Naturalnie, propozycji nie przyjąłem, ponieważ miałem zobowiązanie tylko dla „Kuriera warszawskiego” zużytkować swoje obserwacje i zebrany materiał.

Nazajutrz, 2 stycznia 1891 r., największy dziennik w Rio de Janeiro, „Journal de Comercio”²⁰⁸, czerpiąc wzmiankę z „Gazety Kolońskiej”²⁰⁹, mówi o mnie, a raczej o mojej drugiej z rzędu korespondencji do „Kuriera Warszawskiego”: *Contrastão as declarações do sr. Dygasiński com linguagem acostumada da imprensa polaca*²¹⁰. A potem: „Z wielką ciekawością oczekujemy od tegoż autora korespondencji o emigrantach w Brazylii... To, co napisał o przyjęciu emigrantów polskich w Bremie, świadczy, iż się ten korespondent nie da sprowadzić z drogi prawdy”.

Mówiono mi, bom nie czytał, że najgwałtowniejszy przeciw mnie i „Kurierowi Warszawskiemu” artykuł, na jakie 12 dni przedtem, pomieścił właśnie ten sam dziennik.

Nie myślę tu przedstawiać czytelnikom wielu różnych szczegółów doznanych przykrości; notuję fakta zupełnie pewne, mające całą rękomię prawdy, pomijając to, co mi się mogło zdawać lub co można by inaczej tłumaczyć; pomijając nawet i to, com słyszał o traktowaniu naszych emigrantów w Brazylii, a co mi się wydało nieprawdopodobne.

W niedzielę byłem zaproszony na śniadanie do pana Franklina Alvaresa Juniora, któreśmy zjedli w jego pięknej willi za miastem, a w poniedziałek o 8 rano popłynąłem do stojącego w porcie parowca „Montevideo”, należącego do hambursko-południowoamerykańskiego Towarzystwa Żeglugi Parowej; ten okręt właśnie najwcześniej do Europy odchodził, inne odpływały 10 i 12 stycznia.

Gdy się już znalazł tutaj, spostrzegłem wśród foteli wystawionych przed kajutą I klasy na jednym napis: „*Luiz Guimarães ministro do Brazil — Lisboa*”²¹¹. — „No będę miał Brazylię jeszcze do Lizbony!” — pomyślałem.

Po dwóch dniach żeglugi, wjechaliśmy do portu Bahii, gdzieśmy nocowali. Gazety tego miasta rozpięły się o panu Guimarães jako o poecie i autorze licznych pereł w literaturze portugalskiej. Zachęciło mnie to do zabrania znajomości i okazało się, że Guimarães przekładał z francuszczyzny na język portugalski parę utworów Mickiewicza, którego bardzo wysoko ceni jako poetę. Nie obwijając nic w bawełnę, opowiedziałem mu ze wszelkimi szczegółami, jak się do Brazylii Polaków sprowadza i jak się ich tutaj traktuje. Był bardzo zadziwiony, a na większą część moich uwag zgadzał się zupełnie.

²⁰⁷ „New Herald” — gazeta wydawana w różnych stanach USA od końca XIX w. [przypis edytorski]

²⁰⁸ „Journal de Comercio” — portugalska gazeta wydawana w Rio de Janeiro od 1827 r. [przypis edytorski]

²⁰⁹ „Gazeta Kolońska”, właśc. „Kölner Stadt-Anzeiger” — gazeta wydawana w Kolonii od 1876 r. [przypis edytorski]

²¹⁰ *Contrastão as declarações do sr. Dygasiński com linguagem acostumada da imprensa polaca*... (port.) — Zeznania pana Dygasińskiego są w sprzeczności ze zwykłym językiem prasy polskiej. [przypis autorski]

²¹¹ *Luiz Guimarães ministro do Brazil, Lisboa* (port.) — Luiz Guimarães minister Brazylii, Lizbona. [przypis edytorski]

Brazylię opisują Europejczycy. — Bogactwo przyrody. — *Beja-flor*. — *Zimorodki*. — *Piguar*. — *Aguapé*. — *Frechas*. — *Jasminmanga i ixora* (czytaj: „iszora”). — *Banan*. — *Pomarańcza*. — *Kawa*. — *Peri*. — *Ananas leśny i piri*. — *Motyle*. — *Maracuja i inga*. — *Palmity*. — *Sabia i ticu-ticu*. — *Capu*. — *Świetliki*. — *Bagu-assu, imba-upa, sosna brazylijska, takuare i drzewa budulcowe*. — *Rośliny pasożytne*. — *Pospolitsze ptaki*. — *Jakas, saputiny, drzewo tykwowe i kamforowe*. — *Japuticaba*. — *Zwierzęta pana de Paula Ramoz*. — *Indianie*. — *Nieprzyjaciele kolonisty*. — *Jaguar i węże*. — *Żółta febra i beri-beri*.

Brazylianie nie mają ani opisów swego kraju, ani dobrych kart geograficznych; robią to za nich w Europie cudzoziemcy. Ale, przyznać trzeba, mają oni ojczyznę piękną w całym znaczeniu tego słowa. Jakże tu bogata jest przyroda! Od barw i kształtów roślinności cudzoziemiec oka oderwać nie może, a ucho jego napawa się nieustannie śpiewem ptaków i tą długą, nigdy nieustającą muzyką piewików²¹², którą w dzień i w nocy zdaje się ze siebie wydawać uroczą ziemia Brazylii. Malownicze góry, rozkoszne doliny, bory dziewicze, rojące się życiem — wspaniałe rzeki i strumienie, ocean, jego wyspy, piękne porty i słońce, co choć pali, tworzy arcydzieła!

Przyroda zgromadziła wszystkie najbogatsze barwy, aby w nie ubrać kwiaty, motyle i ptaki Brazylii. Nie potrzebujesz długo szukać, bo w małym ogródku przed pierwszą lepszą chatą, a nawet: na podwórku, łatwo spotkać jakiego *beja-flor*²¹³ (kolibra), który się cały mieni od barw, a gdy płyniesz po rzece, spotykasz olbrzymie *zimorodki*²¹⁴ wielkości naszych gołębi lub stada wysmukłych, pięknych, białych czapli; czarny *piguar* nieco podobny do naszej kaczki, przygląda ci się zdziwiony i daje nurka — już go nie zobaczysz. Na wodzie przy brzegu w wielkich kępach rośnie *aguapé*²¹⁵ z okrągłymi liśćmi i dużymi gronami fioletowych kwiatów, a na brzegu, jeśli nie ma gąszczy drzew i krzewów, to porasta *prechas*, rodzaj trzciny wyrastającej wyżej aniżeli u nas tak zwany koński ząb; tu i ówdzie piękna płacząca wierzba o długich, drobniotkich, jasnozielonych listkach.

Czasem, opodal od brzegu, widzisz jakąś kolonię, to cały ten domek jest w kwiatach: możesz tam znaleźć *jasmin-manga*²¹⁶ z upajającą wonią, szkarłatną *ixorę*²¹⁷, którą tak obasyłały kwiaty, że spodnich liści prawie nie widać; zwykle zaś między nimi, jakby olbrzymi snop, rośnie *banan* z porozszczepianymi, podartymi liśćmi, z kwiatem ciemnym, zwieszonym na dół w kształcie serca lub z gronem owoców mogącym dobrze nakarmić pięciu ludzi. Nie brakuje też tam zwykle *drzew pomarańczowych* i świecą się z daleka w słońcu liście *kawy* lub widać jej kwiat, jakby ziarna białego grochu nawiązane na gałązki.

Jeśli się znajdujesz blisko ujścia rzeki do morza, to po brzegach pełno *peri*, to jest sitowia, z którego się wyrabiają bardzo dobre maty. Zresztą trawa w pas, zaledwie wśród niej możesz dojrzeć rogatę głowy pasącego się tu bez żadnych pasterzy bydła.

Możesz przeklinać złą drogę, straszne wertepy, jeśli odbywasz podróż na lądzie pieszo, konno lub wozem; ale nie powiesz nigdy, że to była miejscowość monotonna, nużąca oko i umysł. Po drodze pełno wszędzie czerwonych *ananasów* leśnych, pełno pięknych, wonnych białych kwiatów *piri*, przypominających nasze lilie. Przelatują wielkie, piękne motyle — jaki *Menelaus*²¹⁸, *Automedon*²¹⁹ lub błękitny *Leonte*²²⁰. Na krzewy i na drzewa wspina się pasożytna roślina *maracuja*, której owoc z powierzchowności podobny do

Natura, Piękno

²¹²piewik — rodzaj owada z podrzędu pluskwiaków mający zdolność wydawania i odbierania dźwięków oraz wykonywania skoków; cykada. [przypis edytorski]

²¹³beja-flor — właśc. beja-flor, koliber, rodzaj ptaka z rodziny kolibrowatych. [przypis edytorski]

²¹⁴zimorodki — rodzaj ptaków z rodziny zimorodkowatych. W czasie pobytu Dygasińskiego w Brazylii, pod koniec XIX w. ptaki te nadal uchodziły za egzotyczne w Polsce, stąd zachowano oryginalne wyróżnienie tego słowa w tekście. [przypis edytorski]

²¹⁵aguapé — eichornia, hiacynt wodny, rodzaj roślin wodnych z rodziny rozplawowatych. [przypis edytorski]

²¹⁶jasmin-manga — inaczej: plumeria, kwiat Lei, rodzaj roślin z rodziny toinowatych. [przypis edytorski]

²¹⁷ixora a. iksora — gatunek rośliny z rodziny marzanowatych. [przypis edytorski]

²¹⁸menelaus, właśc. *Morpho menelaus* — gatunek motyla z rodziny rusalkowatych. [przypis edytorski]

²¹⁹automedon, właśc. *Eryphanis automedon* — gatunek motyla z rodziny rusalkowatych. [przypis edytorski]

²²⁰leonte, właśc. *Morpho Leonte* — gatunek motyla z rodziny rusalkowatych. [przypis edytorski]

naszego jabłka; albo spotykasz znowu drzewo *inga*²²¹, którego owoc duży, jadalny jest strąkiem i ma barwę czarną, gdy dojrzał.

A gdzież w Brazylii brakuje *palmit*, tych wysmukłych drzew z pięknymi koronami wielkich liści u szczytu? Rosną one przed domami, po ogrodach, przy drogach, w lasach; stanowią wspaniałą ozdobę, chronią przed upałem, są drzewem opałowym, budulcowym; liśćmi dach się pokrywa, a rdzeń młodej palmity stanowi smaczne pożywienie.

Melodyjny śpiew *sabii* można prawie zawsze słyszeć w Brazylii: jest to ptak wielkości szpaka — szary, żółty na podgardlu; sabię spotyka się po ogrodach, w lesie, wszędzie, gdzie są zarośla. Równie pospolitym ptaszkiem jest *ticu-ticu*, na którego nazwę onomatopieczną napomina śpiew jego.

O zmroku milkną głosy ptaków, a za to odzywają się chóry żab przerozmaitych, *sapu*. I z morza, i z lądu piękna jest noc w Brazylii; dla oka charakteryzuje się przede wszystkim światłem owadów świetlnych, których miliony zalegają całe przestrzenie. Tę fosforencję widzianą w powietrzu przypomina ocean, w którym co chwila widzi się punkt świetlny, rodzaj jakby morskiego latarnika.

Do drzew pięknych a pospolitych, należy także *bagu-assu*²²² (czulek) z prześlicznym pąsowym kwiatem i *imba-upa*, mająca liście rzadkie, a podobne do liści naszego kasztana. Rzadszym drzewem jest sosna brazylijska (*pinhero*), która ma kształt bardzo podobny do parasola. *Takuare* jest to samo, co trzcina bambusowa, dochodzi niekiedy znacznej grubości i wysokości, a rośnie bardzo charakterystycznie, tworząc łuki. W dobrych borach spotykasz twarde budulcowe drzewa — *ariba*²²³, *ipé*²²⁴, *jacaranda*²²⁵.

Ale nic się tak nie rzuca w oko w tych dziewiczych lasach, jak rośliny pasożytne, a szczególnie dwie najpospolitsze: *sipao* i *gravatá*. Pierwsza wpija się w pień drzewa i z nim się niejako zupełnie zrasta, obwija je po linii ślimakowatej wznosząc się w górę, a potem na dół od szczytu spada w grubszych i cieńszych sznurach; druga ma liście grube, tłuste, kwiaty piękne ponsowe, rośnie kępami na drzewach. Pasożyty te i inne jeszcze, wyglądające jak wielkie brody i czupryny, nieraz tak przysiadają drzewo i wyssa jego soki, iż ono w ich uściskach umiera. Można często widzieć takie trupy, na których pasożyty przez czas jakiś jeszcze zielenieją, a potem same umierają z głodu.

Spomiędzy ptaków najczęściej spotykałem w lesie *papugi* i *tukany*, niekiedy ukazywał się też prześliczny ptak błękitny, wielkości naszego gila, a zwany *sanba-su*²²⁶, bardzo lubiący banany, jak mi powiadano. Głos *guacho* często w lesie słyhać, przypomina on głos naszego dzięcioła pstrego. W krzewach ponad strumieniami słyhałem nieraz przyjemny śpiew barwnego ptaka *benti-vi*, spotykałem też wielokrotnie prześliczną *viuwinę*, ptaka aksamitno-czarnego z białą przepaską. Po domach i na targach najczęściej spotka się w klatkach: *kardynała*, *curio*, ptaka czarnego i bardzo śpiewnego, oraz *canario de terra*²²⁷, niemniej — zielone *papugi* i także *papużki*. W ogrodach ludzi zamożniejszych widziałem zawsze wiele ciekawych dla mnie roślin, jak np. *jakas*²²⁸ (żakas); są to duże drzewa, na samym pniu których rosną owoce, często wielkości głowy ludzkiej, a i większe; mają one smak i zapach podobny do ananasa. *Saputiny* są to owoce drzew, podobne z postaci do kartofli, a ze smaku do brzoskwini. W ogrodach takich nietrudno też o drzewa *kamforowe*, *tykowe*, nie mówiąc naturalnie o pomarańczach, cytrynach, laurach.

²²¹*inga*, właśc. *Inga edulis* — drzewo owocowe z Ameryki Południowej. [przypis edytorski]

²²²*bagu-assu* (łac. *Mimosa pudica*) — mimoza wstydliva, czulek wstydlivy, gatunek rośliny tropikalnej. [przypis edytorski]

²²³*ariba*, właśc. *araribá* (łac. *Centrolobium tomentosum*) — rodzaj drzewa występującego w lasach liściastych, zazwyczaj na skalistych zboczach. [przypis edytorski]

²²⁴*ipé* a. *poui*, *pau d'arco* (łac. *Handroanthus*) — rodzaj drzewa występującego w Amazonii. [przypis edytorski]

²²⁵*jacaranda* (łac. *Jacaranda mimosifolia*) — jakaranda mimozolistna, rodzaj drzewa tropikalnego. [przypis edytorski]

²²⁶*sanba-su*, właśc. *sanbaço* — tangarka zielonoskrzydła, rodzaj ptaka z rodziny tanagrowatych. [przypis edytorski]

²²⁷*canario de terra* (łac. *Sicalis flaveola*) — szafranka krasnoczuba, gatunek małego ptaka z rodziny tanagrowatych. [przypis edytorski]

²²⁸*jakas* — prawdopodobnie chodzi o *jaqueirę* (łac. *Artocarpus heterophyllus*), chlebowiec różnolistny, rodzaj rośliny tropikalnej. [przypis edytorski]

Niekiedy podają na deser owoc zwany *japuticaba*²²⁹ (żaputikaba), podobny do naszych śliwek, zwanych lubaszkami. Brazylijanie bardzo to lubią, lecz wątpię, czyby smak ich podzielał który Europejczyk.

Pan szef kolonizacji, V. de Paula Ramoz, w Blumenau, jest miłośnikiem zwierząt oraz roślin, więc hoduje jedne i drugie, a jako człowiek bardzo przyjemny, pokazywał mi piękną *jacutingę* (gatunek bażanta), *macuco*²³⁰, coś w rodzaju wielkiej kuropatwy. Chowa się też u niego piękny *anta*²³¹ (tapir), tak oswojony, że gdy go pan pociągnie za ucho, zwierzę zaczyna swawolić. Ale nie zdradza tej skłonności trzymany w klatce prześlizchny *kot dziki*, który fuka straszliwie i z pazurami skacze na szczeble klatki, ilekroć się ktoś do niego zbliża.

Chowane *małpy* i *małpeczki* nietrudno spotkać w Brazylii.

Mógłbym się tu bardzo rozpisać o faunie i florze brazylijskiej, ponieważ dużo ich okazji widziałem w czasie krótkiej swej podróży, a najwięcej w muzeum Rio de Janeiro; ale piszę tylko felieton, sprawozdanie z czterdziestodniowego pobytu w kraju, dokąd się udało tylu naszych emigrantów. Czytelnikom polskim mogę jedynie przedstawić doznane własne wrażenia, a nie żadne studia.

Dawnych kolonistów niemieckich w stanie św. Katarzyny zapytywałem, czy często widują *Indian*; odpowiedziano mi, że tylko w porze, kiedy dojrzewa kukurydza, wychodzą niekiedy z lasów, robią szkody w polu i znikają. Ale w stanie Paraná Indianie przychodzą na targi do miasta Kurytity i tam często można ich spotkać. Nie wiem, czy to jest prawda, ale kilkakrotnie słyszałem, że Brazylijanie z urodzenia, zarówno *fazendeiros*²³², jak *colonos*²³³, strzelają do Indian jak do dzikich zwierząt, czego nie czynią Europejczycy przybysze. Opowiadano mi, że w Joinville wychowywała się dziewczynka Indianka, której ojca zastrzelił na swym polu Brazylijanin. O ile to jest prawda, stanowi bardzo ciężkie oskarżenie. Ja raz tylko widziałem osiemnastoletniego może Indianina, który na parowcu był posługaczem. Nieprzyjaciółmi kolonisty są przede wszystkim *mrówki*, które nieraz na odległość tysiąca kroków przenoszą do swego gniazda z pola jarzyny, młode liście kawy itd. Gniazda tych szkodników trudno odszukać, gdyż mrówki szeregami odbywają marsz podziemny i nagle ukazują się na powierzchni ziemi. Małe *papuzki*, gdzie się znajdują, sprawiają także wielkie spustoszenia w polach ryżowych. A w czasie dojrzewania kukurydzy, równie jak Indianie, chciwe są na nią małpy. *Jaguar*²³⁴, jak mi opowiadano, niekiedy tylko sprawia szkody w trzodach. Do najszkodliwszych stworzeń w Brazylii zaliczyć należy jadowite *węże*; dwóch ukąszonych i wyleczonych pokazywało mi blizny na nogach, a jeden z nich opowiadał, iż z trzema towarzyszami szedł ścieżką przez las i gdy już dwóch przeszło przodem, jego ostatniego napadł i ukąsił *jararaca* (żararaka), który jest także szkodliwy i dla zwierząt domowych.

Spomiędzy chorób miejscowych, trapiących tu człowieka, najstraszniejszą jest *zółta febra*, na nią w Brazylii zawsze umrzeć można; ale niekiedy pojawia się jako epidemia, i wtedy strasznie zmiata ludzi, jak to miało miejsce w roku 1884, gdy na ulicach Rio de Janeiro ludzie padali jak muchy. Inną, czysto brazylijską, chorobą jest *beri beri*, podczas której nogi puchną, po czym następuje paraliż i śmierć.

XVI

Cesarz Pedro II. — Niezadowolone armii brazylijskiej. — Sprawa wyzwolenia niewolników i protest armii. — Księżniczka Izabela. — Rząd usiłuje ograniczyć wpływy armii. — Hrabia de Ouro Preto. — Gwardia narodowa i ordery. — Rewolucyjny spisek oficerów. — Benjamin Constant i Fryderyk Solon. — Prezydent Manoel Deodoro da Fonseca. — Chilijski okręt wojenny w Rio de Janeiro. — Mowa Beniamina Constanta podczas uczty dla Chilijszczyków. — Minister wojny. — Zebranie oficerów w klubie wojskowym. — Co

²²⁹*japuticaba* — żaputikaba, rodzaj rośliny występujący w Brazylii. [przypis edytorski]

²³⁰*macuco* (łac. *Tinamus solitarius*) — kusacz samotny, rodzaj ptaka z rodziny kusaczy. [przypis edytorski]

²³¹*anta* — tapir amerykański, gatunek ssaka nieparzystokopytnego z rodziny tapirowatych. [przypis edytorski]

²³²*fazendeiros* (port.) — rolnicy. [przypis edytorski]

²³³*colonos* (port.) — osadnicy. [przypis edytorski]

²³⁴*jaguar* — cętkowany i rzadszy od niego czarny. (Prześlizchny okaz czarnego jaguara ze stanu św. Katarzyny, znajduje się w ogrodzie zoologicznym w Hamburgu). [przypis autorski]

rząd przedsięwziął, aby osłabić załogę w Rio de Janeiro. — Jeronimo França. — W wigilię rewolucji. — Dzień 15 listopada. — Dekret detronizacji i donacja.

Przez cały czas pobytu mego w Brazylii nie spotkałem człowieka, który by o byłym cesarzu, Pedro II²³⁵, wyrażał się inaczej, jak tylko z wielkim szacunkiem; ile razy zaś wzięłem gazetę do ręki, znajdowałem w niej to samo.

Nie mogło mi się więc pomieścić w głowie, że tu pozbawiono tronu monarchę tak powszechnie szanowanego, a nawet kochanego. Zdziwienie moje jednego dnia wyraziłem wobec kapitana França i prosiłem go, aby mi raczył przedstawić treściwie, jak się odbyła w Brazylii zamiana monarchii na rzeczpospolitą.

— W felietonach, które piszę dla „Kuriera Warszawskiego” nie mogę tego pominąć — mówiłem — a przecież lepiej, gdy będę wiadomości czerpał od pana, który brał udział w tej robocie, niż z innych źródeł, mogących mnie w błąd wprowadzić.

Pan França nie dał się długo prosić i oto przedstawiam, co mi opowiedział:

W ostatnich coś w trzech latach monarchii armia brazylijska nie była zadowolona z rządu, ponieważ nieustannie popełniał on błędy polityczne dowodzące braku szlachetnych uczuć patriotyzmu oraz bezinteresowności, które powinny kierować każdym człowiekiem należącym do zarządu kraju. Panowało w armii przekonanie, że Brazylia posiada patriotów i ludzi zdolnych, ale że monarchia jako systemat demoralizuje politycznie każdego i uniezdalnia do prawdziwie obywatelskiej działalności. Jedną tylko armia brazylijska nie dopuszczała do siebie owej rządowej demoralizacji i stanowiła otwartą opozycję względem całej działalności ministerium.

Opozycja taka wywołała ze strony rządu prześladowanie tych wojskowych, którzy najodważniej występowali. Atoli cały zatarg uwydatnił się już jaskrawo, gdy na stół przyszła kwestia wyzwolenia niewolników. Rząd bowiem zmuszał armię, ażeby ściagała po lasach niewolników, którzy tam poszukiwali wolności, unikając strasznych kar, wymierzanych im przez okrutnych panów. Wojsko postanowiło sprzeciwić się rozkazom rządu i odmówiło wykonywania łowów na ludzi czarnych, uważając to dzieło za niegodne obrońców ojczyzny.

Po takim proteście wszyscy oficerowie załogi w Rio de Janeiro wystosowali adres do księżniczki Izabeli²³⁶, regentki (cesarz przebywał wtedy w Europie), prosząc ją, aby nie potwierdziła rozporządzeń ministerialnych, zmuszających armię do ścigania czarnych po dziewiczych lasach Brazylii. Wzburzenie umysłów było powszechne i księżniczka pod tym naciskiem zrobiła ustępstwo wymaganiami armii. Nie stało się to więc tak, jak głosiła prasa europejska, przypisując księżniczce Izabeli wyzwolenie niewolników w Brazylii. Ani ona, ani ministerium jej wcale sobie tego nie życzyli.

Tymczasem armia stanowiła ciągle opozycję, a rząd nieustannie przedsiębrał środki, aby zmniejszyć jej wpływ, ukrócić samowolne postępowanie. Tak się miały rzeczy, gdy pod koniec 1889 r. cesarz zawezwał hrabiego de Ouro Preto²³⁷ w celu zorganizowania nowego ministerium, a sam postanowił dnia 2 grudnia zrzec się korony na rzecz swojej córki. Nie można było liczyć na to, że koronację ową poprze armia, ponieważ armia wielokrotnie już ujawniła swoje republikańskie idee, a ludność też z nią trzymała. Hrabia de Ouro Preto powziął więc myśl, ażeby zwiększyć, o ile się da, ilość gwardii narodowej, którą by można było przeciwstawić armii, a tym samym dodać sił rządowi. Uczyniono to, obsypano ową gwardię orderami i policji dano taki sam oręż, jaki nosi armia czynna. Nigdy i nigdzie na świecie nie widziano dotąd takiej ilości rozdanych orderów, ile podówczas pojawiło się ich w Brazylii: każdego, kto chciał, dekorowano.

Teraz hrabia de Ouro Preto zaczął pracować, ażeby jeszcze moralnie poniżyć armię, to jest osłabić jej wpływ na umysły publiczności i w tym celu przeprowadzał szereg oburzających prześladowań względem wojskowych, którzy się okazywali wolnomyślnymi.

Nie wyszło to rządowi bynajmniej na dobre, bo tego samego roku 1889 jakoś około listopada armia postanowiła otwarcie wystąpić nie tylko już przeciw ministerium, lecz

²³⁵ *Pedro II* (1825–1891) — Piotr II, ostatni, a zarazem pierwszy rodowity (bo urodzony w Rio de Janeiro) cesarz Brazylii. [przypis edytorski]

²³⁶ *Izabela I Brazylijska* (1846–1921) — córka Piotra II, regentka i ostatnia następczyni tronu Brazylii. [przypis edytorski]

²³⁷ *Figueiredo, Afonso Celso de Assis* (1836–1912) — wicehrabia miasta Ouro Preto i ostatni premier Cesarstwa Brazylii. [przypis edytorski]

i przeciw monarchii, tolerującej i zatwierdzającej powyżej przedstawione postępowanie. Pomiędzy oficerami zawiązał się więc spisek rewolucyjny.

Inicjatywę rewolucji stworzył pułkownik Beniamin Constant, bardzo ceniony z powodu swej nauki, charakteru prawego i uczuć patriotycznych; on także przeprowadził organizację całej roboty i ostatecznie on ją, rzecz można, wykonał. Dużo też zasłużył się na tym polu major, Fryderyk Solon²³⁸, którego monarchia bardzo prześladowała jako republikanina.

Co się tyczy dzisiejszego prezydenta Rzeczypospolitej, Manoela Deodoro da Fonseca, ten podówczas był właśnie chory. W dniu wybuchu rewolucji stanął on na jej czele, ponieważ Beniamin Constant, major Solon i inni oficerowie bardzo nań nalegali, aby został naczelnikiem rządu, jako generał, a przy tym niezadowolony z ministerium. Trzeba przyznać, że generał Deodoro ani nigdy nie był republikaninem, ani dzisiaj nawet nim nie jest; on nie chciał Rzeczypospolitej, chodziło mu tylko o zwalenie ministerium. Co więcej, generał Deodoro był przyjacielem cesarza i przez cesarza obsypanym łaskami. Mnie, Europejczyka, ogromnie to zadziwiło, że amerykański Bayard²³⁹ mógł zająć miejsce na ruinach tronu swego przyjaciela, monarchy.

Ażby teraz przedstawić szereg wypadków, które przyspieszały wybuch rewolucji militarnej w Brazylii, musimy się cofnąć aż pod koniec września 1889 r. W tym właśnie czasie rząd chilijski przysłał był do Rio de Janeiro okręt wojenny dla nauki swoich marynarzy.

Ludność i rząd Brazylii usiłowały jak najlepiej przyjąć załogę tego pancernika, raz, że ludność Chile bardzo sprzyja Brazylijanom, następnie, iż chodziło o zatarcie w umysłach Chilijczyków nieprzyjemnego wrażenia, wywołanego przez postępowanie ministra marynarki brazylijskiej, barona de Ladairo²⁴⁰, względem oficera Custodio de Melo²⁴¹, który na wojennym okręcie brazylijskim jeździł był do Chile także dla nauki. Między innymi uczniowie szkoły wojskowej w Rio de Janeiro wyprawili także ucztę Chilijczykom. Uczta owa przypadła na dzień 23 października i w gmachu szkoły wojskowej zebrało się mnóstwo krajowych znakomitości, a wśród nich znajdował się także minister wojny.

Po licznych mowach, wypowiedzianych w celu uczczenia Chilijczyków, powstał Beniamin Constant i zwracając się do ministra wojny, wymierzył przeciwko niemu straszliwe oskarżenie, jako przeciw prześladowcy szlachetnych celów, ożywiających armię brazylijską. Mówił przez dobrą godzinę, a kiedy skończył, w sali rozległy się entuzjastyczne oklaski, uczniowie zaś szkoły wojskowej pochwycili wszystkie bukiety, przyozdabiające salę, i rzucili je na głowę mówcy. Minister wojny, dr Candido de Oliveira²⁴², osłupiał i nic nie odpowiedział. Był to fakt doniosły, który wyraźnie zaznaczył stanowisko armii wobec rządu. Nazajutrz i przez parę dni bezpośrednio następujących rząd chciał przedsięwziąć środki ukarania pana Beniamina Constant, ale się zawahał, zważywszy wielką popularność człowieka i miłość okazywaną mu przez młodzież.

Swoją drogą znowu oficerowie i uczniowie szkoły wojskowej gromadnie oświadczyli Beniaminowi Constant, iż we wszystkim, cokolwiek on przedsięwzięć przeciw rządowi, będą go popierali, choćby krew przyszło przelać.

Nareszcie do ostatecznego wybuchu tej rewolucji militarnej przyczyniło się bardzo zebranie oficerów Rio de Janeiro dnia 9 listopada w klubie wojskowym. Tutaj wszyscy oficerowie zgodzili się z Beniaminem Constant, iż w Brazylii należy zaprowadzić Rzeczpospolitą i prosili go, ażeby stanął na ich czele i przedstawił plan działania. Wtedy zażądał on osiem dni czasu, potrzebnego na rozwiązanie zadania; miał zaś zamiar w ciągu tych ośmiu dni porozumieć się osobiście z członkami obecnego rządu i przekonać ich, że dotychczasowa polityka, mianowicie też prześladowanie armii, jest zgubna. Atoli ministrowie byli

²³⁸Solon, Fryderyk, właśc. *Frederico Solon de Sampaio Ribeiro* (1839–1900) — brazylijski polityk i wojskowy w stopniu majora. [przypis edytorski]

²³⁹Bayard, Pierre du Terrail de — francuski żołnierz z XVI w. znany z swojego talentu militarnego i bohaterstwa, określany mianem ostatniego z „rycerzy bez trwogi i skazy” (fr. *le Chevalier sans peur et sans reproche*). [przypis edytorski]

²⁴⁰Azevedo, José da Costa (1823–1904) — baron de Ladário, brazylijski polityk i dyplomata, minister marynarki za czasów rządów gabinetu Ouro Preto. [przypis edytorski]

²⁴¹Melo, Custódio José de (1840–1902) — brazylijski polityk i oficer marynarki w latach 1881–1889. [przypis edytorski]

²⁴²Oliveira, Candido de, właśc. *Cândido Luís Maria de Oliveira* (1845–1919) — brazylijski polityk, minister wojny w latach 1878–1886. [przypis edytorski]

zbyt dumni ze swej działalności politycznej i Benjamin Constant rychło już zrzekł się traktowania²⁴³ z nimi.

W tym właśnie czasie rząd, ażeby osłabić załogę w Rio de Janeiro, postanowił usunąć stąd niektóre pułki. Dnia 16 listopada już 22. pułk piechoty otrzymał rozkaz udania się na północ Brazylii. Rzecz prosta, iż rozproszenie sił wojskowych stanowiło skuteczny środek zażegnania burzy rewolucji. Wobec tego Jeronimo França, podówczas porucznik, zwołał tajemny *meeting* oficerów w celu zwrócenia uwagi na postępowanie rządu i tym samym przyspieszenia wypadków. Zebranie odbyło się nocą 13 listopada w pułkowych koszarach; França wymownie przedstawił tutaj zamiary rządu, oświadczając swoim kolegom, iż należy działać pośpiesznie i natychmiast, iż rzeczywiście w zupełnie naturalnym biegu rzeczy nadeszła chwila wybuchu rewolucji, a jeśli się ją odwlecze, wtedy wszystko stracone.

W zapale posunął on się tak daleko, że, pragnąc pozyskać słuchaczy, wyjawiał im, iż plan rewolucji jest już gotowy. „Panowie — mówił — moje zdanie jest takie, że jeżeli w ciągu trzydziestu sześciu godzin nie zrobimy nic stanowczego, zgubimy sprawę!”

Znalazł się ktoś, jak to zwykle bywa w takich razach, i o całym owym zebraniu doniósł rządowi, kładąc szczególny nacisk na termin trzydziestu sześciu godzin. Toteż rząd zaraz nazajutrz (14 listopada) postanowił aresztować wszystkich przywódców, kierowników ruchu, co miało nastąpić wieczorem.

Major Solon znowu, dowiedziawszy się o szczegółach *meetingu* oficerów, powziął myśl jak największego przyspieszenia wypadków i w tym celu, wyszedłszy na miasto, opowiadał każdemu ze spotkanych oficerów, że policja otrzymała od rządu rozkaz uwięzienia generała Deodoro, pułkownika Beniamina Constant i różnych innych.

Pod wieczór, około szóstej, gdy się França pojawił w koszarach swego pułku, przystąpił do niego jeden z oficerów, odradzając mu wejścia do koszar ponieważ, jak powiadano, wyszedł rozkaz rządowy uwięzienia porucznika. A tak nie mówiono o niczym innym, tylko o konieczności wybuchu rewolucji i o wydanych do policji rozkazach aresztowania.

Tego samego wieczora porucznik uważał sobie za obowiązek iść do generała Deodoro i opowiedzieć mu, że na wczorajszym *meetingu* oficerskim zaszły bardzo poważne postanowienia i rząd dowiedział się o tym wszystkim; zachodzi przeto potrzeba pośpiesznego działania, inaczej zgubi się całą sprawę.

Generał Deodoro, który był chory, odrzekł na to: „Lepiej nic nie robić, to wszystko jest dzieciństwo. Zachowajmy się spokojnie!”

Wtedy porucznik odrzekł, iż przeciwnie — rzecz jest bardzo poważna, a jeśli ją generał inaczej uważa, to dla tego chyba, że nic nie wie o istniejących przygotowaniach. „Hrabia de Ouro Preto — mówił França — nie pozwoli nam zachowywać się spokojnie, choćbyśmy tego chcieli; wszystko jest odkryte, trzeba się więc zdecydować na wystąpienie z orężem w rękę!”

Następnie França przedstawił generałowi, że wszystkie pułki w Rio de Janeiro należą do spisku, a w części także policja i gwardia narodowa. Oprócz tego, przekonywał go, że dwie szkoły wojskowe są również duchem rewolucji przejęte i odegrają prawdopodobnie dużą rolę w dziele przewrotu; ponieważ młodzież jest pełna entuzjazmu i ożywia ją uczucie patriotyzmu. Wszystkie te przedstawienia wywarły dobry skutek, gdyż generał polecił porucznikowi França ponieść natychmiast rozkazy do całej armii w Rio de Janeiro.

Cała noc zeszła na komunikowaniu owych rozkazów. Rano, 15 listopada, wojsko już obiegło skład ministerium w biurze ministra wojny. Niebawem też ukazał się w tym biurze generał Deodoro i rozkazał ministrom, aby opuścili miejsce urzędowania, jako pozbawieni władzy rządzenia.

Jeszcze tego samego dnia ogłoszono republikę. Generał Deodoro nie chciał tego uczynić, gdyż jemu chodziło tylko o rozwiązanie ministerium; zmusili go jednak do tego Solon i Benjamin Constant.

França otrzymał publiczne podziękowanie za to, iż przez zwołanie *meetingu* oficerskiego w dniu 13 listopada szczęśliwie przyspieszył wybuch rewolucji. W trzy dni zaś po ogłoszeniu republiki dano polecenie, aby cesarzowi, uwięzionemu w swoim pała-

²⁴³traktowanie z kim (daw.) — tu: rozmowy, negocjacje, prowadzące do wspólnych uzgodnień (niekiedy zapisywanych w formie traktatu). [przypis edytorski]

cu, wręczył dekret, pozbawiający go władzy monarszej, a jednocześnie wyznaczający mu donację w ilości 12 500 000 franków.

— Rząd polecił mi doręczyć waszej cesarskiej mości ten dekret — rzekł França, zbliżając się do cesarza, który właśnie schodził ze schodów swego pałacu.

— Kto taki? — spytał Pedro II z naciskiem.

— Rząd! — odrzekł porucznik.

— Co to za dekret?

— Jest to zapewnienie przyszłości dla rodziny waszej cesarskiej mości.

— Ach, rodziny!... — rzekł cesarz, przyjmując papier i lekko wtedy pochyliła mu się głowa.

XVII

Uwagi. — Gdzie szukać podstawy dla faktu emigracji? — Odezwy i agenci. — Santos. — Pośrednicy. — Thumacze i pisarze listów. — Jacy emigrują najpierwsi? — Miejscowe warunki i umysłowy stan chłopca. — Obietnice. — Nieszczęście społeczne i nieszczęście wychodźców. — Jakie warunki chłopci znajdują w Brazylii? — Kolonizacja na papierze. — Prawo wyboru przysługujące emigrantowi. — Niemiec kolonista w Brazylii. — Polak i inne narodowości. — Brak solidarności u polskich chłopów. — Co przynosi do Brazylii polski emigrant? — Rząd brazylijski i Brazylijanie. — W Bremie i na okręcie a w Brazylii.

Ponieważ zebrałem pewną ilość spostrzeżeń, które czytelnikom „Kuriera Warszawskiego” przedstawiłem już to w poprzednich korespondencjach, już znowu obecnie w felietonie, pozostaje więc jeszcze poczynić ogólne uwagi nad emigracją naszego ludu z rodzinnego kraju i nad jego kolonizacją w Brazylii.

Nie należy mniemać, że wychodźstwo chłopów polskich zawisło od wielkiej ilości agentów obcych, którzy wsie obiegają i stykając się z ludnością bezpośrednio, wywabiają ją za granicę kraju drogą ustnych obietnic. Podstawy dla faktu emigracji trzeba szukać przede wszystkim w psychologii człowieka, który na ziemi pragnie znaleźć dla siebie niebo, a gdy nie posiada dostatecznego umysłowego przygotowania, aby nadzieje i zachcianki swoje należycie skrytykował, wówczas wyobraźnia jego potrzebuje maleńkiej tylko podniety; unosi go w światy dalekie od rzeczywistości i skłania do poszukiwania tych światów.

Nasz lud nie posiada prawie żadnej oświaty, lada kto może go durzyć; wystarcza, ażeby do jednej wsi w każdym powiecie przybyła w kopercie z zagranicy jakaś drukowana odezwa, bodaj nawet przez nikogo niepodpisana, pełna różowych nadziei i obietnic, a już w przeciągu jakich dziesięciu dni, drogą jarmarcznych, odpustowych zebrań, wieść ta obiegnie po całym terytorium.

Właśnie takie odezwy przychodziły do kraju w roku przeszłym, a ich treść stanowiła przedmiot ciągłych gawęd wśród mas ludowych. Nie przeczę, że roznosicielami byli i agenci, bo mam dowody, iż byli; ale tych agentów było *bardzo* mało i dlatego ani policja, ani nikt mający w tym interes, nie mógł się z nimi zetknąć. Agent pojawia się nie tyle dla ustnej propagandy, ile dla zebrania adresów i zbadania usposobienia do ruchu emigracyjnego.

Głównie działał tu list drukowany, pełen obietnic, a wolny od wszelkich objaśnień i komentarzy. Jeszcze w Brazylii listy owe mieli chłopci w zanadrzu przy sobie.

Działając w myśl polityki swego rządu i ciągnąc stąd zapewne znaczne korzyści osobiste, najwięcej listów takich rozpuścił niejaki pan Santos, generalny konsul Rzeczypospolitej brazylijskiej w Lizbonie. Jest to hurtowny dostawca ludzkiego towaru do Brazylii! Ponieważ zaś zażądanie tego towaru jest bardzo duże, bo ogromne puszcze trzeba zapełnić ludźmi, powstał więc liczni pośrednicy, którzy również nie działają bezinteresownie. Trzeba przewozić emigrantów, a jeśli są bardzo biedni, to i przyodziać jako tako, nakarmić — słowem, trzeba dogodzić stronie kontraktującej i skontraktowanej. Opłaca się to sowicie, gdyż pośrednicy, ułatwiający wychodźstwo, ciągną korzyści różnymi sposobami zarówno od emigrantów, jak i ze skarbu Rzeczypospolitej brazylijskiej, która na swój koszt sprowadza wychodźców.

Lud polski jest najpodatniejszy do uwierzenia kłamliwym obietnicom, spotkało nas przeto szczęście, że wszelkiego rodzaju agenci — główni i podrzędni — zwrócili na nas swoją szczególną uwagę. Niestety, nie doznali zawodu!

Niemieckie odezwy Santosa wywołały ruch szalony.

Od czasu do czasu agent jakiś zawadził o jedną, drugą gminę, zostawiając po sobie tylko ślad w formie owego manifestu Santosa, po niemiecku stylizowanego. Reszta robiła się już sama: chłopci zawsze znajdowali tłumacza i usłużnego doradcę, który sam nic o Brazylii nie wiedział, jednak do emigracji zachęcał, bo miał z tego dochód: każdy osobiście zgłaszał się po radę dla siebie.

Stykałem się z setkami i tysiącami emigrantów; wielu miało odezwy Santosa, a nawet jego listy; ale nie spotkałem ani jednego, który by z agentem jakim osobiście rozmawiał: bliższą poradę znajdował zawsze w pobliskim miasteczku u pisarza pokątnego.

Chłop, który pod swoim własnym adresem otrzymywał odpowiedź z Lizbony od Santosa, robił dzieło emigracji ogromny rozgłos. Ale kto chłopom listy do Santosa pisuje, kto odpowiedzi na nie tłumaczy? Emigranci odpowiadali mi zawsze:

— Jeden taki pan w Rypinie, Drobinie, Mławie, Nieszawie, Białymstoku itd.

Ludzie przedsiębiorczy, nieogledni a wrażliwi, poszli pierwsi i przykład ich podzielał zaraźliwie. W ślad za nimi pośpieszyli próżniacy, wyobrażający sobie, że jest gdzieś na świecie kraj, gdzie można wygodnie żyć bez pracy. Jeszcze inną pobudkę stanowiła chciwość na ziemię.

— Tam dają tyle gruntu, ile kto zechce — powtarzano mi w Bremie na wszystkie strony.

— A rodzi się wszystko, co zasiać!

Tak mówili, bo to im obiecywał manifest Santosa; który nie zapomniał nawet nadmienić, ile się produkuje okowity w kraju obiecany; przecież i to stanowi podniecie do emigracji.

Do owych czynników przyłączyły się inne jeszcze — zewnętrzne. Chłopi bezrolni muszą u nas bardzo ciężko pracować, a pobierają tak małe wynagrodzenie za pracę, że zaledwie wyżyć mogą; otóż, do takich mianowicie uśmiecha się piękna nadzieja dojścia w łatwy sposób do kawałka własnej ziemi i zostania panami z wyrobników.

Zadna wiedza nie oświetla tych ludzi, a rady udzielane im w kraju, przyjmują oni z niedowierzaniem, z podejrzliwością. Co to jest inny klimat, co znaczą inne warunki życia, inna gleba i jej plody, jaka jest odległość, dzieląca kraj nasz od Brazylii, o tym przecież chłop polski nie może mieć najmniejszego pojęcia. Ale ten brak wiedzy u chłopca najzupełniej nam wystarcza, abyśmy sobie wytłumaczyli nadzwyczajną łatwość, z jaką niejedni emigranci, obarczony liczną rodziną, porzuca kraj i puszcza się w podróż.

— Komu to mogło nawet przyjść do głowy, że pojedzie przez tyłną wodę...

Podróż za nich placono, życie im dawano darmo, przyobiecano dużo gruntu i zapomogę na gospodarstwo. Czegóż więcej potrzeba? Na widok takich sutych darów opuściła chłopca owa podejrzliwość, którą on się zwykle posługuje w kraju w stosunkach swych ze szlachtą. Zaufał, bo nie przypuszczał, aby jakiś daleki rząd miał interes robienia mu zawodu, — bo nie przypuszczał i tego, aby w razie niepowodzenia, odwrót z Brazylii był niepodobieństwem; wszakże odezwa Santosa opiewała, że kto zechce, będzie mógł do kraju wrócić, nie uiszczając bynajmniej rządowi brazylijskiemu wyłożonych kosztów.

A tak wszystko nieszczęśliwie składało się na to, aby społeczeństwo nasze w ubytku sił ludzkich poniosło klęskę wyrównyującą epidemię.

Pamiętajmy atoli, że jeśli ucierpiało społeczeństwo, to cierpi także strasznie ten rodak nasz, gorzko zawiedziony wychodźca! Trzeba mu przebaczyć, bo jest niewinny prawie, a bardzo nieszczęśliwy. Wszystkie cierpienia ludzkie spadły na niego: fizyczne i moralne. Trapi go głód, nie ma czym ciała przyodzic, ani dachu nad głową; trapią go choroby, kalectwa różne; musi patrzeć, jak mu dzieci umierają jedno po drugim; żyje pod strasznie pięknym słońcem, wśród ludzi obcych, nie rozumiejąc ich języka ani obyczajów.

Własnego kraju nie opuszcza się bezkarnie: tułacz, całym sercem tęskni za swoimi, za całą atmosferą rodzinnej ziemi, w której jednej tylko może być człowiekowi dobrze. Każde stworzenie żywe przechodzi chorobę przystosowania się do nowych warunków życia, chorobę tym cięższą, tym niebezpieczniejszą, im bardziej nowe warunki różnią się od dawnych. U człowieka w tym cierpieniu schodzą się bóle fizyczne z moralnymi. Ileż

Chłop, Praca, Własność,
Wiedza

Tęsknota, Smutek,
Emigrant, Pielgrzym,
Ojczyzna

by dał niejeden taki wychodźca za to, aby mógł ujrzeć swoją wieś rodzinną, zobaczyć sąsiadów, posłyszec dokoła siebie brzmiącą mowę ojczystą! Z płaczem mówili nieraz do mnie:

— Całe życie będę się darmo wysługiwał, będę żył o chlebie i o wodzie, a niech do Polski wrócę!

Kto nie doświadczał strasznych cierpień tęsknoty za krajem rodzinnym, tęsknoty niczym nieukojonej, ten nie zrozumie tego uczucia.

Człowiek wykształcony jest zawsze do pewnego stopnia kosmopolitą, zajmują go coraz nowe wrażenia, których dostarczają ludzie i przyroda; ale prostak, chłop nie szuka tego. On w ziemię swoją wrósł jak drzewo i z tej ziemi wyrwany, musi cierpieć. Tutaj skwar słoneczny piecze, przy pracy trudno w nim wytrwać; krajowcy zleniwili na tych spiekach i nie lubią pracować: mają dostatek ryb, bananów i innych owoców, więc, gnuśniejąc, tym żyją.

Ale chłop nasz przybył tutaj dla pracy na roli; myślał, że znowu pójdzie od rana za pługiem, że będzie siał żyto, sadził kartofle, hodował bydłeta i miał swoją chatę. Jakże się zawiodł!

Rząd brazylijski ma zapewne dobre chęci, robi dla emigrantów, co może; ale on nie ma organizacji; są tu urzędnicy, brakuje ludzi serca, energii, charakteru, bez czego żadne działanie polityczne udać się nie może. W Brazylii robią kolonizację na papierze, wszyscy piszą, aż złość bierze na tę bazgraninę. Jeden człowiek z duszą, jak się należy, zrobiłby w sprawie kolonizacji więcej, niż tłumy owych pismaków. Tu trzeba z nieszczęśliwymi czuć, trzeba im otuchy dodać, a oni piszą, przesyłają sobie ładne raporty i są zadowoleni. Moi panowie, na papierze wszystko dobrze wygląda, ale przybywają gromady obdartych, głodnych i zawiedzionych biedaków, a wy im miesiącami w budach nędznych każecie przebywać! Nawet gruntów nie ma poodmierzanym, a jak się je odmierzać zacznie, to znowu upłyną długie miesiące.

Ale ile w całej tej biurokracji jest śmieszności!

Każdemu emigrantowi służy np. prawo, aby sobie sam wybrał stan i okolicę, w której osiąść pragnie; tymczasem każdy nasz chłop ma o stanach Brazylii takie samo pojęcie, jak urzędnicy brazylijscy o naszych guberniach i powiatach.

To prawo wyboru przypomina owego nauczyciela, który mówił do swych uczniów: „Jeżeli się nie możecie zorientować np. w lesie co do stron świata, to się obróćcie tyłem na północ, a przodem ku południowi” itd.

Zupełnie co innego, gdy do Brazylii przybywają na kolonie Niemcy: tym nic nie obiecywano, nie durzono ich; przybywają z własnej chęci, niczego się nie spodziewają, mają jakieś środki, a nade wszystko przynoszą ze sobą cywilizację, którą w Brazylii dalej tylko prowadzą. Siadają na gruncie kupą, pracują, mówią tylko po niemiecku i w Brazylii zakładają sobie ojczyznę, jako naród cywilizacyjnie wyższy od Brazylian, czego o Polakach, niestety, powiedzieć nie mogą. Wprawdzie chłop polski w porównaniu z Brazylianami są i uczciwsi, i pracowitsi, jednak uczciwość nie zawsze zwycięża, a praca potrzebuje do pomocy inteligencji. Brazylijanin, Hiszpan, Włoch, jeśli mu praca na roli nie posłuży, zostaje kelnerem, bierze na kredyt banany za kilka wintynów i sprzedaje, kupuje parę szczonek i czyści na ulicy buty przechodniom, sprzedaje gazety i ma utrzymanie; chłop polski tego nie potrafi żadną miarą: on jest tylko rolnikiem; prócz tego, może drzewo rąbać, być furmanem, pastuchem do bydła.

Polski chłop w Brazylii musi się do warunków stosować lub zginąć; Niemiec warunki te, o ile tylko się dadzą, do siebie stosuje. W Brazylii widzi się Niemców z ich białą kawą, piwem, pantoflami, oleodrukami, portretami Bismarcka, długimi fajkami, harmonijkami, *Gartenlaube*, *Über Land und Meer*²⁴⁴ itd. Polska w Brazylii od razu znika.

W polskich chłopach na obczyźnie nie ma i solidarności narodowej — najwyżej rodzinna i parafialna; każda gromada od chwili przybycia tutaj rozbija się na coraz to mniejsze gromadki, podczas gdy Niemcy idą ławą i skupiają się w jednym stanie.

Emigrant polski przynosi do Brazylii tylko siebie samego, mało więcej niż siłę roboczą; cała jego polskość zasadza się na tym, że ma w fizjonomii pewien typ odrębny,

²⁴⁴*Gartenlaube, Über Land und Meer* (niem.) — Altanka, Na lądzie i nad morzem (prawdopodobnie tytuły typowych motywów malarskich). [przypis edytorski]

w postępowaniu odrębny obyczaj, że mówi po polsku i jest katolikiem. Ale obyczaju przestrzegać nie może i musi się do innego stosować, a z samym polskim językiem rady sobie nie da pomiędzy Niemcami — musi się uczyć po niemiecku, gdyż Niemcy mogą się nie uczyć po polsku i z tym im dobrze. Chłopu na złe wychodzi i to, gdy gorliwie przestrzega przepisów religii, bo święcąc niedziele i święta, zaniedbuje się w pracy i o jakieś sto dni rocznie jest niżej od Niemca.

Ale co tu mówić, rozprawiać, dowodzić, kiedy najlepiej mówią fakty, a faktem jest, że mi żaden Brazylianie nie pokaże wśród całej masy polskich emigrantów jednego człowieka, który by z losu swego był bodaj względnie zadowolony. Ja ze swej strony dodam, że widziałem w Brazylii bardzo dużo naszych chłopów, mających się wykierować na brazylijskich obywateli, a każdy z tych ludzi miał głębokie przekonanie, iż rząd Rzeczypospolitej Brazylii dopuścił się względem niego *oszustwa*.

Zapewne, że najenergiczni spośród wychodźców, jeśli już wszystko przeżyją i przeniosą, dojdą w Brazylii do jakiegoś takiego bytu, ale w kraju swoim przy mniejszych nawet usiłowaniach osiągnęliby to samo.

Podobno nie ma na świecie narodu, który by grzechu Kaina nie nosił na sobie, ale na każdy naród przychodzi pora cywilizacyjna taka, w której wytworzona suma dóbr moralnych jest zupełnym zadosyćczynieniem za stare grzechy i ludzkość nie ponosi uszczerbku.

Na Brazylianie pora ta widać nie przyszła; mało im tego, że wytępiłi krajową rasę, że następnie Murzyn jeszcze bliźnich swoich nie wygoił po niedawnej, sromotnej niewoli; teraz oto kozłem ofiarnym jest chłop polski, podstępnie zdradzony!... Tylko formy są cokolwiek inne, rzecz zostaje ta sama.

Chłop nasz, zwabiony tutaj nadzwyczajnymi obietnicami, z powodu swej nędzy żadną miarą już powrócić do kraju nie może: jest to niewolnik, który ostatecznie, jeżeli nie zginie, pójdzie w służbę plantatorów i zastąpi wyzwolonego Murzyna.

Tylko formy się zmieniły: dawniej można było otwarcie, jawnie kupić człowieka na targu, teraz się go podstępnie nabywa i stawia w warunkach tak strasznej konieczności, że nawet ten biedny nasz chłop, do którego się w kraju szczęście przecież nigdy zbyt nie uśmiechało, musi teraz załamać ręce i oddać się ostatniej rozpaczce.

— Jedno mnie bardzo zadziwia — mówiłem do pewnego urzędnika kolonizacji — ci ludzie w Bremie i na okręcie podczas podróży śpiewali, tańczyli jeszcze, bawili się wesoło, a teraz są tacy posępni, smutni, patrzą tak ponuro... Tylko człowiek nieszczęśliwy albo trapiiony wyrzutami sumienia zbrodniarz może być do nich z fizjonomii podobny!

— Gdy zaczną codziennie pracować, zmieni się ich usposobienie, będą szczęśliwi — otrzymałem odpowiedź.

Roześmiałem się gorzko, bo myślałem sobie, że w takim razie talizman szczęścia muszą posiadać pracowite woły, które, będąc karmione słomą, a pobudzane do pracy kijem, codziennie spełniają ciężkie swe powinności na roli; po chwili więc odrzekłem:

— Tylko ta praca uszczęśliwia człowieka, którą on przedsięwzięje z własnej woli, bez musu.

O, Brazylianie, przestańcie świat uszczęśliwiać, dając mu pracę! Bądźcie nią sami szczęśliwi!

Polak, Państwo

Niewola, Chłop, Polak

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. 99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dygasinski-listy-z-brazyliai/>

Tekst opracowany na podstawie: Adolf Dygasiński, Listy z Brazylii, Skład Główny w księgarni nakładowej S. Lewentala, Warszawa 1891.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa pochodzi z zasobów Biblioteki Narodowej. Pomoc w tłumaczeniach z portugalskiego - Szymon Kowalski.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Ilona Kalamon, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6338-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.